


HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2022/5

magazynhisteria.pl



OSTATNIA MODLITWA
PAN TIBOTHINI I JEGO GRA
PRZEGRYW
ROK 2084
TAJEMNICA KAMIENICY NA JEZUICKIEJ
TWARZE
WYZNAWCA
Z PROCHU POWSTAŁEŚ I W PROCH SIĘ OBRÓCISZ
ZŁODZIEJ ŚWIATŁA

SPIS TREŚCI:

OSTATNIA MODLITWA Szymon Płuska	3
PAN TIBOTHINI I JEGO GRA Katarzyna Lupa	25
PRZEGRYW Arkadiusz Buczek	33
ROK 2084 Paweł Cieliczko	55
TAJEMNICA KAMIENICY NA JEZUICKIEJ Anna Dymek	71
TWARZE Antoni Nowakowski	77
WYZNAWCA Julia Rybicka	89
Z PROCHU POWSTAŁEŚ I W PROCH SIĘ OBRÓCISZ Adrian Iwaniak	101
ZŁODZIEJ ŚWIATŁA Bartosz Sokolak	111

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

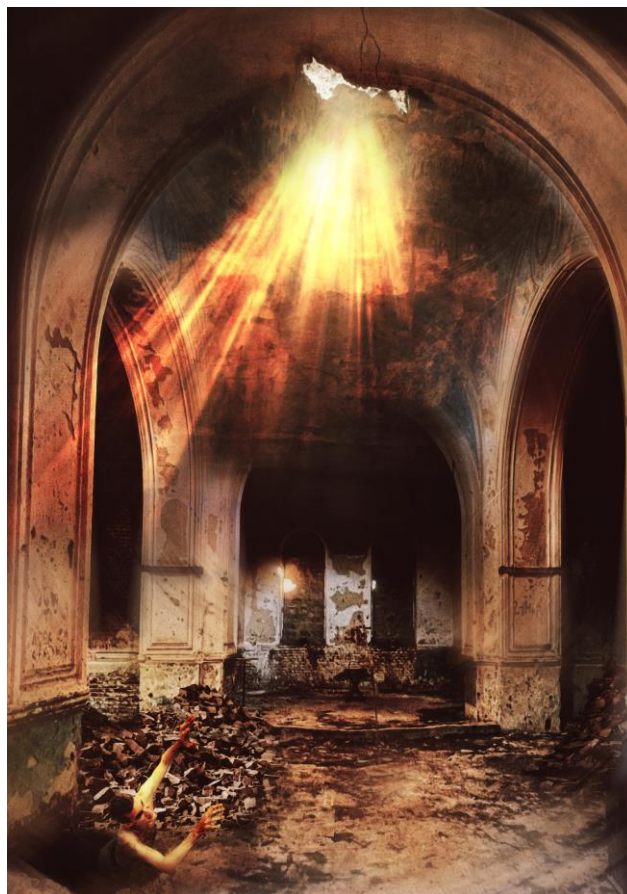
Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Roman Panasiuk Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



OSTATNIA MODLITWA

Szymon Płuska

„Mają nad sobą króla – anioła Czułości. Imię jego: Abaddon”

~ Apokalipsa świętego Jana 9,11

Poranek był ciężki. Kopalniany dym spływał na ziemię, mieszając się z mgłą. Świat tonął w nieprzeniknionej, mleczej szarości. Powietrze gryzło, wpędzało w kaszel, gdy się nim głębiej zachłysnąć. Idąc przez nieużytki – przedpola naszego wyrobiska – nie widać było własnych butów. Ani czarnej ziemi, ani hałdy, ani szoli. Niczego. Śniegu dużo; leżał tam, chrupał pod stopami, ale zobaczyć go – nie sposób.

Poranek był dobry. Można by rzec, że natura opowiedziała się po naszej stronie. Opatuliła nas, ukryła przed czujnym wzrokiem warty na wysokich wieżach. Minęliśmy trujące błota, nikt nie ugrzązł w zapadliskach jak ostatnio. Bezpiecznie dotarliśmy w pobliże Achimówki. Najgorsze minęło, jeszcze ostatnia prosta. Niektórzy mamrotali pod nosem skierowane w próżnię dziękczynienia. Mniej świadomi z nas milczeli, nie wiedząc komu ani jak dziękować. Ja wiedziałem – dziękowałem Bogu.

Nasza kompania zmieniała się z tygodnia na tydzień. Część górników łapano, część udawało się dostać pracę w kopalni. Wielu ginęło, na powierzchni lub pod ziemią. Znajomych twarzy powoli ubywało, nowych nie poznawałem; to zły nawyk i musiałem się go oduczyć. Zresztą, wszyscyśmy wyglądali tak samo: czarni, umorusani i wiecznie pochyleni. Nowych te zmiany przerażały, bardziej doświadczeni nauczyli się z nimi żyć.

Tomasz szedł tuż przede mną. W ciszy, jak zawsze. Trzymał w rękach tę swoją książkę, przyciskał ją do piersi niczym ukochane dziecko. Nie rozstawał się z nią nigdy. Dostrzegałem przed sobą zarys jego pleców, nienaturalnie wykrzywioną na bok sylwetkę. Ryliśmy bez wytchnienia, w koszmarnych warunkach. Ręce nasze były czarne i sękaty, jak wszystko w tej przeklętej krainie. Książka jednak zawsze pozostawała czysta. Zadbana, jak nowa. Tak, Tomasz hołubił tę książkę. Żeby w Domu, do braci i sióstr, miał tyle uczucia... Próżne zgryzoty, to już minęło. Dawno, dawno temu.

– Stop, wiara! – Ktoś szepnął daleko na przedzie. Ostry dźwięk przeszył powietrze niby kwilenie kosa. Wszyscy stanęli.

– Jużeśmy są. – Po tych słowach przez cały pochód przeszła fala cichych westchnień. Poluźniliśmy tobołki i poczęliśmy człapać ku źródle głosu, krok za krokiem. Cel był bliski, a droga bezpieczna. Wiedziałem, że pierwsze trudy dnia już za nami. To jednak błahostka w porównaniu z tym, co czekało nas dalej.

Biedaszyb dobrze ukryto. Z daleka nie sposób było dojrzeć choćby wychodni, a co dopiero sztolni. Kiedyśmy się zebrali, zawiadowca operacji – hutman Achim, polecił odgarnąć ziemię i odbić deski. Cienka warstwa tłustego, grudkowego szlamu zniknęła w momencie i naszym oczom ukazały się osmolone kawałki drewna. Idealnie dopełniały maskowania – wejście do sztolni było zupełnie niewidoczne. Wreszcie je odsłonięto i znów ujrzałem ziejącą czernią otchłań, znów poczułem zapach mokrego węgla. To właśnie była nasza „Achimówka”. Miejsce codziennej pokuty za grzechy. Nasz mały, prywatny kawałek Piekła.

Mgła zaczynała rzednąć i unosić się do chmur, niczym oddech ulatujący z piersi nieboszczyka. Mieliśmy mało czasu. Górnicy zaraz ustawili się przy zejściu i z wprawą

ześlizgiwali do dołu. Wszystko działo się bez słowa, w absolutnej ciszy. Byliśmy ostatni – ja z Tomaszem – i w końcu zostaliśmy na górze sami. On ruszał się pewnie, bez strachu, ja bardziej ostrożnie, z namysłem. Wreszcie i my zniknęliśmy pod ziemią. Achim sobie tylko znanym sposobem zasunął deski i jeno Bóg wiedział, żeśmy tu kiedykolwiek byli.

Sztolnię rozpoczynała rozległa, nisko sklepiona jama. Tu składowano sprzęt i urobek, tu schodziliśmy na odpoczynek. Dokoła wзираło mrowie ciasnych szczelin wrytych w czarnej skale – były to korytarze, tudzież jak tu mawiali: „hole”. Ciągnęły się one szmat drogi, dłużącej się, gdyż była to mozolna przeprawa. Przypór szczędzono, więc każde zejście pod ziemię było skrajnie niebezpieczne. I niezwykle powolne. Samo dotarcie do miejsca pracy zajmowało nieraz pół zmiany.

Nie bałem się o życie, wszak czuwał nade mną Bóg, jednak trud tej pracy nieraz mnie przerastał. Codziennie zadawałem sobie pytanie, dlaczego Pan przywiódł mnie tutaj. Ilekroć chciałem porzucić to zajęcie, przypominały mi się ostatnie słowa Ojca, wyszeptane z tak wielkim trudem na łożu śmierci: „Odnajdź Tomasza. Nie pozwól...”. Niestety nie dane mi było usłyszeć reszty przykazania. Dobrze znałem Ojca, przyjąłem więc, że chciał bym nie pozwolił, aby Tomaszowi stało się więcej co złego. I, Bóg mi świadkiem, sumiennie wypełniałem jego wolę.

Była nas silna grupa, wszyscy chłopcy na schwał. Nie pasowaliśmy z Tomaszem do tych ludzi, do tego miejsca. Widzieliśmy to po sobie. Widzieliśmy w twardych spojrzeniach pozostałych biedaszybników. Każdego Bożego dnia... Mimo to nikt się nie uskarżał, nie powiedział złego słowa. W tej pokątnej harówce wytworzyła się swego rodzaju wspólnota i mimowolnie staliśmy się jej częścią. Chwilami czułem się prawie jak niegdyś, w Domu. Źle wracać do świata wspomnień, do rzeczy które minęły. „To tak” – mawiał Ojciec. – „Jakby ich nigdy nie było. Jedynie teraz warte jest czynu, tak jak przyszłość modlitwy”. Wiedziałem to wtedy, w innym życiu. Wiem i teraz.

Wtem rozpoczął się przydział.

– Gustlik, Bernat! – krzyknął Achim, wręczając występującym górnikom narzędzia. Następnie wskazał ręką odcinek kopalni, w którym mieli pracować. Później wymieniał kolejne imiona, a każdy przychodził po swoje.

Nigdyśmy z Tomaszem nie brali w tym udziału, mój towarzysz upierał się przy jednym odcinku. Kiedy inni szwendali się przy sprzęcie, on brał oskard i schodził po drabinie do najciaśniejszego, najciemniejszego holu w całej kopalni. Ja szedłem za nim cierpliwie, uzbrojony we wiadro i szpicak. Achim z początku mocno się temu sprzeciwiał, ale w końcu

dał za wygraną. Tomasz był zawzięty, a przy tym znosiliśmy najwięcej urobku. Sztymar przymykał więc na to oko, tylko czasem przeklinając pod nosem „milczków”, jak zwykł nas nazywać.

Tak więc schodziliśmy z Tomaszem w głęboką czeluść, brnąc przez brud i mrok. On przodem, ja zawsze tuż za nim. Dobrzyśmy byli w tym fachu, najlepsi z całej zgrai. Znosiłem wiadra za wiadrami na górę, ku niemej radości Achima. Z początku nieufny, zaczął nas tolerować, a z czasem może na swój gburowaty sposób lubić. Dostawaliśmy lepsze narzędzia, więcej do jedzenia. Hutman był zadowolony. Gdyby tylko wiedział, co naprawdę działo się w naszym holu... Gdyby tylko ktokolwiek wiedział.

Tomasz nie szukał węgla, jak inni. Nie wydłubywał czerni ze skał, nie szukał wnek i nie drażył złóż. Jego wysiłki wydały mi się z początku pozbawione sensu, ale z czasem nabrałem przekonania, że pracował rozmyślnie. On rył korytarz. Cały czas do przodu, kawałek po kawałku. Wciąż głębiej, niżej w ziemię. Tak jakby wiedział dokładnie dokąd zmierzał i musiał dostać się tam za wszelką cenę. Śpieszył się, widać to było po nim. Wszyscy uważali, że po prostu jest pracowity, ale ja znałem go lepiej. On szukał, do czegoś rozpaczliwie dążył. A ja razem z nim, pamiętając słowa Ojca.

Tego dnia również przeznaczone nam było zejść w tunel. Wreszcie podjęliśmy swoje narzędzia, najlepsze na jakie biedaszybnicy mogli sobie pozwolić. Tomasz przyjął oskard i pewnie zszedł znów do Szeolu. Stojąc przy drabinie, zawahał się jednak. Odwrócił głowę, spojrzał na mnie. Widziałem wyczerpanie na jego twarzy i to... szaleństwo. Obłąd jego oczu. Zawsze czaił się za białkami, gdzieś na dnie źrenic. Wtedy wyszło to na powierzchnię, wszystko. I jarzyło się w ciemnościach kopalni. Płonęło żywym ogniem, wprost na mnie. Takim, widać, stworzył go Bóg. I doświadczał go tym stworzeniem – nie opuszczając, nie zapominając. Od urodzenia. Dlatego Tomasz był, jaki był. Dlatego musiał przed laty opuścić Dom.

Nigdy go dobrze nie znałem i niewiele pamiętam z dzieciństwa. Dom to bliska społeczność i zawsze sami rozwiązywaliśmy własne problemy, a jednak nawet Ojciec nie mógł nad tym zapanować. Zabrali więc Tomasza, a kiedy to nastąpiło... Żle się wtedy działo, źle. A później – tylko gorzej. Zgodziliśmy się oddawać ryby, płacić, w końcu posyłać dzieci do ich szkół. Ale mało im było, mało. Matka ostrzegała. Ojciec – nie słuchał. Być może to skłoniło ją do tego, co zrobiła. Być może. Niemniej, nic w moich oczach tego nie usprawiedliwi. Nigdy.

Dom już przepadł dla mnie i tylko mój towarzysz pozostał jego pamiątką. Za młodu Tomasz był obdarzony – mówił w językach – lecz na jego umysł Pan nałożył bielmo.

Brakowało mu miłości. Drzemało w nim zło, diabelska iskra, i po którymś zajściu go od nas zabrano. I nie widziałem go, nie słyszałem o nim, dopókiśmy nie odnaleźli się w lesie. Odszukałem go, a może on mnie? Odtąd byliśmy braćmi i razem brnęliśmy w głąb kraju. Prowadził nas, aż w końcu dotarliśmy tutaj. W tej straceńczej wyprawie oddalaliśmy się nie tyle od wspólnoty, ale i od tego, co dobre i słuszne. Przepadła dla nas miłość bliźnich a i nieraz myślałem, choć karciełem się za to, miłość Boga samego.

Wspominałem tamte straszne chwile gdy przedzieraliśmy się przez hol. Tunel był bardzo wąski i nisko sklepiony – wystarczył dokładnie na tyle, by jakoś przez niego przejść. Tomasz szedł przede mną – pewny i skupiony. Nie mieliśmy żadnego ogarka, choć inni się o nie wystarali. Wszystko robiliśmy w ciemnościach, jakby Tomasz uznawał światło inne niż słoneczne za bluźnierstwo.

Tak, żyliśmy tam w mroku, a jednak nie widziałem, aby mój towarzysz kiedykolwiek potknął się o te przekłete skały czy też przerwał skórę na ich ostrych brzegach, co mnie spotykało nagminnie. Tomasz stawiał stopy zawsze tam, gdzie było trzeba. Nie zachwiał się nigdy, choć nie miał żadnej wolnej ręki – w jednej bowiem trzymał kilof, w drugiej książkę. Coś jakby prowadziło go prosto do celu, gdziekolwiek był. Starłem się więc podążać jego śladem, powtarzając każdy ruch. Nabrałem przekonania, że choć Bóg naznaczył Tomasza piętnem słabego rozumu, być może udzielał mu w zamian wielkich łask. Później przestałem być tego taki pewien.

Po pewnym czasie, dłużącym się w mroku w nieskończoność, wreszcie dotarliśmy na przodek. Poprzedniego dnia natknęliśmy się na litą skałę i sprawa zdawała się beznadziejna – podobne formacje mogły się ciągnąć hen w głąb ziemi. Byłem ciekaw, co postanowi Tomasz. Tymczasem on przykucnął przed przeszkodą i namyśliwszy się chwilę, zaczął wertować książkę. Czytał w pełni skupiony, z oczami ożywionymi najwyższym podnieceniem. Czytał, mimo całkowitej ciemności. W nieprzeniknionym mroku.

Chwilę potem zamknął książkę i już wiedział, gdzie wbić kilof. Zaczął drażyć nieco w prawo i zaraz usłyszałem dźwięk kruszonego węgla. Zawsze rzecz się miała w ten sposób – Tomasz zerkał do swej książki, cokolwiek w niej było, i już za moment odgadywał, co robić. Nie pojmowałem tego fenomenu. Musiało to być jakieś fachowe pismo, może podręcznik górniczy. Tylko jak czytać cokolwiek gdy ciemno choć oko wykol? By nie zaprzętać sobie tym głowy przypisywałem nasze szczęście Opatrzności.

Szybko wybierałem skruszony przez Tomasza urobek – nieco skalnego złomu, znacznie więcej węgla. Nie napełniłem jednak dwóch wiader, gdy robota ustała. Zgarnąłem ręką resztkę czarnych okruchów i dopiero wtedy spostrzegłem, że mój towarzysz przestał ryc.

Zapadła głucha cisza przerywana jedynie przez nasze oddechy. On stał do mnie plecami, których szary kontur miałem przed sobą i nie byłem pewien, co robił. Już myślałem, że znów wertował książkę gdy nagle się zerwał. Odepchnął mnie i popędził w górę korytarza, z powrotem skąd przyszliśmy. Uderzyłem bokiem o skałę. Siedziałem tam chwilę, masując obite ramię, po czym ruszyłem za nim.

Tomasz pokonywał tunel tak płynnie, jak gdyby nie był skrępowany ścianami podziemi. W jego ruchach dostrzegłem wspomnienie dawnych czasów, chwil szczęścia gdy biegało się między ogniskami w noc przesilenia i uciekało radośnie przed falami przyływu. Tak właśnie biegł Tomasz – natchniony, wolny – a ja z trudem dotrzymywałem mu kroku. Wreszcie przebyliśmy tunel i mój towarzysz w paru susach wspiał się po drabinie.

Wszyscy już tam byli. Błazi i drżący, z duszami na ramieniach. Na środku komory stał Achim, wbijając wzrok w smolone deski. Biedaszybnicy milczeli, nikt nie śmiał wydać choćby najcichszego szmeru. Wtedy także i ja to usłyszałem. Głosy gdzieś na górze, krótkie i ostre – wykrzykiwane komendy. Zaraz rozległ się przeciągły gwizd i jakiś wrzask to urósł, by opaść gwałtownie i zaniknąć. Zbyteczne tłumaczyć komukolwiek z obecnych, co to oznaczało. Wypuszczono psy.

Naraz wstrzymaliśmy oddech. Ogary gończe szczekały i warczały na powierzchni, zacieśniając krąg wokół wychodni. Odnaleziono by nas lada moment, gdyby nie Tomasz. Przepchnął się na środek i zajmwszy miejsce Achima wznosił ręce ku górze. Podnosił je powoli i zatrzymał pół cala od sklepienia, tak że koniuszkami palców nieomal dotykał desek.

Tego, co zdarzyło się później nie sposób opisać. Żaden ze świadków nie potrafił odnaleźć słów odpowiednich, by oddać zadość tamtym chwilom. Gdy tylko Tomasz uniosł ręce psy przestały szczeleć. Zaraz zaskomlały, a ich jęki, które rozległy się potem, rozdzierały serce. Był to straszliwy skowyt, w ogromie bólu czy też strachu niemal ludzki. Psy pierzchły, czmychnęły chyba nawet od swych panów i popędziły Bóg raczy wiedzieć gdzie – jedno tylko, że daleko. Na nic się zdały wrzaski, na nic gwizdy. Po psach nie było już śladu.

Resztę zmiany przesiedzieliśmy, nie ruszając się z miejsca. Nikt już nie zszedł do sztolni, nie wyrzekł choćby słowa. Cisza zgęstniała jeszcze, a atmosfera stała się bardziej napięta. Achim wpatrywał się tępo w ziemię, pozostali górnicy zamknęli oczy i tkwili bez ruchu wsparci o ściany. Mnie także ogarnął ten zbiorowy szok i całe godziny siedziałem przykucnięty przy drabinie. Tylko Tomasz stał wyprostowany. Przechadzał się w koło, pieszcząc dłońmi swoją książkę.

Następnego dnia stawiała się do roboty może z połowa wczorajszej ekipy. Pozostali porzucili przedsięwzięcie i opuścili region, szukając zajęć gdzie indziej, zapewne jak najdalej. Niektórzy podobno całą noc przesiedzieli w kościele. Na biedaszybników padł blady strach i nawet nasz hutman wydawał się nieswój. Nie powiedział o nas złego słowa, jak to miał w zwyczaju, w jego kwaterze dostaliśmy lepsze jedzenie. W rozmowie ze mną wykazywał względną normalność, ale ilekroć spoglądał na Tomasza coś w nim zamierało i opuszczał nas czym prędzej.

Tylko paru górników cieszyło się z tego zajścia. Zaczęli szanować nas ponad miarę, widząc w Tomaszu proroka, świętego albo inną rękę Boga. Jeden z nich – zdaje się, że innowierca – wykazywał szczególną sympatię. Był to zagadkowy człowiek o pozbawionej emocji twarzy, małowówny. Widział w tym cud jakiś, znak od swoich bóstw. Słyszałem, jak w rozmowie z innym górnikiem zapewniał go, że nasz szyb został pobłogosławiony a gwiazdy nareszcie są nam przychylnie. Pracował odtąd ciężiej i z mniejszą rozważą, wierząc, że był pod opieką tychże gwiazd. Strop zapadł się na jego wyrobisku trzy dni później.

W nocy nie zmrzyłem oka mimo zmęczenia harówką. Dużo myślałem o Tomaszu, ale byłem już świadkiem niejednego i nie mógłbym powiedzieć, że to największe dziwactwo. Jeszcze w Domu działały się różne osobliwości z jego udziałem, a nocy kiedy szedłem przez las do miejsca, gdzie go przetrzymywano nie zapomnę nigdy. Chciałem go wyrwać ze szpitala, jak polecił Ojciec, a tymczasem to on mnie odnalazł. Wyłonił się z mroku, gdy przesadzałem mur. W białej koszuli ze sprzączkami, z książką pod pachą. Szalona była tamta pogoń, ale udało nam się zbiec. Dalej to mnie prowadzono.

Mój umysł porzucił i tamte wydarzenia, zagłębiając się w przeszłość. Ujrzałem Marię. Boże, gdybym mógł cofnąć czas! Przecież żyła tam dalej, być może wciąż na mnie czekała. Spodziewaliśmy się wtedy dziecka i mógłbym być ojcem, nawet o tym nie wiedząc. Porzuciłem ją brzemienną, uciekłem...

Próbowałem przypomnieć sobie jej twarz, lecz pozostawała nieostra. Była już tylko konturem, ledwie barwną plamą na płótnie wspomnień. Dziesięć lat razem, wcześniej znaliśmy się od urodzenia, a teraz... Niepamięć! Łzy pociekły mi po twarzy. Obudziłem się i chciałem sięgnąć po jej fotografię, ale zdjęcie zostało tam, w lesie. Swą materię oddawało ziemi, a obraz – niebu.

Spojrzałem na Tomasza. Spał twardo, ściskając na piersi książkę. On był niezdolny do tęsknoty i żalu, nie znał prawdziwych łez. Był w swoim żywiole. Poszukiwany, wygnany, zaharowujący się na śmierć na tej przeklętej ziemi. A jednak szczęśliwy. Coś dodawało mu siły, jakieś pragnienie, którego nie rozumiałem. Czułem, że rozwiązanie tajemnicy kryło się w książce.

Nieraz pytałem go o ten tom. Miał go, odkąd uciekł ze szpitala i nigdy nie wypuszczał z rąk, jakby był częścią jego osoby. Ta zagadka nie dawała mi spokoju, ale Tomasz milczał. Gdy raz spróbowałem mu ją wyrwać, zdzielił mnie na odlew tak mocno, że jeszcze długo miałem czerń przed oczami. Tej nocy, po tym jak w magiczny sposób odpędził psy, narodziła się u mnie obsesja. Musiałem zbadać tę książkę, zerknąć na nią choć na chwilę. Nie zważając na konsekwencje.

Kolejne dni miały nam spokojnie – przynajmniej na tyle, na ile w tym naszym zajęciu mógł istnieć spokój. Biedaszybnicy przybywali i odchodzili – w mniej lub bardziej gwałtownych okolicznościach. Stare hole się zapadły, kopano nowe, a węgiel płynął wiadrami na powierzchnię. Tomasz zaś pogłębiał swój tunel. Rył bez wytchnienia, z coraz większą zapalczywością. Rzadziej też zaglądał do książki, jak gdyby cel, do którego zmierzał, był już bardzo blisko. Znosiłem sterty urobku i Achim zdawał się zapominać o tym, że pozbawiliśmy go połowy załogi. Wszystko wracało do normy.

Zrobiłem to w nocy szóstego dnia. Była niedziela – idealny czas, jak mi się wydawało, na realizację zbożnych zamiarów. Na obiad była wodzionka z wkładką, później żona Achima przyniosła nam kolację – parę sznitek ze smalcem. To był dobry dzień. Położyliśmy się spać niedługo później. Odmówiłem pacierz i odczekawszy aż oddech Tomasza się wyrówna, przystąpiłem do działania.

Tomasz spał zawsze w tej samej pozycji. Równo i prosto, jakby stał na baczność, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Splecione dłonie trzymał na książce. Skradałem się do niego powoli, dzierżąc Biblię. Pismo Święte miało podobne rozmiary, co tajemnicza książka i w moim zamyśle wszystko musiało pójść gładko. Pochyliłem się nad śpiącym towarzyszem i z najwyższą ostrożnością zacząłem wyslizgiwać mu tom spod ramion. Przesuwałem go pod niewielkim kątem, jednocześnie pod lewy łokieć wpasowując Biblię. Szczęśliwie uścisk Tomasza okazał się lżejszy niż sądziłem i manewr zakończył się pomyślnie.

Cały czas obserwowałem jego twarz – z początku nieruchomą i spokojną, co przywiodło mi na myśl powiedzenie, że sen jest bratem śmierci. Gdy jednak na jego piersi znalazła się Biblia, usta wykrzywił mu paskudny grymas. Wyglądało to, jakby Pismo przygniotło go wielkim ciężarem, a powietrze ledwie dostawało się do ściśniętych płuc.

Obserwowałem to z coraz większym niepokojem, nagle jednak wszystko ustało i Tomasz spał jak poprzednio, nieporuszony. Odetchnąłem z ulgą.

Po cichu wyślizgnąłem się z izby i przeszedłem do piwniczki, starając się nie budzić gospodarzy. Tam czekała na mnie pożyczona z biedaszybu karbidówka. Zapaliłem lampkę i w jej trupiobladym świetle zacząłem oglądać książkę. Był to nienagannie utrzymany średniej grubości tom w białej, miękkiej oprawie, tu i ówdzie naznaczony stemplami szpitalnej biblioteki. Strony porozcinano bez szacunku dla papieru, całość wyglądała dość tanio. Zdziwiłem się, ale prawdziwy szok przyszedł, gdy zacząłem czytać.

Przekartkowałem całość parokrotnie i strony, choć czasem krzywo nadrukowane, były jak nowe. Czyste i w świetnym stanie, a przecież nieraz widziałem, jak Tomasz wodził po tekście brudnymi od węgla palcami. Później zabrałem się za lekturę. Przejrzałem spis treści, napocząłem parę artykułów. Był to zbiór luźno powiązanych ciekawostek – od tajemniczych zniknięć po „zakazaną archeologię”, jak nazwał to sam autor. Typowo rozrywkowe piśmko czytowane dla zabicia czasu. Żadnych świętych przykazań, instrukcji górniczych ani herezji. Nic z tego nie rozumiałem.

Zamknąłem książkę i już chciałem wychodzić, gdy nagle usłyszałem kroki na korytarzu. Poznałem ten rytm i dreszcz przeszedł mi po plecach. Skręciłem lampkę i zdusiwszy płomień, zamarłem w oczekiwaniu. Dźwięk zbliżał się z każdą chwilą, po czym ustał tuż przy wejściu do komórki. Drzwi uchyliły się z cichym zgrzytem. W progu stanął Tomasz.

Nigdy nie widziałem takiej emocji w jego oczach. Stał tam, napięty i groźny; trzymał przed sobą Biblię. Żuchwa chodziła mu w tę i w tę, oczy błędziły po ścianach piwniczki, szukając Bóg wie czego. Był wściekły, gotów do czegoś gwałtownego. Wreszcie skupił wzrok na mnie. Zamachnął się i cisnął mi w twarz Pismem Świętym. Złapałem je w locie, upuszczając jego książkę. Jednym susem doskoczył do mnie i podniósł ją z ziemi.

Tomasz zaczął obmacywać tom, strzepując z niego niewidzialny kurz na całej powierzchni. Jakbym zbrukał ten przedmiot, pokrył ją jakimś niewidzialnym brudem, który on musiał wyczyścić. Znów rozpałem karbidówkę i postawiłem ją przy nim na półce, by lepiej widział. Odwrócił się do mnie i wewnętrzną stroną dłoni zasłonił gorejący wylot lampki. W tej krótkiej chwili, zaledwie paru uderzeń serca, zanim egipskie ciemności zalały izbę, w jego oczach ujrzałem taką pogardę, że aż skręciło mnie w żołądku.

Krzyk, który rozległ się później, wstrząsnął okolicą. Tomasz wył nieludzkim głosem kogoś, kto nigdy w swoim życiu nie powiedział słowa. Czytał swoją książkę, wertował stronicę tam i z powrotem, ale cokolwiek w niej niegdyś widział najwyraźniej przepadło.

Wreszcie zaczął walić głową o ścianę, przyciskając tom do piersi, jakby było to dzieciątko zmarłe w połogu. Wrzeszczał tak pełen żalu, że gdyby nie było to przerażające, wzbudzałoby wielką litość.

Achim wpadł do komórki chwilę później. Na wpół zaspany wywlókł nas za fraki przed dom. Gdzieś zniknął jego strach przed Tomaszem i wstręt przede mną. Stary hutman był wściekły. Kopniakiem otworzył tylne drzwi i wypchnął nas obu z wielką siłą. Upadłem twarzą na skutą lodem ziemię ogródka, mój towarzysz obrócił się i runął na plecy, chroniąc książkę.

– Wynocha! – uniósł się Achim. – *Raus*, ale już!

Chciałem coś powiedzieć, błagać by nie zostawiał nas na mrozie. Gospodarz uniósł dłoń w znaku, żebym stulił gębę. Sztygar całkiem się rozbudził i zdał sobie sprawę, że ryk Tomasza musiał podnieść na nogi pół miasta. Patrzył na nas chwilę gniewnym, karzącym wzrokiem, po czym powiedział ostrym półszepem:

– Myślicie, że nie wiem coście za jedni? *Verfluchte Verrückte* – Splunął. – *Sheisse!*

Później wyłożył nam, że mamy się więcej nie pokazywać w pobliżu jego domu i że nie obchodzi go, co poczniemy. Zezwolił nam dalej pracować, ale nie mogliśmy więcej wchodzić między ludzi, inaczej by na nas doniósł – choćby za cenę zdemaskowania jego operacji. Słuchaliśmy gróźb w milczeniu, po czym zawiadowca biedaszybu zatrzaskał za nami drzwi.

Siedziałem chwilę na lodowatej grządce, próbując pozbierać myśli. Gdy chłód zaczął ziębić mi kości, podniosłem się i zabrałem za rozmasowywanie obolałych członków. Tomasz wciąż siedział na ziemi. Chciałem pomóc mu wstać, ale odtrącił moją dłoń. Ścisnął tylko tę swoją książkę, kiwając się stałym rytmem w przód i w tył. Patrzył gdzieś w dal, w jakiś nieokreślony punkt przed nim, widoczny tylko dla niego. Był załamany. Całkowicie przygnębiony. Cokolwiek wyczytał lub cokolwiek stało się z książką po tym, gdy ją przejrzałem, pozbawiło go sił.

Wreszcie przymocowałem go do ziemi i zacząłem przekonywać, by podązał za mną. Przeprowadziłem go przez ogród i wkrótce znaleźliśmy się na ulicy. Człapał ospale, błędnym wzrokiem omiatając otoczenie. Rzędy ceglanych familoków wpatrywały się w nas, niczym niemi świadkowie niedoli. W niektórych oknach jeszcze długo płonęło światło, a sylwetki rozbudzonych mieszkańców przemykały w żółtej poświacie niczym cienie brodzące przez światła dnia.

Szliśmy wolno posuwistym krokiem. Musiałem objąć Tomasza ramieniem i niejako pchać go w ten sposób, toteż wyglądaliśmy jak ludzie wracający z hulanki. To odwróciło od

nas uwagę i wkrótce miasto znów usnęło. Obrąłem kurs na kopalnię i zagłębialiśmy się w coraz to starsze zabudowania. Bure bryły prostokątnych bloków stawały się bardziej zwarte, a z czasem ze spokojnej dzielnicy sypialnej wstąpiliśmy do krainy przemysłu, którego monumenty wiecznie płonęły świętym ogniem pracy. Wszystko to pod przydymionym firmamentem nocy bez gwiazd.

Patrząc w niebo przypomniało mi się morze. Ołowiane chmury wrzały dokładnie jak Bałtyk na jesieni tyle, że powietrze zamiast natchnione solą było tu ciężkie od sadzy. Nie czuło się tej samotności, małości wobec ogromu wody, a za sprawą lamp gazowych mrok nie był tak nieprzenikniony. Jednak w rytmie maszynierii było coś z szumu fal, a wysokie ściany fabryk niemal oddawały potęgę klifów.

Oczami wyobraźni widziałem tamte wieczory spędzone wspólnie z Marią, gdy po modlitwie chadzaliśmy na plażę, podziwiać. Staliśmy nad brzegiem, czując wiatr we włosach i ciepły uścisk naszych dłoni. Potrafiliśmy stać godzinami w milczeniu, złączeni miłością niepotrzebującą słów. Teraz przemierzałem brudne ulice obcego świata, obejmując niemego, obłąkanego Tomasza. Mimowolnie zacisnąłem powieki, czując ćmiący ból żalu pod czaszką.

W końcu dotarliśmy do jedyne go miejsca, w którym nie groziła nam obecność drugiego człowieka. Odgarnąłem rękami szlam i wyjąłem deski, odsłaniając czeluść Achimówki. Największą trudnością było wtłoczenie do środka wciąż nieobecnego Tomasza, by nie zrobił sobie krzywdy. Gdy wreszcie udało mi się ta sztuka, sam ześlizgnąłem się do dołu i zacząłem zapieczętowywać wejście. Nie zrobiłem tego nawet w połowie tak dobrze jak nasz sztygar i wprawny strażnik mógłby nas z łatwością przyuważyć, ale było mi to obojętne. Chciałem tylko skulić się gdzieś pod skałą i zasnąć snem bez marzeń.

Gdy deski spoczęły na swym miejscu, Tomasz siedział w kucki przy drabinie do naszego tunelu, trzymając na kolanach książkę. Przyglądałem się, jak wpatrywał się w nią i czytał powoli, linijka po linijce. Przewracał strony z namaszczeniem, wciąż dbając by tom pozostał w nienagannym stanie. Ułożyłem się obok i próbowałem zasnąć. Ciszę mącił jedynie powtarzający się raz po raz szelest papieru.

Obudziłem się tuż przed świtem. Przez szpary w deskach przesączała się szarość poranka. Tomasz siedział w tym samym miejscu, nieustannie wertując książkę, jak gdyby robił to całą noc. W jego przygaszonych oczach dostrzegłem osobliwy wyraz, coś pomiędzy

rozpaczą a zrezygnowaniem. Wodził wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu, ale za nic nie chciały ułożyć się w przekaz, który dotąd niezawodnie go prowadził.

Reszta kompanii mogła zjawić się lada chwila, więc zacząłem przygotowywać się do pracy. Byłem obolały i zziębnięty, ale poza tym całkiem zdrowy. Wybrawszy narzędzia, położyłem je przed Tomaszem i dopiero wtedy zauważył moją obecność. Podniósł wzrok znad książki i spojrzał na mnie. Rozpalony obłędem gniew jego oczu przeszył mnie na wskroś. Bijąca z niego nienawiść poraziła mnie i przestraszyła. Cofnąłem się.

Byłem pewien, że Tomasz rzuci się na mnie i zacisnąłem pięści gotów do obrony. On jednak zamknął książkę i odłożywszy ją na bok, wziął oskard. Wstał, po czym zszedł do naszego odcinka wyrobiska. Chciałem ruszyć za nim, ale szok odebrał mi władzę nad ciałem. Tkwiłem nieruchomo, gapiąc się w biały prostokąt leżący beładnie na ziemi.

Jego kolor jaśniał w mroku, niczym idealnie foremna tafla lodu nasycona światłem księżycy. Mój towarzysz rozstał się z książką. Porzucona, leżąca pośród czarnego pyłu wyglądała tak osobliwie... Jakby nie należała do tego świata. I choć mogłem ją podnieść, nie zrobiłem tego, sam nie wiem dlaczego. Wtedy też, w tym smętnym przedświcie, widziałem ją po raz ostatni.

Achim zjawił się niedługo później. Najpierw zrugął mnie za źle zabezpieczone wejście do sztolni, później zaczął wypytywać o Tomasza. Nie dziwiło go, że mój towarzysz już pracował, ale fakt, że za nim nie podążyłem. Łypał na mnie z ukosa, po chwili jednak pokręcił energicznie głową i wręczył mi płócienny pakunek skrywający trochę chleba i dwie chude kiełbasy. Sztygar był przyzwoitym człowiekiem, choć nieraz wyklinał tę swoją cechę.

Inni górnicy przynieśli nam koce i bańkę z wodą. Naturalnie im podziękowałem, choć te podarki miały w sobie więcej przestachu niż życzliwości. Achim nie należał ani do ludzi przesądnych ani pobożnych, lecz znał się na ziemi i rozpoznawał jej znaki. Kopaliśmy u niego już długo, znosiliśmy najwięcej urobku, a jednak nasze wyrobisko nigdy się nie zawaliło. Pewnie głowił się nad tym, a nie znalazłszy żadnego wytłumaczenia, nabrał do nas swego rodzaju respektu. Mimo wszystko.

Zabrałem żywność i sprzęt, następnie zszedłem za Tomaszem. Odnalazłem go na przodku. Pogłębiał korytarz, waląc kilofem już nie z dziwnym entuzjazmem, ale rozpaczliwie. Jakby bał się, że zapomni o metodzie, z którą miał pracować i dokąd należało wytyczyć kierunek. Uderzenia nie były już tak precyzyjne, zdarzało mu się ślizgnąć ostrzem, nie odłupawszy choćby okrucha. Rył jednak bez wytchnienia, z tym większą zapalczliwością im gorzej szła robota. Nie robił przerw, nie spojrzał na jedzenie. Ledwie nadażalem z wynoszeniem urobku.

Przez następne dni postępy wyraźnie słabły. Spostrzegłem, że Tomasz stracił pewność ruchów. Potykał się, upadał. Zrozumiałem, że nie widział już tak dobrze w ciemnościach jak kiedyś. Gdy zaproponowałem noszenie ogarka zaczął krzyczeć i obawiałem się, że wyrzuci nas z kopalni. Pracowaliśmy więc nadal po ciemku.

Wkrótce mój towarzysz utracił także poczucie kierunku. Podejrzewałem to, gdy tunel przestał być regularny jak dotąd, a kiedy zaczął ryc dookoła napotkanej skały nabrałem pewności. Długo szukał dobrego miejsca, by ominąć przeszkodę. Nie znalazłszy go, usiadł przed zimną ścianą i począł wpatrywać się w nią bez końca. Ciągle odmawiał pokarmu i nie pił, nie zmrużył też oka. Siedział z dłońmi wspartymi na skrzyżowanych kolanach, nieruchomo jak posąg.

Próbowałem pomóc. Pragnienie przerodziło się w rozpacz, a gdy nic nie poskutkowało – w rezygnację. W miarę jak strumień węgla przysychał, Achim kwaśniał na twarzy. Z dnia na dzień robił się coraz bardziej opryskliwy, aż wreszcie przestaliśmy otrzymywać wikt. Sztymar wypytywał o Tomasza, a gdy zdałem mu sprawę ze stanu rzeczy zaśmiał się tylko, pełen pogardy. Uznał, że drażące mojego towarzysza szaleństwo strawiło go do reszty.

Sytuacja pogarszała się szybko. Głód zajrzał mi w oczy. Nie mogłem spać, targany poczuciem winy za stan Tomasza. On zaś siedział na końcu tunelu, wznosząc nieme modły do litej skały. Nie poddawałem się, prosząc Boga i Świętych o ratunek. Gdy nie zostałem wysłuchany, zaczęła mnie prześladować myśl, że być może Bóg nas opuścił...

Wtedy też w mojej głowie narodził się pomysł. Niebezpieczny, ponad wszelką wątpliwość nierozsądny. Przemyślawszy sprawę wraz ze świtaniem, zabrałem się do dzieła. Z kilofem w ręku zacząłem przeczesywać nasz tunel, szukając dogodnych złóż. Na początku ryłem płytko, tylko po bokach. Wkrótce odnalazłem też kominy idące w dół i kieszenie pod stropem. Korytarz pęczniał, dziurawił się i rozgałęział. Wiaderka z węglem znów zaczęły kursować pod stopy Achima.

Sztymar był zadowolony. Nie pytał o nic tylko zbierał urobek. Wkrótce dostałem prowiant, trochę słomy pod głowę i menażkę pełną wody. Pobiegłem zaraz przez nasz hol, nieomal nie wpadając do któregoś z niezabezpieczonych dołów, by podzielić się darami z Tomaszem. Nie wziął niczego, więc spocząłem przy nim i zabrałem się do dzieła.

Piłem długo i łapczywie, jadłem za trzech. Tamten pierwszy łyk wody, cierpkiej od stania w blaszance, był najprzedniejszym, jaki kiedykolwiek miałem w ustach.

Odtąd nie wyściubiałem już nosa z biedaszybu. Świat na powierzchni stał się dla mnie odległy jak wcześniej Dom. Zacząłem zapominać złote oblicze Słońca, co było łatwiejsze w zimowej aurze. Jedynym kolorem zanieczyszczającym wszechobecną czerń była bladość brudnego śniegu wsypującego się do sztolni wraz z przyjściem górników. Prócz tego znałem już tylko mrok, który moje oczy nauczyły się chłonać jak niegdyś światło dnia. Poruszałem się w ciemnościach z wprawą, wyraźnie widząc kontury podziemi.

Chłód na górze stał się nieznosny, toteż przenieśliśmy mój skromny ekwipunek do największej z wnęk w naszym tunelu. Przestałem drążyć na tym odcinku, bowiem raz naruszywszy węgla u stropu usłyszałem pomruk skał. Ziemię nade mną poruszył dreszcz napięcia – straszny w swojej sile. Skuliłem się, czekając na śmierć. Dźwięk jednak ustał i odmówiwszy dziękczynienie postanowiłem, że nie zbezczeszczę już więcej spokoju tych kamieni.

Sytuacja zaczęła się powtarzać także w innych miejscach. Czułem nad sobą zapowiedź katastrofy, a jednocześnie zaprzestawszy wydobycia, skazałbym się na głód. Wydrążyłem już wszystko, co się dało na całej długości tunelu, aż został mi tylko sam przodek, gdzie wciąż tkwił Tomasz. Codziennie sprawdzałem jego stan, ale nie poruszył się ani nie przyjął niczego, co mu zostawiałem. Według wszelkich praw powinien był umrzeć – trwał jednak wpatrzony w skałę.

Czas płynął tu innym rytmem. W znoju całkiem straciłem rachubę i kiedy nasza sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa, zechciałem się rozeznać. Znosząc ostatnie wiadro urobku, spytałem Achima o datę. Odpowiedział, że był dwudziesty pierwszy grudnia. Przesilenie zimowe! Ogarnął mnie żal na myśl, że pierwszy raz spędzałem Święto poza Domem. Podziękowałem za informację i wróciłem się do Tomasza. Przynajmniej nie byłem sam.

Mój towarzysz nawet nie drgnął. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, gapiąc się przed siebie. Na twarzy wymalował mu się jakiś dziwny rodzaj rozrzewnienia. Spocząłem przy nim. Nie jestem pewien dlaczego mnie to naszło, ale zacząłem opowiadać mu o Święcie. Wspominałem radość, która przeminęła i wszystkich minionych ludzi. Skończyłem słowami, że Bóg o nas nie zapomniał i czuwa. Zawsze, choćbyśmy zeszli w największą głębię, zawitali w najciemniejszą dolinę.

Później wyłożyłem mu sytuację w tunelach. Trzeszczące sklepienie, wyczerpujący się węgiel. Mówiłem to wszystko beznamiętnie, jakby czytanie z Księgi Przysłów. Wreszcie mój monolog przeszedł na Achima i datę.

– Dziś jest dwudziesty pierwszy grudnia – szeptałem, patrząc na jego profil. – Dzień przesilenia. Święto! A my tutaj... – Przerwałem i nagle zaświtał mi w głowie pewien pomysł. Przypomniałem sobie sentencję zmarłego górnika i, nie wiedzieć czemu, wyrzekłem:

– Nie martw się! Gwiazdy znów będą nam przychylnie.

Na te słowa Tomasz odwrócił głowę. Kości, dawno nieużywane, zatrzeszczały sucho. Odskokczyłem jak oparzony. Po tak długim bezruchu wydało mi się to nienaturalne, jakby poruszyła się statua w świątyni. Mój towarzysz podniósł się z ziemi zadziwiająco sprężystym ruchem i jego szara sylwetka zamajaczyła tuż przede mną. Następnie ujął moją dłoń i przyciągnął mnie do skały. Rozpoznałem nagłące spojrzenie i pojąłem w lot. Pobiegłem po kilof.

Ryliśmy bez wytchnienia. Stal kruszyła kamień, drobne iskry krzesane wraz z uderzeniami cięży mrok niby spadające gwiazdy mknące po nocnym niebie. Pracowaliśmy razem, ramię w ramię a skała ustępowała przed nami, piędź po piędzi. Wolałem nie myśleć o tym, co powiedziałyby Ojciec o pracy w Święto. Mimo zmęczenia nie zapomniałem o duchowości. Modliłem się, nadając własnym ruchom pewny rytm. Różnie można wielbić Boga i w tamtej chwili byłem przekonany, że nasze działania nie były Mu przykre. Przynajmniej pocieszałem się w ten sposób, rąbiąc w pocie czoła.

Nie wiem ile godzin zeszło nam na tej harówce. Wynosiliśmy urobek na zmianę, zasypując dziury, które wykopałem wcześniej, szukając węgla. To mój kilof pierwszy ugrzązł w skale. Niespodziewanie otrze wbiło się głębiej i zostało w miejscu. Bezskutecznie próbowałem wyrwać narzędzie i byłem zmuszony pomóc sobie szpicakiem. Tomasz zaprzestał pracy i przyglądał się temu z niezwykłą uwagą. Gdy wreszcie oswobodziłem żelastwo, mój towarzysz rzucił się do powstałej w ten sposób dziury i przytknął do niej policzek. Po chwili odstąpił, a ja uczyniłem to samo. Zamarłem, czując na skórze dotyk wilgotnego powietrza – po drugiej stronie była pusta przestrzeń.

Spojrzeliliśmy po sobie i zdwoiliśmy wysiłki. Okruchy skalne wbijały nam się w twarze, drzewce wpijały w ręce. Nie ustawaliśmy jednak, póki naszym oczom nie ukazał się ziejący czernią otwór – dość duży, by przez niego przejść. Stanęliśmy przed otchłanią i lekki chłód omiółł nasze ciała. Tomasz odstawił narzędzia, wszedł w mrok. Niepewnie ruszyłem za nim, mocno ściskając szpicak – moją jedyną broń przed nieznanym.

Jaskinia była rozległa, dość wysoko sklepiona – staliśmy w niej wyprostowani. Komora, w której się znaleźliśmy miała osobliwie płaską posadzkę, równą i nieopadającą nigdzie w widoczny sposób. Nie można tu było powiedzieć o głębi, raczej o dali – a ta rozciągała się przed nami gdzie okiem sięgnąć, jak jakiś potężny korytarz. Gdy wyteńczyć słuch dało się pochwycić kapanie, któremu wnet odpowiadało echo wodnego poszumu. Gdzieś tam musiała być woda, co tłumaczyło panującą tu wilgoć.

Tomasz rozejrzał się po jaskini i naraz ruszył przed siebie dziarskim krokiem. Za nic nie chciałem się tu zgubić, toteż podążyłem jego śladem. Ze zdumieniem spostrzegłem, że poruszaliśmy się po węglu. Posadzka była chropowata i lekko pomarszczona, usiana kruchymi wypustkami. Przypominało to torfowisko, niejako szerniałe i zastygnięte w czasie. Z początku ucieszyłem się z ogromu złoża, ale szybko jego niecodzienny wygląd nappełnił mnie niepokojem.

Po chwili zaczęliśmy napotykać dziwne kamienie osadzone w węglu. Regularne, gładkie i jakby... ociosane. Wrażenie rozmyślności ich ułożenia spotęgowało się, gdy te zaczęły tworzyć skupiska, z czasem formujące ścieżkę. Tomasz także musiał to zauważyć, odkąd bowiem napotkaliśmy chodnik, prowadził nas po nim. Szliśmy więc po smudze kamiennej szarości pośród nieruchomego morza czerni, za horyzont i niebiosa mając skały.

Nie przypuszczałem dokąd powiedzie nas ta droga, ani jaki był ogrom otaczającej nas mrocznej pustaci. Skupiałem się jedynie na tym by nie stracić z oczu pleców mego towarzysza, mając jego wykrzywioną sylwetkę za azymut. Nie pomnę jak długo szliśmy przez podziemia – może ledwie kwadrans, może całe godziny – tak byłem przejęty tajemnicą tego miejsca.

Nagle Tomasz przystanął, a ja nieomal na niego nie wpadłem. Wyteżyłem wzrok, próbując spostrzec przyczynę postoj. Przed nami znajdował się jakiś obiekt. Regularna formacja, czarniejsza od otoczenia. Coś jakby pół-rotunda lub studnia, na wpół wtopiona w skałę, na wpół unurzana w węglu. Obły monument o sporym promieniu, wyraźnie odcinający się od otoczenia. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Stałem oniemiały, lecz mój towarzysz podszedł bliżej. Tomasz począł uważnie badać tajemniczą konstrukcję i wodzić po niej dłońmi, jakby czegoś szukał. Po chwili wahania przemogłem się i zacząłem robić to samo. Skała była bardzo gładka w dotyku, szklista. Biło z niej wrażenie ciepła, chciało się objąć ją całą i chłonać tę dziwną energię. Obiekt przywiódł mi na myśl komin.

Całość była idealnie płaska, pozbawiona pęknięć czy szczelin – jakby odlano ją i osadzono tu przed wiekami, niby olbrzymi filar czy też kolumnę. Skończywszy badać

osobliwość, zdałem sobie sprawę, że straciłem z oczu Tomasza. Przerazenie ścisnęło mnie za gardło i już chciałem za nim zawołać, ale coś mnie przed tym powstrzymało. Postanowiłem więc obejść wypukłość, a jeśli bym nie zastał mojego towarzysza pozostać przy niej i czekać, aż powróci.

Odnalazłem Tomasza klęczącego przy zbiegu ciemnego materiału ze skałą. Ucieszyłem się na jego widok, ale zaraz pobladłem, widząc jak bije czołem w posadzkę, oddając czemuś pokłon. Gdy znalazłem się przy nim, poznałem naturę rzeczy. W czarniejszą od nocy skałę wkomponowane były dwie płyty, w dotyku podobne do metalu. Całość przypominała drzwi.

Gdy się zjawiłem, Tomasz wstał, jakby czekał dotąd na moje przybycie. Podeszedł do wrót i zaparłszy się o skałę, pchnął płyty z całych sił. Ku mojemu zdziwieniu podwoje ustąpiły, otwierając się bezszelestnie. Wnętrze skąpane było w szarości – nieco jaśniejszej od mroków podziemi, jakby gdzieś kryło się niewidzialne źródło światła. Wywarło to na mnie wrażenie przedświt, mocno przytłumionego przez pochmurny horyzont.

Gdy tylko drzwi się przed nami rozstały, z głębi jaskini doleciał nas pomruk. Straszliwy dźwięk prężących się skał. Znieruchomieliśmy, gotowi do ucieczki. Zaraz jęk ucichł, a po nim rozległ się ryk rumowiska. To właśnie walił się nasz tunel. Patrzyłem gorączkowo dookoła, ale znikąd ratunku. Już czułem pod stopami wibracje tąpnięcia, już zaciągałem przesycony węglem pył. Wtem Tomasz pociągnął mnie za rękaw i wbiegliśmy do środka tajemniczej konstrukcji. Mój towarzysz zamknął za nami drzwi.

Staliśmy przed metalem, oczekując rozwoju wydarzeń. Straszliwy ciężar napierał na podwoje i wydawałoby się, że skoro zdołaliśmy je poruszyć, dla potęgi Ziemi będzie to drobnostka. A jednak wrota wytrzymały napór niepoliczalnych ton gruzu i po chwili kakofonia podziemnej katastrofy ustała. Byliśmy ocaleni, lecz równocześnie – w potrzasku.

Przez pierwsze minuty po tąpnięciu żaden z nas się nie poruszył. W panującym w środku półmroku moje przyzwyczajone do ciemności oczy widziały wszystko doskonale wyraźnie. Drzwi, z zewnątrz gładkie – w środku naznaczone były ornamentami. Ostrokatne symbole, niczym wybite klinem, powtarzały się ustawicznie i wziąłem je za rodzaj pisma.

– Jak stare mogą być te wrota? – spytałem Bóg jeden wie kogo, a moje słowa poniosły się echem po tajemniczych wnętrzach.

– Starsze niż człowiek – powiedział ktoś tuż za moimi plecami. – Starsze niż dzieło stworzenia.

Odwrociłem się przerażony i ujrzałem Tomasza. Ledwie go poznałem, tak gwałtownej zmianie uległ w te parę uderzeń serca, odkąd tu zawitaliśmy. Wyglądał całkiem przytomnie,

a jego oczy opuściło prześladujące je zawsze szaleństwo. Nabrały wyrazu przenikliwości. Oto stał przede mną zupełnie nowy człowiek, a otaczająca go aura mocy i inteligencji napełniała mnie tyle podziwem co niepokojem.

Usta rozwarły mi się w zdumieniu ale mój odmieniony towarzysz nie powiedział już nic więcej. Gestem zachęcił mnie do podążania za nim i ruszyłem bez zastanowienia. Zupełnie ufny, nie wiedzieć czemu. Tuż przy drzwiach za obłym załomem znajdowała się opadająca w dół pochylnia. Miała równy kąt skrętu i tworzyła coś w rodzaju klatki schodowej. Schodziliśmy coraz głębiej, aż w końcu droga wyrównała się, zmieniając w prosty, kwadratowy korytarz.

– Dalej są schody, ale nie można t a m zejść – powiedział Tomasz, gdy pochylnię mieliśmy już za sobą. – Jeszcze nie teraz. Potrzeba... szukać...

Nigdy nie dokończył zdania. Zamiast tego począł badać ściany, zbudowane niezmiennie z identycznego materiału. Czarniejszego niż węgiel, smoła i mroźna noc. Bardziej mrocznego niż cień na dnie studni lub zadra w sercu złego człowieka. Wszystkie powierzchnie były tu gładkie, bez śladów łączenia. Jedynie na wysokości łokcia przebiegał pas oznaczony podobnym wzorem, co drzwi. To właśnie te fragmenty studiował mój towarzysz, powoli przemierzając tajemniczą budowlę.

Korytarz ciągnął się daleko, idealnie poziomo i prosto. Bez żadnych odnóg czy wnęk, wydawałoby się – nieskończony. Wszechobecny półmrok panował tu niepodzielnie, nigdzie nie dało się dostrzec cienia. Słabe światło jakby sączyło się z nagich ścian, powstawało samo z powietrza. Tomasz nie dziwił się temu ani trochę. Szedł nieco przygarbiony, rozglądając się na boki. Uparcie czegoś szukał, raz po raz przystając, by przyjrzeć się symbolom.

– Ileż byłoby łatwiej, gdybym wciąż posiadał Wiedzę! – zawodził, próbując wyłuskać coś spomiędzy geometrycznych wzorów.

– Masz na myśli książkę? Przecież ją porzuciłeś – odparłem, przypominając sobie błady prostokąt leżący przy sztolni.

– Wiedza przepadła – rzucił zagadkowo. – Wcześniej. Nie zrozumiesz.

– To przeze mnie, prawda? Bardzo mi przykro.

Tomasz nie odpowiedział, a natychmiast powrócił do badania prastarego pisma.

– Byli tu, odkąd stygła planeta – mówił, a ja uważnie słuchałem. – Byli, gdy pojawiła się woda, byli, gdy dźwignęły się góry.

Dalej wspominał deszcze i pierwszą zieleń, później bagna piętrzące się u stóp tych, którzy byli. Wieże wznoszone coraz wyżej. Meteory, lód i ogień. Pierwsze zwierzęta, zbyt prymitywne by złożyć pokłon.

– Tyle kosmicznych katastrof, ziemskich tragedii, a oni byli, byli, byli – powtarzał. – Eony, miliony lat temu!

W Domu nauczano, że świat Boży miał sześć tysięcy lat i zawsze wydawało mi się to aż nadto. Tymczasem Tomasz opowiadał o tym, co działo się p r z e d t e m. Zасыpywałem go gradem pytań, lecz ignorował mnie i wciąż czytał, przytaczając historię, którą – jak można było poznać po głosie – skądś już znał. Zatkaną uszy, nie chcąc słuchać tych bluźnierstw, ale on mówił, mówił i mówił. Wodził palcami po symbolach i przemawiał coraz głośniej, nieomal przechodząc w krzyk. Gdy byłem już bliski szaleństwa, ucichł. Wyprostował się i stanął jak wryty. Opuściłem ręce a ciszę przeszło jego westchnięcie.

Mój towarzysz stał w progu bocznego przejścia, niewidocznego z korytarza, dopóki się przed nim nie znalazło. Ściany rozszerzały się w tym miejscu, jakby miały utworzyć jakąś salę, ale przejście było zawałone gruzem. Tomasz oddychał szybko, przestraszony lub też podekscytowany. Wpatrywał się intensywnie w coś w dole, a gdy powiodłem za nim wzrokiem, także to zobaczyłem.

Ze sterty gruzu sterczał podłużny kształt, z daleka przypominający gałąź. Zbliżyłem się ledwie na chwilę, ale od razu cofnąłem, widząc więcej szczegółów. Była to jakaś straszliwa ręka, trójpalczasty szpon. Pradawna, zaciśnięta kończyna skamieniała wiekiem. Wolałem nie myśleć, do jakiego należała stworzenia i jakie szczątki spoczęły pod zwałami skalnego złomu. Przeżegnałem się, a bojaźń Boża wypełniła moje serce.

Tomasz padł na kolana przed truchłem. Nie widziałem, co przy nim robił. Po chwili usłyszałem jego szept, w dookólnej ciszy głośny niby krzyk. Nie rozpoznałem w nim żadnych znanych mi słów. Głos brzmiał niezwykle nabożnie, jak modlitwa. Słuchałem w skupieniu, powoli zbliżając się do mego towarzysza.

Nagle Tomasz zerwał się i zdzielił mnie pięścią w brzuch. Cios w wątrobę wyjął mi powietrze z płuc. Upuściłem kilof i zgiąłem się w pół. Zaraz spadło na mnie kolejne uderzenie i osunąłem się w dół. Poczułem, jak moja głowa unosiła się i waliła z mocą o posadzkę. Pociemniało mi przed oczami. Powoli zapadałem się w siebie, w otchłań beczucia i niepamięci.

Szczęśliwie uderzenia szybko osłabły; Tomasz nie miał dość sił. Udałem zdrętwienie i zwolnił się uścisk na moich włosach. Usłyszałem kroki. Krew zalewała mi oczy, ale eteryczna szarość tej pradawnej budowli nie pozwalała mi oslepnąć. Widziałem więc jak Tomasz przypadł do szponu i próbował go rozchylić, wyrzeć cokolwiek dzierżyła ręka. Bezskutecznie.

Tomasz wił się przed nieporuszonymi szczątkami, cicho zawodząc. To dało mi czas. Wiedziałem, co muszę zrobić i czułem, że nic w całym moim życiu nie było tak ważne. Powstrzymać go, nie pozwolić! Wstałem, mimo bólu. Bliski omdlenia. Uniosłem szpicak, zamachnąłem się i z całym impetem wbiłem mu w czaszkę. Żelastwo weszło po drzewiec. On wyprostował się, napiął i drżał przez chwilę, po czym runął na wznak. Jego twarz zastygła w wyrazie śmiertelnego zdziwienia.

Tomasz leżał martwy. Zamordowałem go. Spojrzałem na swoje ręce, brudne od krwi – cóż z tego, że własnej. Kręciłem głową z niedowierzaniem, próbując wyprzeć się tego, co uczyniłem. Na próżno – czasu nie dało się cofnąć. Znów nawiedził mnie ten wieczór, gdy zmarł Ojciec. Jego też zamordowano – wiedział o tym i ja także wiedziałem. Matka posłużyła się brucyną. Przyszła do mnie, nim zmarły ostygł i powiedziała, że Ojciec musiał umrzeć. Mówiła później, że wie jak zaradzić naszej niedoli, uzdrowić Dom. Ocalić wspólnotę. Przekonywała, że to ja powinienem zostać nowym Ojcem, z nią u boku. Przrzekała mi miłość i wierność, a jedyne co musiałem zrobić, to zabić Marię – złożyć ją w ofierze przyszłości.

Nie wiem, jakie zło opętało tę kobietę. Zaprawdę nie wiem. Udałem, że zgadzam się na wszystko, a gdy przyniosła mi nóż ofiarny Ojca, wyrwałem go i dźgnąłem ją w brzuch. Ostrze wchodziło gładko i czułem na sobie ciepłą krew. Jej krew. Ale mi to nie wystarczyło. Dźgałem i dźgałem, aż życie zgasło jej w oczach i jeszcze, dopóki wnętrzności nie wypadły na podłogę. Dopiero gdy leżała martwa przede mną, jak wtedy Tomasz, dotarło do mnie, że w tym, co zrobiłem wcale nie byłem lepszy...

Na wpół obłąkany objąłem Tomasza i przytuliłem go z całej siły. Zamknąłem mu powieki, modląc się za jego duszę – na modlitwy za własną już za późno. Dawno temu zostałem potępiony, ale ostatecznie przyczyną mojej zguby okazała się ciekawość. Zostawiwszy zwłoki towarzysza, skierowałem się do rumowiska, z którego wystawał szpon. Gdy się zbliżyłem, pradawne palce poruszyły się i rozchyliły.

Chłonałem wzrokiem płaski kawałek mlecznobiałego metalu leżącego w poluźnionym uścisku truchła. Jaśniał w szarym półmroku, emanował niezwykłą energią, której pożądałem a jednocześnie bałem się jej jak ognia. Jakieś podskórne przeczucie kazało mi zabrać rękę, a włos zjeżył mi się na karku. To było Zło. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem Głos. Nazwał ten przedmiot Kluczem. Powiedział, żebym się nie lękał.

Odkoczyłem i zacząłem szukać jego źródła, ale nic ziemskiego nie mogło go wydać. On rozlegał się w mojej głowie, tylko dla mnie. Piękny, miły i uprzejmy. Aksamitny, łagodny. Najwspanialszy Głos, nienależący do żadnego z ludzi. Głos wzywał mnie po imieniu

i powtarzał, żebym się nie lękał. Obiecywał mi wszystko, czego tylko mogłem zapragnąć. Musiałem jedynie sięgnąć po Klucz i zejść po schodach.

Odchodziłem od zmysłów, wyrzekając się Szatana, wzywając Boga i Świętych. Nie odpowiadali, tylko Głos kusił i powtarzał, żebym się nie lękał. Zatykałem sobie uszy, rwałem włosy z głowy i biłem czołem o ścianę, ale Głos nie milkł nawet na chwilę. Biegłem przez korytarz i po pochylni byle dalej od skamieniałości, lecz Głos wzywał mnie z powrotem. Do Klucza i schodów. Kusił i powtarzał, żebym się nie lękał.

Modliłem się, długo i żarliwie, ale nie zostałem wysłuchany. Był tylko Głos. Kusił i powtarzał, żebym się nie lękał.

Siedzę teraz przy ciele Tomasza, obserwując Klucz jaśniejący w półmroku. Sporo czasu minęło, odkąd tu dotarliśmy. Sporo czasu. Głos mnie nie opuszcza. Jest jedynym, co słyszę prócz własnych myśli, ale i one giną pod jego naporem. Głos nigdy nie cichnie, tak jak szare światło nigdy nie gaśnie. Choć nie ma źródła.

Znam już każdy cal tej przekłetej, prastarej budowli. Dotarłem do końca korytarza. Byłem tam, gdzie zaczynają się schody. To miejsce, w którym poświata urywa się nagle, jak ucięta nożem. Jest tylko ciemność. Namacalny mrok, którego tafla pokrywa już pierwszy stopień. Boję się tych schodów, panicznie się boję. Ale Głos... Głos!

Obgryzłem już wszystkie palce. Do kości. Nie ma tu wilgoci, jak w jaskini, nie ma prowiantu. Nie ma niczego. Zapadam się w siebie; czuję, że nie zostało mi wiele czasu. Moja dusza już czeźnie w Piekło, ale to ostatnie zło, które jeszcze mogę popełnić przewyższa wszystko inne. Wiem to, jestem pewien. Znow zacząłem się modlić.

– Ojciec nasz, któryś jest w Niebie – intonuję, a Głos mówi, że Boga nie ma. Są tylko gwiazdy, z których przybyli. Ich moc jest wielka i należy do każdego. Dusza jest nieśmiertelna i krąży, nigdy nie opuszcza ciała. Tam zaś, w dole, każdy jest sobie bogiem i ja również mogę się nim stać. Muszę tylko wziąć Klucz i zejść.

– Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje – nie ustaję, a Głos mówi, że imiona są zmienne a miejsce, w którym się znajduję, jest najwyższą świętością. Było tu przed człowiekiem i jego bóstwami, będzie długo po nich. Nic doczesnego nie może mu zagrozić. I ja też stanę się wieczny, dołączę do nich. Na dzień świata, w czeluściach budowli. Głęboko, głęboko pod ziemią.

– Bądź wola Twoja, jako w Niebie tak i na Ziemi – proszę, a Głos mówi, że liczy się tylko moja wola. Przeszłość odeszła, przyszłość nie istnieje i teraz to jedno, co jest. Wezmę Klucz, zejść po schodach i stanę się panem samego siebie. Razem z innymi, podobnymi do mnie. Z tymi, którzy byli kiedyś i będą zawsze. Czekali, aż do nich dołączę. Tak długo czekali...

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj – błagam, ale manna nie jest mi darowana. Boję się śmierci z głodu. Głos mówi, że nigdy nie umrę. Mówi, że uczują na moją cześć. Tam, w głębinach. Muszę tylko wziąć Klucz i zejść, a napełnię żołądek. Czuję pustkę, nieskończenie bolesną. Pragnienie palące gardło i płuca, zatykające żyły. Nie ma już wody w moim ciele na łzy. Głos mówi, żebym się nie lękał. I że nigdy nie umrę.

– I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom – zawodzę pomny zbrodni, których się dopuściłem, a które naznaczyły moje życie nieścieralnym piętnem. Głos mówi, że zostanie mi odpuszczone. Na dole spotkam wszystkich. Ojca, Matkę, Tomasza. I mojego syna, który urodził się martwy. Spotkam ich tam wszystkich, wszystkich! Muszę tylko...

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego – wnoszę pod Niebiosą, a Głos mówi, że oni tańczą, tam w dole. Biją w bębny, grają na kościanych fletach. Śmieją się i radują, złączeni w wiecznym święcie. Tańczą, tańczą! Już słyszę muzykę płynącą w mojej głowie. Rośnie i rośnie. Drżąca, rozpuszczana. Słucham, a do moich modłów wkrada się melodia. Głos nuci ze mną. Mówi, że oni tańczą, tańczą. Powtarza, żebym się nie lękał. I że nigdy nie umrę.

– Amen! – krzyczę wreszcie, na całe gardło. Nikt mi nie odpowiada, żaden Bóg. Za to Głos nie ustaje. On jeden mnie nie opuścił! Nigdy, on jeden! Wyciągam rękę po Klucz i tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymuję się przed jego pochwyceniem. Otacza mnie śmierć. Pragnienie nie doskwiera mi już tak bardzo. Jestem błogi, lekki. Ogarnia mnie euforia, chcę śpiewać. Modlić się i wychwalać... Kogo?

Ponownie składam usta, by wymówić dobrze znane mi słowa. Milczę jednak, zamieram. Klucz błyszczy tak cudownie. Metal bije ciepłem, a ja mam palce ledwie cal od niego. Jest blisko, tak blisko! Mogę go mieć na własność. Zejść w dół schodów i żyć, nigdy nie umrzeć. Nie głodować, nie pragnąć. Odzyskać wspólnotę, miłość. Tańczyć. Nie lękać się! Głos to wie. Woła, jak pięknie woła! A ja śpiewam wraz z nim.

To moja ostatnia modlitwa.



PAN TIBOTHINI I JEGO GRA

Katarzyna Lupa

– Dobry wieczór, dobry wieczór, Szanownemu Państwu!

Z kłębow kolorowego dymu wyłoniła się niezbyt wysoka postać ubrana w zielony garnitur – Pan Tibothini!

– Cieszymy się, że jesteście z nami! – mówił rozradowany, przechadzając się po dużej, podświetlanej scenie. – Czas rozpocząć kolejny odcinek! Witamy w... "Zbiorowym umyśle – Grze Tibothiniego"! Witamy naszą najlepszą, niezastąpioną publiczność... Taaaaaak niech usłyszy nas cały świat!

Płynnym ruchem ręki wskazał na siedzących na trybunach ludzi. Większość z nich była ubrana w dziwne i bardzo różnorodne stroje. Siedzący pomiędzy blondynką, której usta były pomalowane granatową farbą, a drugą kobietą ubraną jedynie w strój kąpielowy, chłopak był przebrany za ociekającego ketchupem hamburgera. Obok niego siedziała nastolatka w sukience z czekolady i para otyłych, rudych bliźniaków w pomarańczowych dresach łapczywie spożywająca żelki.

– Jeeeeee (okrzyki z widowni).

–I o to chodzi! Brawa, brawa!

– Witamy również Państwa przed telewizorami, dajcie głośniej, bo... będzie się działo!

–Rozbrzmiewał głos Pana Tibothiniego.

Na te słowa publiczność synchronicznie poderwała się z miejsc, robiąc fale.

– I przede wszystkim... gorąco witamy tych najważniejszych. – Wskazał na czworo ludzi stojących po prawej stronie sceny. – Bohaterów dzisiejszego odcinka! Oto oni... wspaniała czwórka! Przedstawcie się, moi drodzy, niech świat waaaaaaas pozna!

Oprószyło ich jaskrawo żółte światło.

– Yuchuuuuu – dopingowała publiczność.

– Może... Zacznijmy od ciebie. –

Pan Tibothini energicznym krokiem podszedł do chudziutkiej dziewczynki. Mogła mieć najwyżej jedenaście lat. Ubrana była w skromną, beżową tunikę. Miała malinowe usta, cerę jasną jak mleko a włosy czarne jak węgiel. W jej ogromnych bursztynowych oczach malowało się przerażenie.

– Proszę, przedstaw się.

– Nazywam się Elzabi.

– Ach, Elzabi, witamy cię serdecznie. – Pocałował ją w policzek. Nie każdego uczestnika obdarowywał pocałunkami. Te zarezerwowane były tylko dla tych najbardziej... kruchych. Dla tych, dla których nie było już nadziei.

– Proszę, podejdź do misy. –

Wskazał stojące na środku sceny naczynie wypełnione czarną smołą.

– Co mam zrobić?

– Zanurz się w niej.

– Pan Tibothini uśmiechnął się szeroko.

Dziewczynka niepewnie podeszła do kanciastego przedmiotu. Poczwała zapach zgnilizny.

- Jeszcze bliżej... Musisz wsadzić głowę.
- Enzabi! Enzabi! – dopingowała publiczność.
- Tak, dokładnie! Głośniej, głośniej!
- Mam coś znaleźć?

Błądziła wzrokiem po czarnej tafli. Chyba nie była do końca świadoma tego, co się dzieje. Mocne, wręcz oślepiające światła, głośna, rozrywająca głowę muzyka i rozprasające okrzyki dochodzące z widowni sprawiały, że czuła się jak... we śnie. We śnie, z którego jak najszybciej powinna się była obudzić.

– Znajdź swoje wybawienie bądź...– Spojrzał na okupujące trybuny tłumy. – Bądź... zgubę.

Chuda jedenastolatka zanurzyła głowę w naczyniu.

Pstryk.

Pomarańczowa powierzchnia pod stopami. To pierwsze co zobaczyła. Stała na środku boiska do koszykówki. Było zimno, bardzo zimno. Spojrzała w górę. Niebo było rozdarte. Ujrzała na nim kometę. Leciała w jej stronę. Dziewczynka próbowała biec. Otaczające ją budynki zaczęły się rozpadać. Bloki, sklepy, drzewa... wszystko niszczało. Nie zatrzymywała się. Biegła. Wiedziała, że musi biec...

Pstryk.

– No cóż, proszę Państwa. Minęło dziesięć minut a Enzabi nie wróciła. A więc... przepadła. –

Na jego twarzy zagościł smutek, smutek, który w ciągu ułamka sekundy przeobraził się w szeroki uśmiech.

– To znaczy, że zostało ich już tylko trzech! Hahah, jak pięknie się nam ta gra rozkręca! Dobrze... w takim razie kto następny? – zwrócił się do stojących z boku uczestników. – Które z was zechce jako kolejne zmierzyć się... ze swoimi lękami?

– Ja. – Mężczyzna w podeszłym wieku podniósł rękę.

– Brawo! Jak się nazywasz? – Rozradowany przystawił mu do ust mikrofon wysadzany kryształami. – Przedstaw się, chcemy cię poznać.

– To była moja wnuczka... – głos mu zadrżał.

– Ona? –

Wskazał na dryfujące w misie ciało.

– Moja Enzabi...–

Starzec zacisnął powieki, nie chciał jej takiej oglądać. Nie mógł znieść widoku martwej, oblepionej czarną mazią wnuczki.

– To może uda ci się ją ocalić. Czy chcecie, aby... nie przedstawił się pan.

– Nazywam się Gavro.

– Gavro! Mocne, męskie imię. Damy Gavro szansę na ocalenie wnuczki?

– Ratusz ją! Ratusz! – krzykali.

– Dobrze, zatem starcze, wkładaj głowę do miski, ratuuuuuj wnuczkę.

Pstryk.

Mężczyzna znalazł się w tej samej scenarii. Znajdował się na boisku do koszykówki, otaczały go rozpadające się budynki. Na rozdartym niebie dostrzegł kometę. Zmierzła w jego stronę.

– Enzabi!

Był przerażony tym miejscem, ale jeszcze bardziej przerażał go fakt, że gdzieś tutaj jest jego wnuczka. Gdzieś tutaj, sama, bezbronna.

Biegł. Krzyczał. Szybko tracił siły.

Dziewczynka siedziała na kamieniu. Jej ciało było oszronione. Wydawało się, że spędziła tutaj już kilka godzin. W rękę trzymała nóż. Co chwilę wbijała go sobie w udo.

– Co robisz, dziecko?!

Było dużo krwi.

– Nie mogę przestać – odrzekła.

– Daj! –

Starzec próbował wyrwać jej nóż. Uchronić przed zgubą. Bezskutecznie. Dziewczynka trzymała go bardzo mocno.

– Wykrwawisz się.

– Nie mogę przestać – powtórzyła, po raz kolejny raniąc się w nogę.

– Nie zostawię cię tutaj.

Robiło się coraz zimniej. Gavro usiadł obok. Objął wnuczkę najmocniej jak potrafił. Spojrzał w niebo.

Pstryk

Hmmm. Coś długo nie wracają – roześmiał się Pan Tibothini. – Czyżby potrzebowali pomocy? Co proponujecie? – zwrócił się do bezgranicznie oddanej mu publiczności.

– Wysłać trzeciego!

– Tak... tylko kogo?! Kogo teraz? Ej, ty! – Wskazał na pobrudzonego dżemem mężczyznę. – Kogo do nich wysłać? Została dwójka wspaniałych: śliczna brunetka i chłopak w okularach. Któremu z nich uda się szczęśliwie sprowadzić dziadka i małą Enzabi?

– Dziewczyna, niech idzie. – Obliznął się tłuszczem.

– Cudownie! Przedstaw się!

– B... Bell. –

Rękawem czerwonego swetra wytarła spływającą po policzku łzę. Płakała, wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła przestać.

– Czemu płaczesz?

– Nie płaczę – zaprzeczyła.

– Przecież widzę.

– To nic.

– Możesz mi powiedzieć... – zaproponował czule niczym zatroskany przyjaciel.

– Bohs się... – wyszeptała

– Co? Wybacz, słuch już mam nie ten. Głośniej, moje dziecko.

– Boję się.

"Obyś nigdy nie zanurzyła się w czarze wypełnionej krwią diabła" przypomniły jej się słowa ojca. Ojca, wyruszającego na wojnę, z której nie było mu dane wrócić.

– Ale... czego się boisz, najdroższa? Przecież tutaj nic ci nie grozi. Spójrz tylko jak tu przyjemnie. – Złapał jednego z latających po studiu motyli.

– Spójrz jaki cudowny.

Nie był prawdziwy. Prawdziwe powymierały dawno temu. Niektórzy woleli myśleć, że nie istniały wcale. Bo nie można tęsknić za czymś, czego nigdy nie było.

– Światła, więcej światła!

Scena zapłonęła tysiącem kolorów.

– Podejdź do misy.

Pstryk.

Ta sama sceneria. Przerazający chłód. Boisko do koszykówki. Rozpadające się budynki. Rozdarte niebo i kometa zmierzająca w jej stronę.

– Panie Gavro?

Biegła.

– Pomocy! Tutaj! – odezwał się dziecięcy głos.

– O Boże... co się stało? – zapytała.

Dziewczynka była niemal cała umazana krwią.

– Mój dziadek, szybko... – Kazała jej podążać za nią.

Mężczyzna leżał oparty o kamień. W jego brzuchu tkwił nóż.

– Proszę, pomóż mu.

Na prośbę dziewczynki Bell podeszła do staruszka. Na jego twarzy malował się spokój. Miał zamknięte oczy. Wyglądał jakby spał. Jakby śnił najpiękniejszy sen. Nie wyczuła pulsu.

– Przykro mi, on...

– Pomóż mu! – Enzabi cała się trzęsła. Nie mogła zapanować nad strachem.

– On nie żyje.

Bell opadła na ziemię. Była wyczerpana. Czuła tylko chłód. Wbijające się w skórę igiełki lodu.

Pstryk.

– Tik tak, tik tak, śliczna dziewczyna nie wraca. Ach! Szkoda. A więc... Zostałeś tylko ty. Przedstaw się! – Tibothini tanecznym krokiem podszedł do młodego mężczyzny w okularach.

– Nazywam się Huzier.

– Wyglądasz na mądrego, Huzierze! Jak bardzo silny masz umysł?

– Pracowałem w laboratorium. Byłem dobrym uczniem, chwalili mnie.

– Cudownie! Ich umysły są połączone. – Wskazał na trzy dryfujące w naczyniu ciała.

– Dołączysz do nich.

Tibothini objął mężczyznę, szepnął mu coś na ucho. Zaraz po tym Huzier zanurzył głowę w naczyniu.

Pstryk.

Stał na boisku do koszykówki. Na rozdartym niebie dostrzegł kometę. Bloki, drzewa, wszystko dookoła się rozpadało. Biegł, wiedział, że musi biec.

– Halo, czy ktoś tutaj jest? – Rozglądał się za pozostałą trójką.

– Tutaj! Jesteśmy tutaj! – zawołała Bell.

Mężczyzna w ciągu krótkiej chwili był już przy niej.

– Ona... chyba coś jest z nią nie tak. – Wskazała na tulącą ciało dziadka dziewczynkę.

– Dziadku, proszę obudź się – mówiła w zapętleniu.

– Spokojnie.

– Uratujesz nas? – zapytała Bell. Widziała w nim wybawcę. Kogoś, kto zdoła wyprowadzić ich z tego piekła. Było już tak zimno. Tak długo czekała aż ktoś przyjdzie im z pomocą.

– Tak, uratuję nas. – zapewnił.

– Chodź, musimy uciekać.

Oboje próbowali odciągnąć Enzabi od starca. Kometa była coraz bliżej. Temperatura spadała w zastraszającym tempie. Kolejne budynki zamieniały się w stos gruzu.

– Nie! Nie zostawię mojego dziadka!

– Musimy uciekać — przekonywała ją Bell. – Chwila... gdzie nóż? – Zorientowała się, że narzędzie nie tkwi już w ciele mężczyzny.

– Tylko jedno z naszej trójki może wygrać.

Huzier bez chwili zastanowienia cisnął ostrzem w małą Enzabi. Po jej rumianym policzku spłynęła tylko jedna łza. Chwilę później leżała już martwa na ziemi. Tuż obok swojego dziadka.

– Niecee! –

Bell poderwała się do biegu.

– Nie uciekniesz mi, jestem szybszy.

Mężczyzna rzucił się w pościg. Był łowcą, ona przerażoną dziewczynką w czerwonym swetrze.

– Proszę, nie zabijaj mnie!

Zabrakło jej sił. Upadła.

– Ciii. – Chłopak przystawił jej nóż do szyi. Nie miała szans. Nie miała dokąd uciec.

– Proszę...

– Przepraszam... w innym świecie nigdy bym cię nie skrzywdził. –

Wyszeptał, po czym poderżnął jej gardło.

– I teraz jestem już cały twój... – Opadł na kolana.

Kometa dotknęła ziemi.

Pstryk.

– Oto i on! – zawołał Tibothini, widząc wynurzającego się z misy chłopaka.

– Huzier! Huzier! – wiwatowała publiczność.

– Proszę Państwa, oto zwycięzca trzy tysiące pięćset siedemdziesiątego drugiego odcinka "Zbiorowego umysłu – Gry Tibothiniego". Brawo! Brawo! Proszę... oto twoja nagroda. – Rzucił mu pajdę czerstwego chleba.

Huzier szybko ją podniósł. Schował do kieszeni, jakby to był najcenniejszy skarb.

– Zapraszamy serdecznie już jutro, na kolejną porcję rozrywki! –

Tibothini zniknął w kłębach kolorowego dymu.

Widownia ucichła.

Światła zgasły.

Pstryk.



PRZEGRYW

Arkadiusz Buczek

Byłem życiowym przegrywem.

W tej chwili wiedziałem o tym bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Właśnie umierałem. Leżałem w zatęchłej bramie i czułem, jak uchodzą ze mnie resztki życia wraz z juchą i śliskimi jelitami rozwłóczonymi wokół mnie jak pieprzone confetti. Nigdy nie trzymałem się go pazurami, bo też szczególnie mnie nie rozpieszczało, ale jak wszyscy do pewnego stopnia go lubiłem. Najwyraźniej urodziłem się pod niewłaściwą gwiazdą, a suma moich złych wyborów spowodowała, że koniec nastąpi właśnie tutaj, w tak godnych pożałowania warunkach.

Nie czułem już zimna czy dreszczy, a jedynie przyjemnie pochłaniające mnie uczucie ciepła i błogości, a więc koniec był już bliski. A to oznaczało, że muszę streścić się z moją opowieścią, by wyjaśnić, jak doszło do tego niefortunnego momentu w moim życiu. A w zasadzie to już chyba w byłym życiu.

Tylko od czego tu zacząć, kiedy wszystko było tak posrane?

Od jakiegoś czasu byłem prywatnym detektywem. Oczywiście nie takim, jak ten medialny pajac z kanciastą fryzurą, czy ci fartowni durnie z seriali i filmów odgrywani przez popularnych aktorów. W tym zawodzie na próżno szukać splendoru, przygody czy choćby misji. O ratowaniu świata albo chociaż niezłej dupy z sąsiedztwa, można od razu zapomnieć. Tak naprawdę praca prywatnego detektywa to straszne nudziarstwo i przeraźliwa rutyna. Jeżdżenie albo łożenie bez końca po mieście, wielogodzinne siedzenie w samochodzie, palenie papierosa za papierosem, żarcie wystygłych fast foodów, przebieranki dla niepoznaki, no i masa zdjęć (tych ostrych i tych gównianych, z których klient będzie niezadowolony i nie zapłaci za nie), czasami niewielka bójka, a sporadycznie ostry wpierdol i nocna wizyta na SOR.

Jednak przez dwanaście lat pracowałem z powodzeniem w policji, a swoją niezłe rokującą karierę zakończyłem w zabójstwach, gdy wydano mnie z hukiem po dziwacznej sprawie z psycholem grasującym w Sopocie. Nie złapałem go. Nawet nie zabiłem, chociaż miałem na to wielką ochotę. On po prostu... przeistoczył się... w coś innego. Zespolił się z inną materią. Nie mam teraz możliwości, żeby zagłębić się w tą historię, bo czuję, że czasu mam coraz mniej. To jednak definitywnie zmieniło moje dotychczasowe życie, jak i postrzeganie mnie przez moich przełożonych, którym wyczerpały się resztki pokładów cierpliwości względem mojej osoby. Jeśli do tego dodać moje uzależnienie od alkoholu i innych środków oraz ekscesy, w których brałem niejednokrotnie udział po ich zażyciu, wynik jest oczywisty.

Mogłem zrobić dwie rzeczy, żeby nie pójść na dno, gdzie, nie przeczę, bardzo mnie ciągnęło. Wstąpić po starej znajomości do ochrony i cieciovąć w śmiesznym mundurze na jakimś gównianym obiekcie aż do śmierci, albo uzyskać licencję prywatnego detektywa i zrobić jeszcze coś pożytecznego w tym marnym życiu. Wybrałem pracę detektywa, licząc również na większe pieniądze i spokój do emerytury.

Na początku szło mi całkiem niezłe. Udało mi się zatrzymać dotychczasowe mieszkanie, auto i dziewczynę. Miałem małe obskurne biuro na mieście i pozwolenie na broń, z którą jednak się nie obnosiłem (ale lepiej ją mieć, niż nie mieć). Początkowo dzwoniło całkiem sporo klientów, prosząc mnie o pomoc. Zlecenia dotyczyły zazwyczaj banalnych spraw, jak udowodnienie niewierności partnerowi. Musiałem *wychodzić* taką osobę na mieście i sporządzić solidną dokumentację, popartą zdjęciami świadczącymi dobitnie o niewierności. Niby łatwa i niezła kasa, ale zajęcie było czasochłonne i niekiedy traciłem na śledzoną osobę wiele tygodni. Kobiety zazwyczaj były dużo ostrożniejsze od facetów, którzy

po prostu szli na żywioł za głosem swojego pożądanego i sterczącym kutasem. Trafiały mi się również zaginięcia od zrozpaczonych rodziców, opiekunów czy współmałżonków (wyjścia po papierosy to istna plaga) i sprawy spadkowe będące zazwyczaj zwykłym cuchnącym szambem.

No i były też nietypowe zlecenia. Chociaż w zasadzie sprawy zaczynały się typowo, ale ich rozwiązanie odbiegało daleko od oczekiwanej przez wszystkich normalności. Dajmy na to: facet zlecił mi odnalezienie krewnej, a ta krewna okazała się martwa. Tyle tylko że o tym nie wiedziała, albo wiedzieć nie chciała. Mieszkała, jak gdyby nic, w rodzinnej posiadłości, skutecznie powodując u okolicznych sąsiadów sraczkę z niewysłowionego strachu. Kim albo czym była? Nie wiem, nie dowiedziałem się tego po dziś dzień. Nie nawaliłem w spodnie, choć niewiele brakowało, by lepkie gówno spłynęło mi nogawką, ale solidnie zapiełem sytuację *post factum*. Mógłbym mnożyć przykłady, ale nie ma to teraz większego sensu, no i czas mnie goni. Dość rzec, że gdyby nie ta moja skłonność do uzależnień, mógłbym stać się jednym z niewielu, o ile nie jedynym detektywem parającym się sprawami nadprzyrodzonymi i uganiającym się za umarlakami (swoją drogą, czy jest na to jakiś numer PKD?).

Kiedy tak patrzę w przeszłość, zastanawia mnie, czy wszystko zaczęło się od tamtej pamiętnej sprawy Skryby z Sopotu, jak nazwała tego pojeba prasa, i zamieszkiwanej przez niego Szepczącej Kamienicy? Czy miało to początek w latach mojego niezbyt szczęśliwego dzieciństwa i przez lata kiełkowało we mnie, dojrzewało, by w końcu zaowocować w najmniej spodziewanej chwili i złamać mi życie umiejętnościami, których nie potrafiłem udźwignąć, na które nie byłem w żaden sposób gotowy? Ta zdolność pakowania się w niewytłumaczalne czy nadprzyrodzone historie mogła by być z pewnością darem od losu, gdyby została ofiarowana właściwemu człowiekowi. Ja jednak byłem zwykłym przegrymem.

W dzieciństwie miałem przyjaciela, z którym byliśmy nierozłączni. Miał na imię Jarek, ale wszyscy wołaliśmy na niego Bocian, bo był chudy, wręcz tyczkowaty, miał wielkie jak na swój wiek stopy i ptasi nos. Wychowywaliśmy się na tym samym podwórku z tkwiącym w centrum trzepakiem, które poznawaliśmy metr po metrze i którego broniliśmy zaciekle przed obcymi dziećmi. Buszowaliśmy w piwnicach naszej kamienicy i na strychu. Biegaliśmy po dachach i chowaliśmy się w okolicznym lesie przed gniewem rodziców. Łaziliśmy po drzewach i budowaliśmy niewprawne szałas, nasze tajne bazy.

Gdy mieliśmy po dziesięć lat, wydarzyła się tragedia, jakżeby inaczej. Wybraliśmy się z Bocianem nad jezioro kolejką miejską i później autobusem. Taka *prawdziwa* męska wyprawa, bez zrzędzących rodziców. W tamtych czasach na dzieci nie chuchało się i nie

dmuchało. Nikogo więc nie dziwił widok dwóch umorusanych gówniarzy w autobusie, dzierzących dumnie wędki-samoróbki, bez nadzoru osoby dorosłej i oczywiście bez biletów. Ryby zupełnie nie chciały współpracować za wyjątkiem jednego głupiutkiego jazgarza, któremu darowaliśmy wolność, więc zadowoliliśmy się kąpielą w przyjemnie chłodnej wodzie, gdyż przytomnie wybraliśmy zacieniony brzeg. Potem podokuczaliśmy trochę żabom (*Ene due rabe, polknął Bocian żabę!*) i postrzelaliśmy z naszych proc do ptaków, a gdy i to nam się znudziło, jak to dzieciom, Bocian wpadł na pomysł, żeby udać się na pobliską żwirownię. Nie musiał dwa razy powtarzać.

Ukryliśmy nasze wędki w przybrzeżnych zaroślach i poszliśmy, ale tylko ja wróciłem. Nie wiem, jak to się stało, ale tuż po tym jak przedostaliśmy się przez ogrodzenie zakładu, zjechaliśmy na dupach ze stromego piaszczystego brzegu i obaj znaleźliśmy się w wodzie o turkusowym odcieniu, wrzeszcząc wniebogłosy. Tam było cholernie głęboko i nie mieliśmy się czego ucześcić, więc próbowaliśmy trzymać się jeden drugiego, co nie było najszcześniejszym pomysłem, jako że obaj nie umieliśmy pływać. Zaalarmowany naszymi krzykami operator koparki przybiegł nam z pomocą, ale dla Bociana okazało się za późno. Niby chudy jak szczapa, ale pierwszy poszedł na dno. Widziałem jego nienaturalnie blade ciało, kiedy strażacy go wyłowili i ułożyli na brzegu. Siedziałem zziębnięty w kocu i żałowałem, że to nie ja. Tamtego dnia straciłem najbliższą mi osobę. Bezwrotnie, jak mi się wtedy wydawało.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę Bocian powrócił.

Tyle że w mojej głowie. Nie żartuję. Byłem autentycznie przerażony, kiedy po raz pierwszy od lat usłyszałem jego głos. Wyraźny i nieco skrzekliwy. Tylko wypowiadał się bardziej dojrzałe. Było to w czasach śledztwa dotyczącego wspomnianego Skryby i może to było katalizatorem. Nie wiem. Wiem jedynie, co wtedy czułem. Myślałem, że mi do reszty odjebało od chlania na umór i ćpania. Nie dopuszczałem do siebie nawet możliwości, że działo się to naprawdę. Bo niby jak to? Gadam z trupem?

Z czasem przywykłem do jego uwag i ostrzeżeń, a w końcu zaczęliśmy prowadzić ze sobą pełne dialogi, często spierając się na różne tematy. Problemem było to, że zanim nauczyłem się rozmawiać z Bocianem w głowie, wypowiadałem swoje kwestie na głos i niekoniecznie pod nosem. Moja ówczesna dziewczyna, Marta, starała się mnie ubłagać, abym zapisał się na terapię, ale ja wolałem się sponiewierać, niż komuś spowiadać ze swoich problemów. Po paru nieudanych próbach przestało jej zależeć i odeszła ode mnie. Mamy wciąż kontakt i czasem, kiedy pozwolę obić sobie mordę na mieście, widujemy się na SOR,

gdzie pracuje jako pielęgniarka na nocnych dyżurach. Dobra z niej dziewczyna. Przynajmniej ułożyła sobie życie z kimś mniej problematycznym.

Bocian i ja nadal się przyjaźnimy.

Ucieszyłem się, kiedy ten facet się ze mną skontaktował, bo od dłuższego czasu nie miałem zleceń. Trochę popiłem i poszwendalem się po mieście, a w tym czasie pieniądze na moim koncie nieubłaganie topniały i topniały... aż w końcu zostały mi grosze wystarczające na jedną podłą tatrę, którą właśnie leczyłem skutki poprzedniego wieczora (a może kilku?) i sarta nieopłaconych rachunków oraz wezwań do zapłaty.

Akurat wyzerowałem butelkę piwa przypominającego w smaku zwietrzałe szczyzny, kiedy odezwał się domofon. Byłem daleki od choćby dobrego samopoczucia, ale wizja głodu, chłodu i komornika odpowiednio mnie zmotywowała. Wcisnąłem pustą butelkę w kąt i poczłapałem do domofonu. Po drodze przejrzałem się w lustrze i pożałowałem: facet, który się na mnie gapił, miał czerwoną twarz i przekrwione oczy, był niechlujnie zarośnięty i rozczochrany. Ułożyłem włosy o tyle o ile. Nic więcej nie mogłem zrobić, bo klient był już u drzwi.

Człowiek, którego wpuściłem do swojego biura i mieszkania jednocześnie, przyglądał mi się bez przekonania. Pewnie zastanawiał się, czy dobrze trafił.

– Czy to biuro detektywistyczne *Marek Nocny i S-ka*? – spytał skonfundowany najwyraźniej, choć może tylko udawał.

– Tak, dobry wieczór, Marek Nocny – przedstawiłem się, podając mu dłoń na powitanie. Uścisnął ją skwapliwie. Jego drobna dłoń była nieprzyjemnie zimna.

– Czy przychodzę... hm... nie w porę?

– Skąd! – Zaprosiłem go gestem do pokoju będącego sercem agencji detektywistycznej *Marek Nocny i S-ka*. Całe szczęście ogarnąłem go trochę. – Prowadziłem śledztwo na mieście i byłem zmuszony wtopić się w trudne środowisko, rozumie pan... Imprezowe.

Kłamałem jak z nut, ale w dobrej wierze. Na szczęście mój nowy klient nie wnikał.

Wskazałem mu krzesło, a sam zwałem się ciężko na swoje za biurkiem, na którego niezbyt czystym blacie dopiero teraz zauważyłem kleiste kręgi pozostawione przez butelkę. Całe szczęście papiery zgarnąłem wcześniej do zagraconej szuflady, a przepełnioną popielniczkę opróżniłem i teraz trochę żałowałem. Chciało mi się palić.

Mój gość, jakby czytał w myślach, sięgnął do wewnętrznej kieszeni lekkiej czarnej marynarki i wydobył dwa cygara.

– Zapalimy?

Podsunałem w jego stronę popielniczkę i przyjąłem oferowane mi cygaro. Zgrabnie odpakowałem je i nonszalancko odgryzłem końcówkę, kiedy mój gość dystyngowanie użył małej gilotyny. Pstryknął zdobioną pięknie złotą zapalniczką i podał mi ogień. Biuro wypełnił gęsty i aromatyczny dym.

– W jakiej sprawie pan do mnie przychodzi, panie...? – Zawiesiłem głos i spojrzałem znacząco na przybysza.

Facet był niewielkim i korpulentnym człowieczkiem o lekko przerzedzonych włosach, zaczesanych do tyłu. Nienagannie ogolony, dobrze ubrany, na palcu serdecznym miał złoty sygnet z krwistoczerwonym kamieniem. Wyglądał na majątnego, ale nie takiego, który obnosi się ze swoimi pieniędzmi.

– Maksymilian Arnold Grabowski – przedstawił się z emfazą, jak człowiek czujący swoją przynależność do wyższych sfer.

– A więc z jaką sprawą pan do mnie przychodzi, panie Grabowski?

Kurdupel wypuścił kółko z dymu i wypalił:

– Chodzi o moją żonę!

No tak, pomyślałem ze smutkiem. Czego ja się mogłem spodziewać?

– Wie pan, panie Nocny, ona zniknęła... – powiedział z przejęciem Grabowski.

– Zniknęła – powtórzyłem i rozparłem się wygodniej w krzesło. Cygaro przyjemnie gryzło w gardło i w sumie miałem ochotę się napić, bo język mi zaczynał kołowacieć.

Grabowski jakby znowu grzebał w moich myślach, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zgrabną piersiówkę.

– Łyczka na rozjaśnienie umysłu? – spytał, wyciągając ją w moją stronę.

Przyjąłem piersiówkę z wdzięcznością, zgrabnie odkorkowałem i pociągnąłem zdrowego grzdyla wybornej whisky, jak się okazało. Przyjemne ciepło rozlało się po moim ciele. Oddałem praktyczne naczynie Grabowskiemu, ale sam ani nie wypił, ani nie schował piersiówki do kieszeni, a znacząco postawił na biurku pomiędzy nami, zachęcając mnie najwyraźniej do korzystania z jej zawartości bez większej krępacji. *Taki klient to prawdziwy skarb*, ucieszyłem się w duchu.

– No dobrze, panie Grabowski... Proszę mi naświetlić rzeczowo swoją sprawę, oczywiście nie pomijając szczegółów. Nawet takich, które wydawałyby się panu błahe czy nieistotne. Zamieniam się w słuch.

– Wie pan, jesteśmy z żoną dosyć sytuowanymi ludźmi, choć nie żyjemy na poziomie, na jaki nas stać. W zasadzie żyjemy dosyć... skromnie. Mieszkamy w starym domu w

Cisowej, ale mamy też... inne nieruchomości: zaniedbaną nieco kamienicę w Chyloni i drugą w Rumii. Mówiąc to panu, nie mam na celu przechwalać się, a jedynie naświetlam naszą sytuację finansową, gdyby... No wie pan.

– Rozumiem – powiedziałem grzecznie. – Proszę kontynuować.

– W każdym razie nie musimy z żoną pracować ani na etacie, ani w zasadzie w ogóle... Żyjemy z oszczędności oraz inwestycji... Małżeństwem jesteśmy na tyle długo, że już dawno dotarliśmy się, jak to się mówi. Znamy swoje wady i zalety, wiemy czego po sobie oczekiwać i w zasadzie nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Akurat, prychnąłem w duchu i sięgnąłem po piersiówkę.

– Żona jest ode mnie dużo młodsza i ma... hmm... dosyć nieposkromiony temperament, jak również wielki apetyt seksualny, rozumie pan?

Kiwnąłem głową i przełknąłem alkohol.

– Zbyt wielki jak dla pana? – spytałem, nie siląc się na takt.

– Owszem, ma pan rację, ale mnie to nie przeszkadza.

– Nie przeszkadza? – Musiałem się upewnić, bo może byłem już ponownie pijany.

– Zdaję sobie doskonale sprawę z jej potrzeb i akceptuję je całkowicie. Wiem, że sypia z innymi facetami. I to wieloma.

Pokiwałem w zadumie głową, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Takiego wyznania nie spodziewałem się od tego, w gruncie rzeczy, sympatycznego facecika.

– Ale niech pan nie myśli sobie, że moja żona prowadzi taki rozwiązły tryb życia na co dzień – sprostował. – Przez większość czasu jest cichą... domatorką. Jednak co jakiś czas, kiedy najwyraźniej nie ma siły już dłużej się powstrzymywać, znika z domu na noc lub dwie. Wyszumi się, wyszaleje i wraca skruszona, by znowu zapaść w swój... letarg. Aż do kolejnego razu.

– Kolejnego razu? – Skwapliwie uraczyłem się whisky. – Często mają miejsce te kolejne razy, drogi panie?

Grabowski wyduł mięsistą i bladą, aż siną wargę w udawanej zadumie.

– Raz w miesiącu... – Westchnął. – A czasami rzadziej – dodał szybko, jakby usprawiedliwiając niewierną żonę. – Ale wtedy właśnie znika na dłużej. Na dwie... no zdarzyło jej się kiedyś na trzy noce.

– I teraz właśnie zniknęła w ten swój sposób? – Wołałem się upewnić, czy dobrze zrozumiałem klienta. – Poszła w tak zwane tango?

– No... Tak. Poszła w tango, jak raczył pan to rzeczowo ująć.

Przez dłuższą chwilę robiłem młynka palcami splecionych dłoni, zastanawiając się, co też, u licha, powiedzieć, by nie urazić faceta i nie stracić pierwszego od dłuższego czasu klienta.

– Pan wybaczy, panie Grabowski, ale ja tu nie widzę problemu – wyrzuciłem z siebie w końcu. – Skoro wie pan, że żona wróci, kiedy się już... wyszumi... Bo robiła tak już nie raz i nie dwa... To po co, na Boga...

Grabowski niespodziewanie zachnął się, a jego sine usta wyduły się w grymasie niemej odrazy.

– ...Jestem potrzebny panu ja? – dokończyłem, zastanawiając się jednocześnie nad jego, bądź co bądź, niespodziewaną reakcją.

– Tym razem jest inaczej – wyjaśnił Grabowski, ocierając chusteczką czoło z niewidzialnego potu. – Nie ma jej już od pięciu nocy, a dzisiaj będzie szósta...

– Co według pana mogło się stać?

– Nie mam pojęcia, ale martwię się, rozumie pan, panie Nocny?

– Nie dała znaku życia, odkąd wyszła z domu? Nie dzwoniła do pana? Nie esemesowała? Nie przyszła w dzień, żeby przebrać się? Po kanapki? Po gitarę?

Grabowski smutno kręcił głową w odpowiedzi na każde z serii moich pytań, nawet tych ironicznych.

– Drogi panie, należy się panu jeszcze jedno istotne wyjaśnienie. Żyjemy z żoną w staroświeckim stylu i nie uznajemy telefonów komórkowych i tych wszystkich współczesnych świecidełek, bez których ludzie dzisiaj nie mogą się już obejść nawet, pan wybaczy, w sraczu. Nie posiadamy również telewizji i innych gównocudów nowoczesnego świata. Świata... Tfu! *Kloaki!*

– Rozumiem pana doskonale – zapewniłem. – Ja też nie mam telewizji. – Nie dodałem jednak dyplomatycznie, że odłączyli mi ją za niepłacenie rachunków, a dekodek i nowiutką plazmę zaniósłem do pobliskiego lombardu, zaś uzyskane ze sprzedaży tych fantów pieniądze uczciwie przepiłem.

– Jest jeszcze coś. – Grabowski spojrzał na mnie tak, że włoski zjeżyły mi się na karku. – Żona cierpi na porfirię. To u niej rodzinne. Ma na tyle duży wstręt do światła dziennego, że niemożliwym jest, aby opuściła dom przed zachodem słońca i wróciła po wschodzie. Z tego powodu ja również prowadzę nocny tryb życia, abyśmy mogli spędzać jak najwięcej czasu razem. Kocham ją najmocniej na świecie!

No tak, stwierdziłem, to musi być miłość. Tyle że zamiast gołąbków, mam tu puchaczki czy inne puszczyki.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli, panie Grabowski... Mam jej szukać w nocy?
- Dokładnie tak. Ma pan czas od zachodu do wschodu słońca, a to całkiem niemało.

Mylę się?

Zaprzeczyłem ruchem głowy, ale w żaden sposób nie mogłem powiedzieć, żebym zyskał przekonanie do tej sprawy. *No ale chcesz się najebać, musisz mieć za co*, jak mawiają menele pod sklepem nocnym.

- Ma pan jakieś pojęcie, gdzie... w jakich okolicach... lubi się... wyszumieć?
- Oczywiście, drogi panie. Tutaj, w Sopocie. A gdzieżby indziej w *Trzęgardu*?

Nie rozumiałem ostatniego słowa, ale nie zbiło mnie to z tropu.

- Wie pan, ile kosztuje godzina mojej pracy?
- W ogłoszeniu zamieścił pan informację, że 150 zł, zgadza się?
- Owszem, panie Grabowski. Ale skoro mowa jest o pracy w nocy, to zmuszony jestem poprosić o dwieście złotych za każdą godzinę. Życie nocne jest kosztowne, a w szczególności w Sopocie. Będę musiał pokręcić się po mieście...

Facet przerwał mój wywód niecierpliwym i niezbyt grzecznym machnięciem dłoni. Po raz kolejny tego wieczoru sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki (ile on ich miał?) i wydobył z niej gruby plik banknotów stułotowych. Chwilę odliczał kwotę, kusząco szeleszcząc, a potem położył mniejszy plik na blacie biurka i czubkami palców podsunął w moim kierunku.

– Płacę za trzy pełne noce rzetelnej pracy, panie Nocny – oznajmił władcym tonem. – Z góry. A jeśli pan się spisie, dorzucę małą premię. Czy taka umowa pana satysfakcjonuje?

Udawałem, że się zastanawiam, ale wzrok miałem nieruchomo wlepiony w plik zielonych banknotów leżący przede mną. Szybki rachunek dał kwotę prawie sześciu tysiąców i teraz gorączkowo próbowałem odgadnąć, czy tyle jest w pliku. Wiedziałem jedno. Byłem uratowany!

- Ma pan zdjęcie żony? – spytałem nieprzytomny ze szczęścia.
- Zdjęcie? – Grabowski robił wrażenie zaskoczonego. – Eee... Nie. Żona nie lubi robić sobie zdjęć... Ja w sumie też. Ale mam coś lepszego! – Wykrzywił usta w zadowoleniu, teraz autentycznym. – Portret.

– Portret? – Chyba się przesłyszałem.

– Tak portret. A w zasadzie szkic pewnego młodego artysty, który zdaje się, był zakochany w mojej drogiej żonie. Oczywiście bez wzajemności.

– Oczywiście – powtórzyłem i wziąłem od niego złożoną kartkę grubego papieru, którą wydobył z kolejnej kieszeni marynarki.

Rozłożyłem ją i szczeka mi opadła.

Szkic przedstawiał najpiękniejszą nagą kobietę, jaką zdarzyło mi się w życiu oglądać, a było ich niemało. Sam nie wiedziałem, czy jej ciało było tak doskonałe, czy pociągnięcia ołówka artysty. Może jedno i drugie.

Kobieta na rysunku przeżyła krągłe piersi ze sterczącymi kusząco sutkami, jedną rękę zarzuciwszy za głowę. Palce dłoni były wplątane w ciemne długie włosy, a z idealnej twarzy, na której błąkał się szelmowski uśmieszek jawnogrzesznicy, spoglądały na mnie niepokojąco ciemne oczy. Jedno z bioder było pięknie wyeksponowane, a niżej cudowne smukłe nogi, od widoku których zakręciło mi się w głowie.

– ...Znajdzie pan ją, panie Nocny? Moją żonę?

– Co? – Powoli i nieubłaganie wracała mi świadomość. – Tak, oczywiście.

– W takim razie skontaktuję się z panem osobiście za trzy noce – oświadczył Grabowski, wstał bezszelestnie z krzesła i odwrócił się w stronę drzwi, zręcznie omijając zawieszony na ścianie duże lustro.

– Jeszcze jedno!

Zatrzymał się w pół kroku z dłonią na klamce i uniósł cienkie brwi w geście zdziwienia, a może zapytania.

– Jak pana żona ma na imię?

– Roksana – odparł i już go nie było.

Roksana, Roksi. Roooksiii...

Już wiedziałem, jak spędzę dzisiejszą noc.

Po wyjściu Grabowskiego odczekałem taktownie dłuższą chwilę, zanim wybiegłem do najbliższego sklepu monopolowego. Kupiłem dużą butelkę starego pocziwego Jacka, zapas szlągów i parę piw na rano, czy raczej popołudnie, które zaraz po powrocie do domu włożyłem do lodówki. Jedzeniem nawet nie zaprzętałem sobie głowy. Szkoda mi było miejsca.

Siedziałem teraz rozparty na krześle i raczyłem się pyszną whisky, odpalając papierosa za papierosem. Moje myśli krążyły wokół Roksany, a oczy obmacywały ciało, które przedstawiał zostawiony mi przez Grabowskiego szkic. W sumie nie wiem, dlaczego tak na nią reagowałem, ale było to bardzo przyjemne uczucie i w dupie miałem wyrzuty sumienia.

Ty stary zbrozeńcu, zaśmiał się głupkowato Bocian przerywając moje rozkoszne majaki. Nie urwij sobie kuśki!

Jest i on. Gdzieś był, drogi współniku?

Cały czas z tobą, oczywiście, zapewnił. Woląłem jednak nie odzywać się podczas waszej interesującej pogawędki, ale słuchałem uważnie.

Nie rozumiem, zdziwiłem się. Zawsze jesteś tak cholernie gadatliwy...

Ma się rozumieć. tylko że z tym grubym frajerem było coś nie tak, coś bardzo nie tak...

W jakim sensie?

Nie miałeś wrażenia, że grzebie ci w myślach?

Zasepiłem się. Bocian miał rację. Facet zachowywał się jak jakiś cholerny jasnowidz.

Zgadza się. Poczułem niemal jak Bocian potakuje. I dlatego woląłem się nie odzywać.

Po co miał się o mnie dowiedzieć?

W sumie racja, mój drogi. Ale teraz chciałbym, żebyś zostawił mnie samego, o ile to możliwe. Mam coś cholernie ważnego do zrobienia...

Randka z babką ze szkicu? Spytał Bocian i poczułem, jak się uśmiecha.

Nie obraż się, Bocian, ale gównu wiesz o kobietach...

Niestety, Bocian nieznacznie posmutniał. Mam wciąż tylko dziesięć lat i nigdy już się nie zestarzeję... Ale swoje wiem.

To świetnie. A teraz żegnam.

Owocnych rękoczynów, przegrywie!

Obudziłem się w południe zarzygany i z ręką w gaciach.

Wzwód miałem imponujący, jak na takiego zapitego nieudacznika, więc dokończyłem ręczną robotę z nocy, zerkając na magnetyzujący szkic Roksany. Po wszystkim zwlokłem się do lodówki po wspaniale zimne piwo i wróciłem z nim do łóżka. Przez następną godzinę rozkoszowałem się zimnym leczniczym napojem i dymem papierosowym.

Sprawdziłem telefon. Jak zwykle mnóstwo spamu i nieinteresujących mnie zupełnie powiadomień z najróżniejszych aplikacji, zainstalowanych nie wiadomo po co. Przypomniały mi się wczorajsze słowa Grabowskiego. *Kloaka!*

Była też wiadomość od Marty:

Czesc, kretynie, zyjesz?

Cos mnie nie odwiedzasz ostatnio na SOR. (uśmiechnięta buźka)

Kurwa, ja zwykle bez polskich znaków. I te zaszrane buźki.

Wybacz, jakoś ostatnio nie zaliczyłem żadnego wpierdolu, odpisałem. Ale dostałem wczoraj nowe zlecenie, więc wszystko przede mną...

Upuściłem telefon na podłogę.

Miałem teraz w głowie tylko Roksanę.

Kiedy w końcu się zwlokłem, było już dobrze po południu.

Czułem się całkiem nieźle, a po prysznicu i kolejnych dwóch zimnych piwach byłem jak nowo narodzony. Uprzątnąłem trochę chlew w mieszkaniu, później złożyłem szybką wizytę we wpłatomacie i w drodze powrotnej do domu kupiłem coś do żarcia, bo zaczynało mnie nieprzyjemnie skręcać. Przy kawie i jajecznicy uregulowałem za pomocą przelewów zaległe rachunki i wreszcie czułem, że życie wraca na dawne dobre tory.

Przygotowałem trochę sprzętu na nocną eskapadę, bo czasu było coraz mniej. Na zaścielonym w końcu łóżku ułożyłem kaburę z naładowanym Glockiem 9 mm i zapasowy magazynek (w sumie nie wiem, po co go targałem), aparat fotograficzny Canon z dużym obiektywem, składany nóż wojskowy o niewielkich rozmiarach i ostrzu jak brzytwa oraz latarkę (na wszelki wypadek). Kaburę z gnatem przypiąłem do pasa, zapasowy magazynek wsunąłem do kieszeni bojówek wraz z folderem, który zaczepiłem klipsem o krawędź kieszeni. Niewielka latarka powędrowała do osobnej kieszeni. Canona zawiesiłem na ramieniu.

Byłem gotowy i czas był już najwyższy: do zmierzchu pozostała niespełna godzina.

Chyba nie zamierzasz jechać autem, odezwał się głos rozsądku należący oczywiście do Bociana. Pileś.

A co? Samochód lepiej mieć pod ręką...

Nocnik, przecież ty mieszkasz w centrum Sopotu! Tu wszędzie jest pod ręką!

W sumie racja. To chociaż aparat zaniosę...

Grzeczny chłopczyk!

Kiedy się ocknąłem, leżałem zarzygany w przedpokoju własnego mieszkania, jak często mi się zdarzało. Klepnąłem się w lewe biodro. Pistolet był na miejscu. W kieszeni wymacałem magazynek. Tak uspokojony przylgnąłem na powrót twarzą do zapaskudzonej podłogi i odpłynąłem w błogi niebyt.

W niespokojnej pijackiej malignie zobaczyłem Roksanę tańczącą ponętnie na jakiejś zatłoczonej sali pośród innych spoconych ciał, w upiornym filetowym świetle, które igrało z cieniami na jej twarzy uwodzicielki. Nagie piersi kołysały się dostojnie w takt muzyki. Patrzyła wprost na mnie i przyzywała mnie palcem wskazującym zakończonym długim fioletowym paznokciem... Kto by się oparł takiemu zaproszeniu?

Nie wiem, ile tak leżałem, ale kiedy doszedłem do siebie, było już naprawdę późno.

W głowie miałem zupełną pustkę. Niczego nie pamiętałem z ubiegłej nocy. Nie wiedziałem, gdzie byłem i co robiłem. Mogłem zapytać o to Bociana, ale w sumie głównie mnie to obchodziło. Gdyby miało to jakieś znaczenie dla prowadzonej przeze mnie sprawy, na pewno bym pamiętał, a przede wszystkim, gdyby był jakiś wynik, nie sponiewierałbym się aż tak.

Skontrolowałem godzinę. Było już po zachodzie słońca. Niedobrze. Czasu miałem coraz mniej, a termin realizacji nieubłaganie się zbliżał. Nie chciałem zaprzepaścić takiego honorarium, tym bardziej że już prawie całe wydałem. No i była jeszcze sprawa honoru, a w zasadzie jego smętnych resztek.

Szybko doprowadziłem się do porządku. Tym razem zbastowałem z piciem, mogłem więc w razie potrzeby pojechać moją wysłużoną i poobijaną skodą. W zasadzie była mi niezbędna tylko w wypadkach, gdy musiałem kogoś śledzić na dużo większych dystansach niż ulice Sopotu, albo robić temu komuś z ukrycia zdjęcie dla zleceniodawcy. Zazwyczaj w grę wchodziło jedno i drugie.

Zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem w sierpniowy upalny wieczór.

Kręciłem się po mieście bez większego celu prawie cztery godziny.

Była sobotnia noc, więc centrum Sopotu przeżywało charakterystyczne dla kurortu oblężenie turystów różnej maści i narodowości, chwiejących się już na nogach imprezowiczów, napalonych, głównie na sponsorów, cwanych panienek, żebrzących o drobne na swoje nałogi pijaczków i ćpunów. Może były w tym tłumie i zwyczajne osoby, ale jakoś nie potrafiłem ich dostrzec. Wiadomo, swój ciągnie do swego. Bez wątpienia byliśmy wszyscy warci siebie.

Zajrzałem do paru klubów i ogródków, ale bez większego przekonania. Noc była jeszcze młoda, a imprezy dopiero się rozkręcały. Wychyliłem dwa czy trzy piwa i parę kolorowych wódek i zaczęło mnie znosić na krawężniki, ale dopiero się rozgrzewałem. Jednak postanowiłem zwolnić tempo picia, by mieć jasność umysłu, kiedy już namierzę Roksanę Grabowską.

Zaszedłem na gwarny deptak. Chwilę poobserwowałem działania wróżki-naciągaczki, a później zszedłem na plażę, żeby uspokoić rozbujaane zmysły i pomyśleć we względnym spokoju. Za wydrami, tuż za okręgiem kreślonym światłem latarni, zauważyłem dwóch kolesi o śniadych cerach z opuszczonymi do kolan spodniami i gaciami. Wypinali dumnie sterczące fiuty, a przed nim klęczała dobrze nawalona panienska, obciążając im w zapamiętaniu. Najwyraźniej dziewczyna zamierzała sięgnąć po mistrzostwo w polerowaniu

torped na czas. Goście zaśmiewali się i komentowali głośno jej poczynania w nieznanym mi języku. Odszedłem taktownie w przeciwnym kierunku.

Ej, dalbyś trochę popatrzeć, co? Bocian najwyraźniej był poruszony.

Przestań się ślinić, gościu. Odpalę ci na chacie jakiegoś pornosa, to się napatrzysz do woli. Teraz mamy robotę.

Minąłem molo, przechodząc pod nim i skierowałem się za okrągłak, ku wyjściu z plaży. Nie znalazłem upragnionej ciszy, za to sterty śmieci i puste walające się butelki po piwie pozostawione przez grupki miłośników spożywania w plenerze, a które na bieżąco pracownicy zbierali menele. Dla nich była to praca jak każda inna. Byle przeżyć kolejny dzień.

Znowu byłem na deptaku i znowu nie miałem jasno określonego celu tej wędrówki. Wiedziałem, że muszę znaleźć żonę mojego klienta, ale póki co kręciłem się po omacku jak ślepiec. Poprawiłem pasek od aparatu fotograficznego zwisający mi z ramienia. Zaczynał mnie wkurwiać. Wcześniej stwierdziłem, że zabiorę go ze sobą, aby był pod ręką w razie potrzeby i będę pozował na turystę, przynajmniej przed przyjezdnymi, może od czasu do czasu dla niepoznaki markował robienie zdjęć, ale teraz najchętniej cisnąłbym go w pierwszy lepszy śmietnik. Z każdym kolejnym krokiem ważył coraz więcej, a dodatkowo objął mi się o bok.

W nagłym odruchu skręciłem w stronę Styksu, legendarnego sopockiego klubu. Coś mnie tam ciągnęło, ale niewykluczone, że to po prostu był magiczny duch zaklęty w butelce, niekiedy rezydujący w bibułce lub szklanej lufce.

Przed lokalem stało sporo ludzi w mniejszych lub większych grupach. Oderwani najpewniej od zabawy na parkiecie, ewentualnie niewpuszczeni przez bramkarzy do lokalu, pili alkohol ze sklepu, a pokątnie palili zioło, którego specyficzny mdły aromat unosił się wokół. Byli i tacy, którzy pod osłoną cienia rzucanego przez okoliczne drzewa, wciągali z ekranów swoich telefonów kreski. Jakaś parka leniwie bujała się na huśtawce na sąsiadującym z klubem placu zabaw.

Przebiśnieżyłem się do wejścia i szarpnąłem za klamkę ciężkich drzwi. Ledwie je uchylilem, a już nabity łysy kark zagroził mi wejście wielkim łapskiem. Nie powiem, że nie byłem na to przygotowany, więc szybkim ruchem wyciągnąłem z kieszeni koszuli legitymację prywatnego detektywa i podstawiłem mu pod wykrzywioną, najpewniej celnym ciosem, nos.

– Na chuj mi to pokazujesz? – burknął znudzony. – Znam cię... i dlatego nie wiem, czy chcę wpuścić.

– Służbowo – wytłumaczyłem, chowając legitymację.

– No dobra, włącz. – Odsunął łaskawie łapę, a kiedy mijałem go, wciskając się (złośliwy kutas nie mógł szerzej otworzyć drzwi) w duchotę przedśionka, dodał: – Tylko nie odpierdalaj, bo wyjebię na zbity pysk.

Udałem się prosto do palarni i zamówiłem w barze piwo, którego połowę odpiłem duszkiem. Uprosiłem barmana, którego znałem z widzenia, a on mnie na bank, żeby przechował mi Canona, z którym nie chciałem szwendać się po salach. Wyzerowałem piwo i przeszedłem się po znanych sobie zakamarkach klubu. Przy kiblach zauważyłem młodocianego dilerę nagabującego wchodzących i wychodzących z tego przybytku. Zaszedłem zwinnie gówniarza i chwytając mocno za kołnierz szykownej koszuli wciągnąłem do kibla. Grzmotnąłem nim o wykafelkowaną ścianę, aż odwrócona daszkiem do tyłu czapka zsunęła mu się na oczy.

– No co, kurwa! – Młokos szybko odzyskał rezon. – Nie boję się ciebie, chuju! Nie jesteś już psem!

– I właśnie dlatego powinieneś zacząć się bać – wycodziłem przez zęby, ściskając jego twarz, aż zaczął mi przypominać wigilijnego karpia wyjętego nagle z wanny. – Gadaj co masz dzisiaj w menu!

Strzelił oczami na prawo i lewo, a że nikt nie kwapił mu się pomóc, momentalnie skruszał.

– Zielone, białe i wariaty – wybełkotał przez ściśnięte usta.

– Białe z wysokiej półki czy średniej?

– Średniej. I... jeszcze niezły kryształ.

– No i super – ucieszyłem się. – Wskocz z worka i możesz spierdalać.

Puściłem gnojka, a ten odwrócił się taktownie do ściany i włożył rękę w gaście niemal po łokieć. Chwilę pogmerał w okolicy klejnotów, później poszeleścił i znowu zanurkował ręką w gaciach. W końcu odwrócił się do mnie ponownie z wyrazem triumfu na twarzy i małym woreczkiem w palcach, który zwinnie przejąłem.

– Jak dla ciebie to będzie...

– Po starej znajomości – dokończyłem sam, popchnąłem go w stronę drzwi i kopnąłem w dupę na pożegnanie. – A jak będzie chujowe, to wiem, gdzie cię znaleźć...

Gnojek wyparował, a ja zamknąłem się z towarem w kabinie. Wysyłałem trochę przezroczyстых kryształków na okładkę legitymacji (w końcu przydała się do czegoś konkretnego) i delikatnie zmiażdżyłem je na proszek, pomagając sobie płaską powierzchnią noża. Zebrałem to w dwie niewielkie ścieżki i wciągnąłem w obie dziury nosa za pomocą zrolowanej setki.

Uderzenie było naprawdę mocne, aż musiałem oprzeć się o ścianę. Po chwili poczułem przyjemne pulsowanie w skroniach i już mniej przyjemną, spływającą gardłem gorycz, którą musiałem niezwłocznie czymś popić. Otworzyłem z hukiem drzwi i wytoczyłem się z kabiny, wycierając po drodze nos, tak na wszelki wypadek. Czułem się wybornie. Byłem w szczytowej formie, jak pierdoleni Philip Marlowe i Sherlock Holmes razem wzięci.

Zamówiłem kolejne piwo i choć częściowo splukałem smak goryczy w ustach. Zajrzałem od strony baru na salę, gdzie był największy tłok. W zmieniających się dynamicznie kolorowych światłach, w niesamowitym ścisku tańczyli złani potem, pijani i naćpani ludzie do muzyki serwowanej z konsoli DJ-a, która ryczała z umiejętnie rozstawionych głośników (czułem na skórze gęste basy).

Na kilka sekund zapadła ciemność, dając wytchnienie uwrażliwionym oczom. Zmieniła się muzyka i układ par na parkiecie. Salę zalało trupiofioletowe zimne światło przecinane co chwilę białym ostrym promieniem. To było tak niepokojąco znajome...

Kiedy ją zobaczyłem, jeszcze przez dłuższą chwilę ta informacja nie docierała do mózgu (najwyraźniej kryształ wyjechał mnie za orbitę). Musiałem gapić się na nią jak ciele na malowane wrota, bo spojrzała na mnie tymi otchłaniami czarnych jak studnie oczu i pokiwała ewidentnie w moją stronę palcem zakończonym długim, fioletowym paznokciem. Stał mi. Serio. I nie mogłem się ruszyć.

W rzeczywistości była dużo piękniejsza, niż na jakimś tam gównie wartym artystycznym szkicu. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, jak dziewczyna eksponuje swoje wdzięki w miękkich kocich ruchach z uśmiechem błakającym na ustach pomalowanych ciemną zmysłową szminką. To był uśmiech kogoś, kto jest przekonany o swojej wartości, a zawsze i wszędzie ma wianuszek adoratorów. Mała czarna znakomicie prezentowała jej smukłe nogi.

Szybko otoczyło ją paru zaślinionych napaleńców, którzy ujrzeli w niej okazję na upojną noc, ale to ona rozdawała karty. Przykleiła się tyłkiem do jednego typa i zaczęła się ocierać o jego fiuta. Nawet z takiej odległości widziałem, że oczy uciekły mu w ekstazie. Reszta nie dawała jednak za wygraną i wściekle młóciła biodrami wokół niej. Nie odrywając się od typa, przyciągnęła kolejnego, łapiąc go wprost za krocze. Wybranek przyłgął do niej, obejmując jej biodra. Tańczyli teraz we trójkę ocierając się o siebie rozpalonymi, spoconymi ciałami, przeczuwającymi obietnicę wspólnej nocy.

Kiedy wróciła mi władza w nogach i przytomność umysłu, wskoczyłem na właściwe obroty i zabrałem się za swoją robotę. Krążyłem w dyskretnej odległości po sali i

przyległościach, nie spuszczać Roksany z oczu. Nie zwracała na mnie zupełnie uwagi, musiało mi się wcześniej przywidzieć. Dyskretnie sprawdziłem czas, upewniając się, że do wschodu słońca jest coraz bliżej. Wypiłem jeszcze jedno piwo, ale tym razem sącząc je, żeby nie przesadzić. Odebrałem od barmana swój aparat fotograficzny i przekabaciłem odpowiednim banknotem, żeby w stosownej chwili wypuścić mnie bocznymi drzwiami, z których korzystała obsługa. Nie chciałem stracić śledzonej z oczu, ale nie zamierzałem się głupio zdradzić.

Z niewypowiedzianą ulgą doczekałem chwili, kiedy towarzystwo zaczęło zbierać się do wyjścia. Nie była to ekspresowa ewakuacja, ale upewniwszy się, co do ich zamiarów, udałem się do bocznego wyjścia, którego drzwi otworzył mi barman.

Stojąc na tyłach klubu, zastanawiałem się gorączkowo, w którą stronę uda się Roksana ze swoimi fagasami. Na szczęście poszli w stronę centrum, gdzie łatwiej było pozostać niedostrzeżonym niż na terenie Parku Północnego.

Szedłem za nimi powłóczyстым krokiem pijanego w stosownej odległości, mając nadzieję że wyglądam jak każdy inny niedopity imprezowicz o tej strasznej porze. Trochę miałem w czubie, ale bardziej udawałem, gdyż noc bledła w zastraszającym tempie. Zdjęcia dowodowe postanowiłem robić dla niepoznaki z biodra, ryzykując ich jakość, chyba że sytuacja pozwoli na większą swobodę.

Minęli, zataczając się lekko, Hotel Grand. Jeden z typów podtrzymał Roksanę przed upadkiem, a potem zwarł się z nią w soczystym pocałunku. Drugi patrzył na to obojętnie z papierosem zwisającym z ust, szukając po kieszeniach zapalniczki. Pstryknąłem to.

Przeszliśmy przez Monciak i tu znowu nadarzyła się okazja do pięknego ujęcia. Jeden z typów objął Roksanę w pasie, ale drugi nie cackał się i złapał ją za tyłek. Nie wyglądała na oburzoną. Nacisnąłem spust migawki dwukrotnie, na wszelki wypadek.

Ich wizytę w sklepie nocnym przy Grunwaldzkiej przeczekałem na zewnątrz, przyczajony za wiatą przystanku, na którego ławce pochrapywał cuchnący i obszcpany pijaczek. Na szczęście była krótka i już zataczali się dalej z odbijającą się o nogi siatką, w której pobrzękiwały w rytm kroków butelki z alkoholem. Pstryk!

W końcu dotarli do zaniedbanej kamienicy obok pralni i zniknęli w łuszczącej się z farby bramie. Nie zdążyłem zrobić zdjęcia, ale po paru minutach okazało się, że mam nie tylko widok na okna mieszkania, do którego weszli, ale dzięki otwartym na oścież drzwiom balkonowym dobiegają mnie strzępki słów. Sprawdziłem bramę. Miała zepsuty domofon i mogłem łatwo wejść na klatkę. Postanowiłem poczekać trochę, choć czułem, że nie ma to

większego sensu, skoro Roksana nie opuści mieszkania za dnia. Zapaliłem papierosa, zastanawiając się, co więcej mogę zrobić...

Drgnąłem, kiedy dobiegł mnie zduszony męski krzyk przechodzący w piskliwy wrzask. I znowu! Nie, nie przesłyszałem się. To nie brzmiało jak okrzyki rozkoszy czy orgazmu. To była czysta groza. Po karku przeszły mi zimne mrówki, a włoski stanęły dęba. Co robić?

Podjąłem decyzję szybciej niż pomyślałem. Tak podpowiadał mi psi instynkt, choć dawno uspiiony i zapity. Wyszarpnąłem z kabury glocka i wślizgnąłem się przez bramę na tonącą w mroku stęchłą klatkę. Zapaliłem latarkę, żeby zlokalizować włącznik światła, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Przez całą wieczność, jak mi się zdawało, szukałem znaku, który wskazałby mi odpowiednie drzwi.

Nie leż tam, ostrzegł mnie nagle Bocian zatrwożonym głosem. *Zrobileś już swoje...*

Ale było już za późno, gdyż nagle zatrzymałem się przed drzwiami, które były po prostu... niedomknięte. Coś jakby przez roztargnienie, może pijacką niedbałość... Wsunąłem palce w szparę i otworzyłem je szerzej, modląc się w duchu, by nie skrzypiały. W środku nie paliło się żadne światło, nie było też jeszcze widno, na tyle, żebym mógł na pierwszy rzut oka rozróżnić kształty.

Zajrzałem do pierwszego z brzegu pokoju, ale był pusty i prawie zupełnie ogołocony z mebli, jeśli nie liczyć stojącego na środku starego stołu. W oknie wisiała niedbale ażurowa zasłona.

W drugim pokoju stały jakieś pudła i prawdopodobnie meble przykryte folią malarską. Oczy powoli przyzwyczajały się do skąpego światła i mogłem dostrzec coraz więcej.

Dalej, na przeciwległej ścianie, znajdowało się wejście do skromnie urządzonej kuchni, jak się okazało. O dziwo, to z niej wychodziło się na balkon, który widziałem stojąc na dole. Na parapecie i blacie stały otwarte butelki piwa i półlitrowa orzechówka. Pociągnąłem z gwinta całkiem spory łyk i poczułem się trochę raźniej.

Naprzeciwno kuchni był jeszcze jeden pokój i do niego skierowałem swoje kroki. Od drzwi uderzył mnie w nozdrza charakterystyczny zapach świeżej krwi i mdły odór śmierci. Zacisnąłem mocniej lewą dłoń na rękojeści glocka, a prawą popchnąłem drzwi... i zanim cokolwiek zobaczyłem, żołądek powędrował mi do gardła. Chyba tylko wypita chwilę wcześniej orzechówka uchroniła mnie od pawia, ale niewiele brakowało.

Pokój był dokładniej zaciemniony niż inne i byłem zmuszony ponownie użyć latarki. W jej świetle ujrzałem makabryczne dzieło szaleńca z rodzaju tych, których nie da się już zapomnieć do końca życia. Masywne szerokie łóżce z ostro skołtunioną pościelą niemal

w całości pokrywała krew, w niektórych miejscach zebrana w połyskujące czernią kałuże. Była również w rozbryzgach na ścianach i suficie, spływała z łóżka na stary zdezelowany parkiet i podchodziła prawie pod próg drzwi, w których wciąż stałem sparaliżowany strachem i obrzydzeniem.

Bezgłowy zmasakrowany trup jednego z fagasów leżał z rozrzuconymi ramionami i nogami na łóżku. Na nadgarstkach wciąż miał zakrwawione kajdanki, którymi był przykuty do ramy łóżka. W miejscu jego brzucha widniała potworna rana, z której wylewały się lśniące od śluzu i juchy trzewia. Drugi trup zwisał za nogi z kikuta po żyrandolu, dla odmiany przykuty kajdankami za kostki. Ręce dyndały bezwładnie nad kupą flaków, które wysliznęły się z rozprutego brzucha, znajdując zaczepienie tylko w jednym jelicie. Jego szyja była również pozbawiona głowy.

Zguby odnalazły się na toalecie, w której brakowało lustra. Głowy gapiły się na mnie z wyrazem zastygłego przerażenia w oczach i półotwartych ustach, a krew z nich ściekała gęstymi strugami do półotwartej szuflady. Po ich bokach w zastygłych plamach stearyny tkwiło parę świec, których nikt nie raczył zapalić. Całość wyglądała jak jakiś bluźnierczy ołtarz. Kurwa, ależ to było chore!

Wycofałem się cicho rakiem do przedpokoju, starając się stłumić rosnącą we mnie panikę. Przygryzłem boleśnie wargi, żeby nie wrzasnąć z ohydy, jaka mnie zewsząd otaczała. Odwróciłem się akurat, żeby zobaczyć, jak otwierają się drzwi od łazienki, które przegapiłem. Stałem twarzą w twarz z Roksaną!

Była zupełnie naga, a jej ciało parowało po kąpiel. Oparła się o framugę, odginając pięknie biodro i uśmiechnęła się zalotnie. Wyglądała tak nieziemsko, że mnie zamurowało.

Uważaj, syknął ostrzegawczo Bocian.

Podniosłem broń, ale było już za późno. Jedną ręką wyrwała mi błyskawicznie pistolet i odrzuciła go gdzieś w ciemność, drugą wyrznęła mnie boleśnie w twarz, która momentalnie mnie zapiekła, jak zajęta żywym ogniem. Paroksyzm bólu nie zdążył nawet trochę zelżeć, kiedy poczułem jej ciężar na plecach. Zacisnęła mi ramię wokół szyi, a nogi wokół bioder. Chryste, jaka była szybka!

– Dobrze się bawisz, przegrywie? – wyszczała mi do ucha. – *A ty, gówniarzu?* – Jej głos rozbrzmiał w mojej głowie. Był przepełniony złem i zwierzęcą furją.

Zeskoczyła z moich pleców, odwróciła mnie i trzasnęła prosto w nos. Zatoczyłem się na drzwi wejściowe i wyrznąłem w nie potężnie potylicą, aż pociemniało mi w oczach. Upadłem na kolana, a wtedy ona szarpnęła mnie za włosy, unosząc moją głowę do góry i

zmuszając, abym spojrzał jej prosto w oczy. Boże drogi, nie były już czarne, ale pałały rozpaloną czerwienią, a jej twarz wykrzywiona była w niepojętej wściekłości.

– Sprawdziłeś swój aparat, tępy skurwysynu? – Zerknęła gdzieś w kąt przedpokoju, gdzie pewnie wylądował Canon, o którym zupełnie już zapomniałem. – Nie? A szkoda, bo mógłbyś się mocno zdziwić widokiem dwóch obmacujących się pajaców. Może nawet zastanowiło by cię to...

Wyciągnęła długi i rozdwojony sinofioletowy język, a potem zlizwała z lubością krew z moich ust.

– Mniam, mniam! – Oblizwała się. – Mój nadopiekuńczy mąż wpierdolił cię na niezłą minę, co? Ale wiesz... Nawet gdybyś teraz się nie dowiedział, wykończylibyśmy cię później razem. Mój drogi Maksymilian jest ulepiony z tej samej gliny, co ja, choć tak rozkosznie ciapowaty... Rozkoszniak!

Uświadomiłem sobie, że jestem w dupie bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej.

Podniosła mnie za gardło, jakbym nic nie ważył i wyrzuciła za drzwi. Odbiłem się od ściany, upadłem na schody i stoczyłem na półpiętro bezwładnie jak worek ziemniaków. Ledwie jęknąłem z bólu, a ona była już przy mnie.

– Nie chcesz zdychać, co? – Znowu mnie postawiła do pionu. – Zatem witaj w moim świecie!

Wzięła zamach i zatopiła dłoń z rozcapierzonymi palcami, których długie fioletowe paznokcie były teraz czarnymi szponami, w moich trzewiach. Ból był potworny, a kiedy wywlekała moje jelita, zacząłem odpływać. Jeszcze w ostatnim widzie ujrzałem jak jej usta rozwierają się szeroko, ukazując długie i ostre kły... Potem świadomość litościwie mnie opuściła.

Słońce okalało kontur jego głowy świetlistą koroną, sprawiając, że nie sposób było zidentyfikować twarzy nawet po zmrużeniu oczu. Promienie spływały na ramiona i dalej w dół, wzdłuż nieforemnej, tonącej w cieniu sylwetki. Skąd tu słońce?

Wiedziałem jednak doskonale, kto to, zanim jeszcze dobiegł mnie jego nieco skrzekliwy głos.

– Długo tak będziesz jeszcze leżał? – spytał Bocian, a kiedy nie doczekał się z mojej strony żadnej odpowiedzi, dodał lekko zniecierpliwionym tonem: – Wstawaj, przegrywie!

Zamrugałem podrażnionymi od intensywnego światła oczami. Zdałem sobie właśnie sprawę, że po raz pierwszy od niemal trzydziestu lat nie słyszę jego głosu w głowie. Jak to się stało?

Bocian przesunął się ze słońca i wreszcie mogłem mu się przyjrzeć. Wcale się nie zmienił! No bo niby jak, skoro nie żył? Te same chude długie ręce i nogi zakończone przydużymi stopami, obutymi w wypłowiałe i zdezelowane korkotrampki (niegdyś marzenie każdego dzieciaka), na kolanach nieodłączne strupy, fioletowe od jodyny. Ptasi nos sterczał z umorusanej i uśmiechniętej głupio gęby. Za paskiem podtrzymującym krótkie i niemilosiernie brudne spodnie tkwiła jego ukochana proca z gumą z dętki i skórzanym siodelkiem na kamieniu i inne pociski. Lewą dłoń wsparł o bok, zaś prawą opierał się o dwie wędki-samoróbki. Nasze wędki! Przyglądał mi się badawczo, a kiedy z niemałym trudem i jeszcze większą niechęcią podniosłem się do pozycji siedzącej, zrobił tajemniczą minę i sięgnął za plecy, by po chwili wręczyć mi... Moją procę! Uwielbiałem ten okorowany kawałek drewna w kształcie igreka, wyswiecony i brudny od spoconych dłoni, z wysłużoną gumą i szytym grubą dratwą siodelkiem. Ileż to lat byliśmy nierozłączni, ile szyb wytłukiliśmy i przepłoszyliśmy ptaków! Byłem pewien, że zaginęła porzucona gdzieś w mrokach piwnicy w czasach, gdy powoli przestawało mnie interesować robienie drak, a zaczynały kręcić dziewczęce kształty.

– No wstawaj – ponaglił Bocian. – Czuję, że dzisiaj będą brały.

Wstałem więc i otrzepałem się z kurzu. Przy okazji zlustrowałem mój brzuch, ale najwyraźniej flaki miałem na miejscu, nie było również śladów krwi, ani świeżej, ani też zaschniętej. Zatknąłem procę zawadiacko za spodnie, tak by była należycie widoczna i budziła odpowiedni respekt. Wziąłem podaną mi przez Bociana wędkę i ruszyliśmy przez niewielką łąkę zarośniętą pokrzywami i innym zielskiem. Mój przyjaciel prowadził, ja zostawałem nieco z tyłu, jako że cały czas próbowałem zapanować myślami nad zaistniałą sytuacją. Ni cholery nie mogłem.

– Bang-bang! – zakrzyknął Bocian. – Nie żyjesz!

– Co takiego? – Jego słowa jakoś nie dotarły do mnie na czas.

– Jesteś trupem! – Odwrócił się do mnie z triumfalnym uśmiechem. – Tak jak ja.

– To znaczy, że... – zacząłem niepewnie, ale jakoś nie mogło przejść mi to przez gardło.

– Ukatrupiła cię, franca – dokończył. – A teraz rusz dupę, bo mam ochotę coś złowić!

Dalej szliśmy w milczeniu. Po paru minutach staliśmy nad pięknym polodowcowym jeziorem, tym samym, nad które jeździliśmy na gapę jako dzieciaki. Bocian nie zatrzymał się, domyśliłem się, że zmierza na nasze ulubione miejsce z zaniedbanym pomostem. Ruszyłem za nim bez słowa.

Chwilę później zachwiałem się i wyrznięłem w trawę, upuszczając wędkę. Dźwignąłem się z niemałym trudem na kolana i rzygnąłem prawie czarną krwią. Pociemniało mi w oczach, zakręciło się w głowie.

– Boo...aan – wydukałem przez krwawe bąble rosnące mi na ustach. – ...eekaaj.

Wrócił do mnie i nachylił się. Patrzył na mnie jak na psa z przetrąconą łapą.

– Do diabła! – zaklął i splunął w trawę. – A niech to szlag!

– Coo... ssiee...

Ukąsiła cię, szmata, usłyszałem w głowie, chociaż widziałem, jak porusza ustami. *Bezdzwięcznie. Wracasz.*

Przekrzywiłem głowę i spojrzałem w jego twarz nierozumiejącym niczego wzrokiem, szukając jakiegoś wyjaśnienia, które mógłbym ogarnąć rozumem. Wszystko zaczęło się rozmywać, a później ciemnieć. Czy traciłem przytomność?

Oczy tylko chwilę przyzwyczajały się do ciemności, nawet bardzo krótko. No i wzrok mi się jakoś wyostrzył ponad miarę. Jak na trupa czułem się dosyć rześko, co chyba akurat nie powinno mnie jakoś szczególnie martwić.

Siedziałem oparty plecami o przyjemnie chłodną ścianę w mroku bramy. Byłem cały we krwi, która powoli wsiąkała w ubranie, koszulkę miałem w strzępach, ale flaki nie ciągnęły się już po marmurkowej posadzce, co było jakimś pocieszeniem. Dotknąłem czoła, było cholernie rozpalone, a skóra nienaturalnie sucha. Dziwnie się czułem. Suszyło mnie, ale coś mi wewnątrz podpowiadało, że to nie jest kac. Więc co?

Zew, odezwał się w mojej głowie Bocian.

– Jaki zew? – szepnąłem zaskoczony i nagle ostatnie wydarzenia dotarły do mnie z całą mocą. – Nie! Kurwa! Nie!

Poderwałem się zadziwiająco zwinnie, jak na gościa, któremu niedoszła kochanka niedawno wypruła z lubością flaki i kopniakiem złamałem dwa poprzeczne, zdobne w motywy roślinne słupki. W ułamku sekundy podjąłem szaloną decyzję. Dolna część jednego z nich zakończona była wystarczająco ostrym końcem, bym mógł zrealizować swój plan. Wziąłem rozpęd spod ściany, odbijając się od niej energicznie plecami i przebiłem się tym sterczącym kawałkiem drewna przez pierś aż na wylot. Bolało jak skurwysyn! Głowa utkwiła mi pomiędzy ocalałymi słupkami, a ja sam półkłęczałem, półleżałem na posadzce, rzygając prawie czarną krwią na schody. Jeśli nie liczyć tego piekielnego bólu i cieknącej ze mnie juchy, nic więcej się nie stało. Nic, na co liczyłem. *Co się, kurwa, dzieje?!*

Nie trafiłeś w serce, cholerny przegrywie. Bocian zachichotał z wyczuwalną nutą przyjacielskiej złości. Nawet to spieprzyłeś koncertowo! Moje najszczerze kondolencje, Nocnik. Ale nie martw się, przecież ty i ja będziemy już zawsze razem, no nie? Nawet jako trupy.

Byłem życiowym przegrywem.

Nieumarłym przegrywem.



ROK 2084

Paweł Cieliczko

Staromodny, mosiężny dzwonek umieszczony nad drzwiami zabrzmiał donośnie. Mężczyzna w długim płaszczu zarzuconym na szary skafander z czerwonymi aplikacjami wkroczył do sklepu, na którego brudnej wystawie przeczytać można było złuszczający się napis „Księgarnia”.

– Kiedy miałeś ostatnią dostawę książek do swojej „Księgarni”, dziadziusiu? – rzucił kpiąco do wyłaniającego się zza regału antykwariusza.

– Trzydzieści lat temu zamknęliście ostatnie wydawnictwo – odpowiedział starzec z godnością.

– Jakież to było barbarzyństwo. – Omiótł spojrzeniem pnące się do sufitu regały wypełnione książkami. – Ile puszczy i lasów zniknęło z powierzchni ziemi, by powstały te siedliska kurzu, roztoczy oraz... – zawiesił teatralnie głos. – Antysystemowych myśli.

– Jakiej książki pan szuka? – Antykwariusz przybrał profesjonalną pozę, wiedział, że z funkcjonariuszami policji myśli nie należy dyskutować. Jedno jego słowo wystarczyło, by skład książek zmienił się w ‘bookarest’, a areszt można dowolnie przedłużyć.

– Tego, czego szukam, nie ma w twoim katalogu. – Uśmiechnął się policjant. Lubił okazywać swoją władzę, bawiło go przerażenie starca, jego strach. To chyba ta sadystyczna przyjemność sprawiała, że dotąd nie zlikwidował tego przybytku antydemokracji.

– Co więc sprowadza pana w moje niskie progi? – Księgarz nadmierną uprzejmością starał się pokryć budzący się w nim lęk.

– Bywał tu człowiek... – zaczął śledczy. Już pierwsze słowa sprawiły, że poczuł przyjemne ciepło. Zaczynał przesłuchanie, a w jego trakcie to on jest panem. Wyjął zapalniczkę, zaczął się nią bawić, przesuwając trybik, a ogień strzelał coraz większym płomieniem.

– Proszę o ostrożność – wyszeptał starzec. – Tu wszędzie jest papier, łatwo zaproszyć ogień i... byłoby nieszczęście.

– Daj mi to, czego szukam. – Mężczyzna spojrzał na księgarza oczami o kolorze stali.
– To nikomu nic się nie stanie.

Ten skulił się pod wpływem jego wzroku. Nie umiał zdobyć się na dumną odmowę, jego przeznaczeniem nie była bohaterska śmierć, jego obowiązkiem było ratowanie książek. Skinął głową. Wskazał jedną z półek na końcu sklepu. Mężczyzna podszedł do niej i dostrzegł skoroszyt, z grzbietem połączonym drucianymi kółkami. Usiadł na fotelu stojącym w kącie, zapalił lampę z abażurem i zaczął czytać notatnik.

Rękopisy nie płoną (wpis 1)

Nie wiem, jak zacząć pisanie pamiętnika, nigdy tego nie robiłem, nigdy nie miałem takiej potrzeby, nigdy nie posiadałem czegoś własnego, prywatnego, osobistego, intymnego. Każda myśl, jaką wyrażałem, każde słowo, jakie napisałem, znali wszyscy. Natychmiast pojawiała się w sieci, obrastała komentarzami, było odczytywane i dyskutowane, po godzinie nie wiedziałem, co sam chciałem powiedzieć, a co dopowiedzieli inni. Nie wiedziałem, co było moją myślą, znałem tylko swe poglądy po moderacji.

Teraz ma być inaczej. Ten pamiętnik ma być tylko mój. Ma być moją „księgą pamięci”, do której będę mógł powrócić i nawet po latach przeczytać te same słowa, które teraz zapisuję. Nie zostaną zmienione, przekształcone, inaczej zredagowane, czy po prostu nie znikną tak, jak znikają słowa w sieci.

Pamiętam stwierdzenie „rękopisy nie płoną”. Nie rozumiałem tego. Teraz, gdy siadam przed pustymi kartkami tego notatnika, w czasach kiedy nie używa się papieru, zaczynam rozumieć znaczenie tych słów. Prowadzenie własnoręcznych notatek jest wyzwaniem rzuconym systemowi, pamięci, światu.

Opowiem wam o Ewie (wpis 2)

Ta dziewczyna, Ewa, stała się moją obsesją. Mimo że spędziłem z nią ledwie jeden wieczór przed pięcioma laty, to nie mogłem o niej zapomnieć, nie mogłem pozbyć się jej widoku spod powiek, śniła mi się niemal każdej nocy. Pamięć o niej sprawiała, że nie potrafiłem związać się z żadną inną kobietą. Nie mogłem założyć związku partnerskiego, podstawowej komórki społecznej.

Próbowałem.

Nie udało mi się. Mogłem oszukać systemy elektroniczne, mogłem przejść testy behawioralne, ale nie potrafiłem zwieść kobiety. Każda bezbłędnie wyczuwała, że nie jestem szczery, że nie mówię prawdy. Nie potrafiłem udawać, że przymykam oczy, bo zapadam się w rozkoszy, ale dlatego, że chcę przywołać w pamięci tę, o której naprawdę marzę. Odchodziły przekonane, że mam kochankę, z którą nie mogę się związać. Pewnie myślały, że moja ukochana jest prekiem¹ i związanie się z nią dyskwalifikowałoby mnie społecznie.

¹ prek – przedstawiciel niższej klasy społecznej zwanej prekariatem, utrzymującej się z prac dorywczych i charakteryzującej się brakiem szans na stabilizację życiową oraz zabezpieczenie starości

Te chaotyczne notatki zacząłem spisywać chyba tylko po to, żeby opowiedzieć o Ewie i o niespełna godzinie, którą z nią spędziłem, a która stała się dla mnie najważniejszym, co przytrafiło mi się w życiu. Może dlatego, że to jedyna prawdziwa rzecz i szczerą relacją, jaką udało mi się nawiązać przez całe czterdzieści cztery lata.

Migawki z rzeczywistości (wpis 3)

Pamiętam wycieczkę do muzeum archeologicznego. Przyglądałem się bohaterom namalowanym na wazach tysiące lat temu. Szli dumnie wyprostowani, wpatrzeni w swoje gliniane tabliczki... Przyjrzałem im się jednak dokładniej. To nie były gliniane tabliczki, to były niewielkie tablety, które ich prowadziły. Tak ludzie starożytni wyobrażali sobie bogów. Podglądali ich, kiedy przemierzali ich ziemię kierowani przez nawigację satelitarną.

Dzisiaj każdy prek posiada po stokroć lepszą elektronikę, a tablety takie jak na tych wazach zobaczyć można już tylko w muzeum techniki. Dla starożytnych garncarzy te postaci z wyświetlaczami były bogami, później malowali ich z niebieską poświatą albo w złotej aureoli, która była poświatą z ekranów starszego typu? Dzisiaj każdy człowiek ma więcej elektroniki niż dawni bogowie. W Republice Demokratycznej staliśmy się potężniejsi od bogów, a dawne religie straciły swoją magię.

Nie odważyłem się opublikować tego spostrzeżenia w swojej relacji z wycieczki do muzeum starożytności. Czuję, że w tej myśli jest coś niebezpiecznego, coś, co sprawi, że system zacznie mi się przyglądać. Ta myśl nie była antysystemowa, nie była obrazoburcza, ale była śmiała, zbyt śmiała, a niebezpiecznie jest puszczać wodze takim myślom, to nie uchodzi uwadze, to sprawia, że oko systemu dokładniej się tobie przygląda.

Cudowne życie (wpis 4)

Pisanie o niej sprawia mi wielką trudność. To ogromne obciążenie wiedzieć, że słowa zapisane zostaną takimi na wieki. Każdą myśl sam muszę wyważyć, zanim przeniosę ją na papier, nie ma żadnego moderatora, nikt jej nie skoryguje, nikt nie uzupełni komentarzem. Boję się, że nie podolam. Nie mam doświadczenia. Porwałem się na najtrudniejsze.

Spróbuję od czegoś prostego.

Opiszę mój wczorajszy dzień.

– Witaj kochanie, cudownie, że już wróciłeś – satynowy głos powitał mnie, gdy tylko otworzyłem drzwi. Wpatrywałem się w mój osiemnastometrowy boks mieszkalny,

uśmiechałem się, przymykałem oczy i czułem przyjemne mrowienie rozchodzące się po całym ciele.

– Cieszę się, że już jestem – wyszeptalem cicho, zrzuciłem ubranie i wsunąłem się w domowy kombinezon. Wiedziałem, że wkraczam w strefę komfortu, strefę przyjemności, moje mieszkanie jest moim azylem i za chwilę otrzymam wszystko to, o czym marzyłem. Wciąż nie mogłem się do tego przyzwyczaić, kombinezon udało mi się zdobyć dopiero przed kilkoma tygodniami. Zrzuciłem na głowę jego kaptur.

– Krem pomidorowy, kochanie – głos dobiegał jakby z kuchni, a w tle słyszałem wyraźnie szuranie odsuwanych krzeseł, brzęczenie rozkładanych sztućców i talerzy, pstryknięcie włączanej kuchenki gazowej, a po chwili do moich nozdrzy dobiegł delikatny aromat gotowanych pomidorów, taki, jaki pamiętałem z najwcześniejszego dzieciństwa, gdy babcia kroїła je na ćwiartki, doprawiała, gotowała, a wreszcie miksowała na krem, a potem polewała pachnącą śmietaną i posypywała nacią świeżej pietruszki, której gałązki zrywała z doniczki stojącej na kuchennym oknie.

– Doskonały pomysł – zachwyciłem się propozycją, wsunąłem stopy w kaptur i podążyłem ku rozchodzącemu się smakowitemu aromatu. Stanąłem przed szklaną taflą, która zajmowała całą ścianę. Za „oknem” rozciągał się widok na sad, w którym rosły stare jabłonie, grusze i śliwy; przez chwilę podziwiałem białe płatki kwiatów jabłoni wirujące na lekkim wietrze. Jeden z nich wyczyniał niezwykle piruety, unoszony co chwilę ciepłymi podmuchami powietrza wynoszącego go ku górze. Wydawało mi się, że już widziałem taki taniec jabłoniowego płatka, zacząłem się nad tym zastanawiać...

– Do stołu podano, kochanie – czarowny głos przerwał bieg myśli. Gdy usiłuję coś sobie przypomnieć, mimowolnie drapię się po głowie. Okulary zsunęły mi się z czoła, chwyciłem je w ostatniej chwili i przytrzymałem w powietrzu, a wówczas przez mgnienie oka ujrzałem nakryty białym obrusem stół, na którym, w porcelanowym talerzu w kwieciste wzory, leżała... złotawobrunatna kostka. Wiedziałem, co to znaczy. Powoli zacząłem odwracać się od okna, a w okularowej szybce widziałem, jak kostka pęka i wypełnia talerz złocistą cieczą. Gdy podszedłem do stołu, czekała na mnie pachnąca, gorąca zupa.

– Cudowna – szepnąłem po skosztowaniu pierwszej łyżki. Jej smak nie różnił się od tego z dzieciństwa. Ten był nawet bardziej esencjonalny od babcinego, smaczniejszy od tego sprzed kilku tygodni, każda kolejna łyżka była lepsza, coraz doskonalsza, idealnie spełniała moje oczekiwania smakowe oraz potrzeby emocjonalne. Poczulem wypełniającą trzewia błogość, przymknąłem oczy, wolniej nabierałem kolejne łyżki.

– Cieszę się, że ci smakuje, kochanie – głos dobiegał zza pleców, po chwili poczułem mrowienie, jakby włoski na karku podnosiły się od przyjemnego dotyku. Mięśnie rozluźniały się, kark, ramiona, barki, plecy z ulgą poddawały się delikatnemu masażowi. Czulem, jak przyjemność rozchodzi się po całym ciele, jak rozluźniają się spięte mięśnie, wiedziałem, że dziś nie będę miał już ochoty na seks. Zapadałem się w tej błogości, ogromnym wysiłkiem woli podniosłem się z krzesła, zrobiłem kilka kroków i położyłem się na łóżku. Zasnąłem z głupkowskim uśmiechem zadowolenia na twarzy.

Opowiem wam o Ewie cd. (wpis 5)

Boję się nazywania emocji, opisywania uczuć, to pozbawia wspomnienia ich niezwykłości, głębi, banalizuje je. Postawiłem sobie za cel opowiedzenie o Ewie, te notatki będą wszystkim, co po niej pozostanie. To jest mój dług wobec tej dziewczyny.

Stawiałem jej kolejnego drinka, uśmiechałem się do niej i pochłaniałem ją wzrokiem. Siedziała na wysokim, barowym stoliku i mówiła o książce, którą niedawno przeczytała, fascynującej książce. Opowieść była jak z bajek La Fontaine'a. Knur-marzyciel o imieniu Major opowiedział przyjaciółom z zagrody o idealnej republice stworzonej przez zwierzęta. Uwierzyły, że mogą stworzyć lepszy, wspaniały świat, w którym człowiek nie będzie ich wyzyskiwał, gdzie przestaną być poddanymi, gdzie każde będzie żyło tak, jak pragnie, rozwijało swoje umiejętności, pasje i talenty. To miał być świat szczęśliwych zwierząt, które stworzą samoorganizującą się, samorządną wspólnotę. Zachwycone zwierzęta hodowlane wygnały z zagrody gospodarza i przejęły władzę nad folwarkiem.

Wpatrywałem się w nią, w jej rude włosy, jej piegowatą twarz, przebijające się przez obcisłą koszulkę piersi. Była młoda, inteligentna, ambitna, elokwentna, niezwykle seksowna. Miała jakąś magnetyczną moc; ci, którzy nie ulegliby jej elokwencji, nie daliby rady oprzeć się jej czarowi. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, choć moje oczy były rozbiegane jak u wariata. Patrzyłem na jej wydatne usta wyrzucające kolejne słowa, na jej piersi sterczące ku mnie i na jej fantastyczne, nagie, długie, opalone, nogi, których stopy opierała na podpórce hokera, a gdy spuszczałem wzrok, widziałem jej uda w opinającej je spódniczce. Nie mogła się wygodnie ułożyć na wysokim, barowym stoliku, szukała najlepszej pozycji, a każdy ruch sprawiał, że spódniczka przesuwała się coraz wyżej, odsłaniając kolejne centymetry wysportowanego, nagiego ciała.

Migawki z rzeczywistości (wpis 6)

– Delfiny kontaktują się za pomocą infradźwięków.

To niewinne zdanie wypowiedziane przez ich opiekuna z zoologu sprawiło, że poczułem w nim współspiskowca, a przynajmniej cichego sabotażystę systemu. Tysiące razy zastanawiałem się nad tym, co chciał mi w ten sposób przekazać. Czy to, że my, tak jak delfiny, możemy sobie wysyłać spojrzenia, wykonywać gesty, przekazywać sygnały niezgody na rzeczywistość, w której żyjemy? Oplatająca całą planetę sieć nie jest w stanie przechwycić kodów, jakimi posługują się delfiny, my także możemy przemknąć się przez jej oka, nie każdy sygnał system potrafi złowić, nie możemy tylko korzystać z jego sieci.

Cudowne życie (wpis 7)

Ta scena, gdy siedziałem naprzeciw niej na barowym fotelu, śniła mi się każdej nocy. Czas nie osłabiał emocji. Zwykle budził mnie boleśnie sterczący penis. Krew w nim pulsowała. Czulem, jakby się wciąż powiększał. Bałem się, że pęknie albo rozerwie ograniczający go materiał skafandra.

Skafander miał niezliczone funkcje, ale na szczęście nie potrafił czytać w myślach. Ucisk odbierał czysto fizycznie, lokalizował miejsce i wdrażał rozwiązanie. Mrowienie zaczynało się na plecach, potem schodziło w dół, a gdy docierało do penisa, który napręzał się jeszcze mocniej, materiał otulał go i uciskał rytmicznie. Zaciskałem powieki, by wyobrazić sobie, że to ona zeszła ze swego taboretu, stanęła przede mną, a jej cudowne usta...

Nigdy nie udało mi się dotrzeć dalej w tej wizji. Nagła eksplozja zrywała wszelkie połączenia nerwowe. Czulem się, jakbym na chwilę tracił przytomność. Zapadałem się w bezczasie. Do rzeczywistości nie przywracał mnie budzik, ale zapach smażonej jajecznicy dolatujący z „kuchni”. Pobudzone ślinianki zaczynały pracować i gotów na nowy dzień zrywałem się z łóżka.

Wchodziłem do szczelnej kabiny, a raczej kapsuły. Z jej sufitu, ścian i podłogi wściekle atakowały mnie tysiące igiełek, wodna mgła, a raczej akupunktura. Stawałem w rozkroku, oburącz chwytalem drążek nad głową i poddawałem się pobudzającemu zabiegowi. Najpierw ostrzeliwany byłem wodą z mydłem, potem splukiwany, następnie spryskiwany jakimś kremem w aerozolu, a wreszcie z dysz owiewało mnie ciepłe, osuszające powietrze. Myjnia domowa kończyła program, wychodziłem z kapsuły, a ta włączała autodezynfekcję.

Opowiem wam o Ewie (wpis 8)

Czasem udaje mi się wyrwać z pamięci inne strzępy tamtej godziny. Nie ma jej wtedy obok mnie. Barowy fotel jest pusty. Wpatruję się w bladą twarz barmana, który bezgłośnie porusza ustami. Z oddali dobiegają jego słowa.

- To bardzo niebezpieczna dziewczyna – głos ma śliski, jak całą powierzchowność.*
- Tak, bardzo niebezpieczna dziewczyna. – Słyszę swoje stłumione słowa.*
- Jej wyzywająca uroda wzmacnia jej nieprawomyślne poglądy – kontynuował.*
- Nieprawomyślne – mój głos jest rozmarzony.*
- Widzę, że wpadłeś po uszy, szkoda cię. – Słyszę jeszcze, ale już nic więcej nie dochodzi do mej świadomości, bo widzę, jak zmierza ku mnie i uśmiecha się, dostrzegając moje cieleńce spojrzenie.*
- Jak sądzę, nie możesz się doczekać dalszego ciągu opowieści – szepcze mi do ucha, muskając je lekko wargami. Elektryczny dreszcz przebiega moje ciało.*
- Proszę drinki dla państwa, na koszt zakładu. – Wyczuwam fałszywy ton w głosie barmana, chcę odmówić, ale Ewa pochyla się nad barem, sięga po szklanki, a jej piersi niemal wypadają z rozpiętej koszuli. Moje usta pozostają otwarte w bezgłośnym zachwycie.*

Migawki z rzeczywistości (wpis 9)

Pamiętam niewielką gablotkę, którą widziałem w Muzeum Demokracji, był w niej kolorowy patyczek z dwoma drucikami. W XX wieku, w jednym z państw totalitarnych, jego mieszkańcy wpinali sobie w ubrania takie rezystory. Wpięty opornik nie wskazywał, że mamy do czynienia z roztargnionym elektrykiem, ale z człowiekiem, który przeciwstawia się systemowi i gotów jest walczyć o swoje przekonania.

Po latach, gdy ponownie odwiedziłem muzeum, nie odnalazłem już tego symbolu. W gablotce było natomiast zdjęcie skrzynki pocztowej, z opisu wynikało, że tyrania upadła, bo ludzie masowo pisali listy do dyktatora. Sąsiednie gabloty wskazywały, że w epoce poczty elektronicznej, gdy list opublikowany może być natychmiast i podpisany przez miliony osób, każda błędna decyzja władz jest na bieżąco korygowana i dostosowywana do potrzeb społeczeństwa. Nie są już potrzebne żadne wybory. Zaangażowanie polityczne sprowadzone zostało do pisaniu e-listów.

Cudowne życie (wpis 10)

Winda sunęła wolno mijając kolejne piętra. Nie czułem się zbyt dobrze. Zapach wsiadających oraz śniadanie o niewiadomym składzie sprawiały, że mój żołądek coraz gorzej znosił wstrząsy. W końcu winda zatrzymała się, a kilkadziesiąt osób wyszło do hallu i stanęło przed budynkiem. Podjeżdżały kolejne elektryczne kapsuły, każdy wsiadał i był transportowany do punktu docelowego. Nie musieliśmy się tłoczyć w przepelnionych tramwajach i autobusach, nie musieliśmy stać w korkach w spalinach samochodów, a najważniejsze, że nie byliśmy naiwnymi prekami, którzy uwierzyli, że przemieszczanie się rowerem wśród spalin i pyłów jest najlepszą i najzdrowszą formą transportu.

Sznur ludzi przesuwiał się wolno, z zazdrością patrzyłem na członków partii, zajmujących wyższe stanowiska, którym przysługiwały kapsuły unoszące, oni – tak jak policja czy pogotowie – nie byli w ogóle ograniczeni przez natężenie ruchu ulicznego, bo ich pojazdy wznosiły się kilka metrów nad ziemią i nie musiały stać w żadnych korkach czy jeździć objazdami.

Wiedziałem, że nigdy nie dostąpię przywileju korzystania z takiej kapsuły, nie byłem w stanie wystarczająco zaangażować się w system. Mogłem się nie wychylać, stosować zasadę mimikry, pisać teksty zgodne z aktualną linią polityczną, nie naruszać wytyczonych granic, ale żeby awansować, należało wykazać się ortodoksją, wytropić wrogów, pozyskać nowych zwolenników, wskazać nowe dowody wyższości naszego systemu nad wszystkim, co wymyśliła ludzkość, a to przerastało moje możliwości.

Opowiem wam o Ewie (wpis 11)

– Świetny ten drink – powiedziała, przesuwając wysoką szklankę w moją stronę.

– Najlepszy – przyznałem. Objąłem ją rozanielonym spojrzeniem i wtedy poczułem, że moje ciało odrywa się od taboretu, przechyliam się do przodu i lecę w dół. Usłyszałem jej krzyk, a potem już nic nie słyszałem. Straciłem przytomność.

Poczułem, że ktoś mnie szarpie, przewraca na plecy, mówi o eliminacji.

– To nie żaden kontrrewolucjonista. – Jakby z zaświatów dobiegł mnie matowy głos bladego barmana. – Panna zakręciła tyłkiem, zamajtała cyckami i chłopaczyna zwariował. Spójrzcie na niego. Walnął głową o parkiet, a głupkowaty uśmiech nadal nie zszedł mu z twarzy. Fiut też mu ciągle sterczy.

Rechot oznaczał, że ten argument ich przekonał. Pozostawili mnie na podłodze baru.

Migawki z rzeczywistości (wpis 12)

Dziś znów zobaczyłem na wyświetlaczu chudą twarz starca ze sterczącymi, siwymi włosami i jakąś jego złotą myśl o „płynnej rzeczywistości” wybitą wielkimi literami. Był ideologiem naszego świata, a jego „płynna nowoczesność” stała się naczelną ideą naszego „płynnego świata”. Nic nie było pewne, nic nie było stałe; coś, co wczoraj było prawdą, jutro stanie się fałszem, nic nie jest dane na zawsze, wszystko płynie, panta rei. Nie zatrzymałem się, by przeczytać mądrość na dziś, obawiałem się, że grymas na mojej twarzy może zdradzić mój stosunek do architekta ponowoczesności. Należało zachować ostrożność, elektroniczny ekran nie tylko pokazuje, on także patrzy.

Cudowne życie (wpis 13)

Redakcja zajmowała kilka pięter wieżowca. Dawniej dziennikarze krążyli po mieście, przynosili z niego tematy, a na kolegium redakcyjnym ustalano, które pójdą na pierwszą stronę, które na drugą oraz które w ogóle nie zmieszczą się w gazecie. Taki system pracy musiał być frustrujący. Dziennikarze popadali w alkoholizm i depresję, byli jednymi z najkrócej żyjących spośród wszystkich grup zawodowych. Dzisiaj dziennikarze nie muszą walczyć o tematy. Wszyscy obywatele są dziennikarzami, przesyłają do redakcji zdjęcia, filmy, nagrania, a komputer zastąpił kolegium i rozdziela materiały pomiędzy poszczególnymi redaktorami, oni zaś montują artykuły, relacje, felietony, a nawet tworzą wywiady i reportaże. Szczególnie cenieni są ci fachowcy, którzy potrafią pisać tytuły oraz kilkuzdaniowe leady, ich nazywa się leaderami.

Najbardziej popularni są zaś ci, którzy tworzą me-my (mnemotechniczne myśli), przykuwające wzrok obrazy z jednozdaniowym tekstem, który zapamięta każdy prek. Wszystkie badania wskazują, że społeczeństwo dziewięćdziesiąt procent wiadomości o świecie czerpie właśnie z me-mów. Ich twórcy to ludzie o niezwykłym talencie do kondensacji maksimum treści w bardzo prostej formie. Kiedyś nazywano ich poetami. Potrafili pisać wiersze wielbiące tego, który im najwięcej zapłacił. Płacono im jednak niewiele. Nie potrafiono należycie wykorzystać oraz docenić ich umiejętności. Dopiero w nowej rzeczywistości zajęli godne miejsce – zajmowali się kształtowaniem społeczeństwa – i godnie byli za to wynagradzani.

Opowiem wam o Ewie (wpis 14)

Postanowiłem ją odnaleźć. Dopiero teraz dostrzegam, jak działa ten system. Wiem, że ta dziewczyna istniała, była żywa, miała setki przyjaciół, odnosiła sukcesy i nagle zniknęła. Nikogo to jednak nie interesuje, nikt jej nie szuka, nikt się nie dopytuje o okoliczności jej zaginięcia. Jakby jej nigdy nie było.

Pamiętałem, że pochodziła z niewielkiej miejscowości. Sprawdziłem zdjęcia zbiorowe klas szkolnych z jej rocznika i kilku sąsiednich. Nie było jej na żadnym. Wiedziałem, że mnie nie okłamała. Zrozumiałem, że jej zniknięcie nie było przypadkiem. Została wykasowana i skazana na całkowite zapomnienie, jakby nigdy się nie urodziła.

Przypomniałem sobie jednak o czymś. Delfiny. Infradźwięki. Napomknęła, że kiedyś śpiewała. Wydaje mi się, że coś dla mnie nawet zanuciła. Szukam piosenki, z której zapamiętałem pojedyncze dźwięki. Może tak ją odnajdę, poprzez tę piosenkę.

Piosenka okazała się kluczem. Odnalazłem jej ślady, które umknęły systemowi. Ewa była chórzystką, a nawet wykonywała partie solowe. Znalazłem te wykonania. Mogłem na nią patrzeć, jak się uśmiecha, jak z przejęciem odchyła głowę, jak wyraźnie artykułuje poszczególne frazy. Słyszałem jej głos. Przypominałem sobie jej słowa. Słyszałem je coraz wyraźniej.

Migawki z rzeczywistości (wpis 15)

Nie wiem, czy naprawdę tak miał na imię, ale w myślach nazywałem go Adamem, w myślach, którymi nigdy nie odważyłem się z kimkolwiek podzielić, bo samo ich pomyślenie było złamaniem wszelkich zasad i skazywało na banicję z klasy oświeconej. To była chyba największa przewaga Republiki Demokratycznej nad innymi systemami totalitarnymi, policja była tylko dopełnieniem, państwo nie mogło się obyć bez policji, ale regulowaniem postaw i myśli zajmowało się samo społeczeństwo. Otaczający ludzie doskonale wiedzieli, co jest politycznie poprawne, a co niedopuszczalne i eliminowali tych, którzy myśleli niepoprawnie. Prawomyślność była ważniejsza od prawdziwości.

Ewa nie zdążyła mi wyjaśnić, czym jej opowieść o folwarku różni się od bajek La Fontaine'a. Adam zamienił ze mną zaledwie kilka słów i wcisnął mi jedną kartkę odbitą na powielaczu. Jego pełne zaufania spojrzenie i rzeczy, które przeczytałem, sprawiły, że nie potrafiłem już tak samo patrzeć na otaczającą mnie rzeczywistość. To było jak połknięcie

tabletki, która pozwalała widzieć świat takim, jakim był w rzeczywistości. To jeszcze nie był pelen obraz, ale szczelna żaluzja została zastąpiona półprzeźrystą, zwiewną firanką, która coraz gorzej zasłaniała rzeczywistość.

Cudowne życie (wpis 16)

Redakcja pracuje jak fabryka. Codziennie musi wyprodukować określoną ilość treści medialnej. Słowo „treść” nie ma już tego znaczenia, które miało w zamierzonych czasach i zastąpione mogło być stwierdzeniem „zawartość merytoryczna”. Dziś bardziej adekwatnym byłoby porównanie jej do „treści pokarmowej”, czy raczej paszy jaką podaje się zwierzętom hodowlanym.

Treści przekazywane są strumieniowo. Gdy temat wpada do redakcji, najpierw pojawia się jako lead, kolorowy pasek z kilkoma sensacyjnymi zdaniami, potem komunikat, następnie krótki artykuł. Wreszcie się zasypują memy. W końcu na stronach redakcyjnych pojawiają się pogłębione artykuły, których nikt już nie czyta, ale nikt też nie może zarzucić redakcji, że nie dopełniła zasad kodeksu etycznego; jeśli zdarzyło się, że ktoś został pomówiony czy obrażony w leadzie, komunikacie czy memie, to artykuł waży racje.

Opowiem wam o Ewie (wpis 17)

Ktoś w dzielnicy preków powiedział mi o regresingu. Prekom pozwalano na wiele, mogli oddawać się dowolnym religiom, uczestniczyć w seansach, pić alkohol, palić nikotynę, zażywać narkotyki. Prekowie mieli poczucie pełnej wolności. Mogli także zajmować się wszelkimi wierzeniami, stanowiącymi produkt korporacji, która nazywała się Nowa Era (New Age). Ich aktywność w tym zakresie była najbardziej wspierana przez władzę. Poszedłem na jeden z takich seansów, wciągnąłem coś i zapadłem się w przeszłość.

Ewa nachylała się ku mnie, szeptała mi o książce, chciała podzielić się ze mną swoim oświeceniem, dzięki tej lekturze przejrzała, a ja siedziałem wpatrzony w jej piersi, nie słyszałem słów wyrzucanych przez jej pełne usta. Byłem jak zahipnotyzowany. Teraz znalazłem się w podobnym stanie, zacisnąłem powieki, a ona pojawiła się przede mną. Nie mogłem oderwać od niej oczu, ale słuchałem też jej słów, rozumiałem, co chce mi przekazać.

Migawki z rzeczywistości (wpis 18)

Twarz starca z rozwichrzonymi włosami przypomniła mi o Adamie. Dzięki niemu przestałem wierzyć w jego słowa, a jego słowa były jak ortodoksja, jak pismo święte; gdy słowo boga okazywało się kłamstwem, gdy jego prorok okazywał się plugawym oszustem, to cała konstrukcja zbudowana na jego przesłaniu chwiała się w posadach.

To była zwykła kartka odbita na powielaczu, urządzeniu sprzed stulecia, które miało tę wielką zaletę, że nie rejestrowało, kto i jakie treści na nim powieli. Stał przed kościołem, przesunął się, bym mógł wejść do świątyni, a gdy wchodziłem, podał mi tę kartkę. Siedziałem w ławce i pochłaniałem jej nielegalną treść. Każde zdanie wbijało mi się w pamięć, a półmrok świątyni nadawał lekturze poczucia niezwykłości.

Cudowne życie (wpis 19)

W muzeum demokracji oglądałem film o totalitarnej propagandzie. Podkreślano, że taka manipulacja była możliwa w czasach, gdy władza dysponowała wszystkimi środkami przekazu. Patrzyłem na zdjęcia ulic, wzdłuż których na latarniach powieszono były wielkie głośniki, gigantofony, przez które wszystkim ludziom wtłaczano do głów te same słowa, te same myśli, te same poglądy.

Dzisiaj taka indoktrynacja jest niemożliwa zapewnił rzeczowym głosem lektor. Treści docierają do ludzi tysiącami kanałów. Analogowcy mogli sobie wybrać jeden z kilkuset programów telewizyjnych; ci, którzy nie zdejmowali słuchawek, mogli słuchać tysięcy rozgłośni, a ci, którzy nie mieli czasu, mogli ściągać dowolne treści z dowolnej platformy w sieci. Każdy mógł sobie skonfigurować indywidualny system komponowania i dostarczania wiadomości. Pluralizm treści był jednak ułudą, do wszystkich i tak trafiała taka sama informacyjna pasza.

Opowiem wam o Ewie (wpis 20)

Studiowała agronomię. Nie była buntowniczką, raczej miłą dziewczyną z sąsiedztwa. Podczas wakacyjnego stażu pracowała w uczelnianej bibliotece, a właściwie zajmowała się jej likwidacją. Stara bibliotekarka płakała. Treść zeskanowanych książek trafiała do sieci, natomiast ich materialne emanacje wędrowały na makulaturę. Tam właśnie, wśród tomów o rolnictwie, znalazła tę książkę – „Folwark zwierzęcy”.

Kiedy z nią rozmawiałem, myślałem, że jest jakąś ekofeministką. Bojowniczką o prawa zwierząt, która działa w brygadach polujących na miejskie psy i koty, aby je zaszczepić,

zaczepować, wysterylizować oraz pozbawić popędu i agresji. Obawiałem się, że jest weganką, ale dla niej gotów byłem jeść tylko trawę.

Dopiero teraz zrozumiałem, co mi chciała przekazać. Faktycznie była bojowniczką, jednak nie walczyła o prawa zwierząt, lecz o podstawowe prawa ludzi. Gdy znowu przymknąłem oczy, zobaczyłem, a raczej przypomniałem sobie coś jeszcze. Medalion, zawieszony na jej szyi. Przypominał jakąś staroindyjską mandalę. Dlatego uznałem, że jest wyznawczynią jakiegoś kultu New Age. Zobaczyłem wyraźnie ten naszyjnik, jej mandala wykonana była z misternie połączonych... rezystorów.

Migawki z rzeczywistości (wpis 21)

Pamiętam, jak pierwszy raz usłyszałem dźwięk tego dzwonka nad drzwiami sklepu. Powitał mnie stary subiekt, szedłem wolno wzdłuż regałów wypełnionych książkami i z każdym krokiem czułem się tak, jakbym wkraczał do gęstego lasu; wiedziałem, że to nie będzie bezkarna wycieczka, że po tej wyprawie już nigdy nie będę taki, jak byłem.

Książka zawsze odnajdzie swego czytelnika... Nie wiem, czy to gdzieś usłyszałem, czy sam sobie wymyśliłem. Nie wiem, jak bibliotekarz z kilku nieskładnych słów odgadł, o co mi chodzi. Nie wiem, jak wśród dziesiątek tysięcy zszarzałych woluminów odnalazł tę małą książeczkę, na której okładce dostrzegłem prawie zatarty tytuł – „Folwark zwierzęcy”.

Cudowne życie (wpis 22)

Byłem kilkanaście kroków od księgarni, gdy usłyszałem wesołą melodię dobiegającą z ulicznego ekranu. Zbliżała się godzina V. W tym dniu, o tej godzinie demokracja pokonała dyktaturę, a przywódca wolnego świata wznosił w górę dłoń z dwoma palcami ułożonymi w kształt „zajaczka”. Nie zdążyłem ukryć się w księgarni, więc zmuszony byłem zatrzymać się na ulicy, by oddać hołd pamięci ojców założycieli Republiki Demokratycznej. Staralem się stanąć poza zasięgiem ekranu, aby nie mógł zarejestrować moich grymasów, które mogłyby zostać uznane za antydemokratyczne.

Poczułem niepokój. Coś było nie w porządku. W mojej dzielnicy ludzie ustawiali się w długie szpalery, po obu stronach ekranu, tłumacząc to chęcią umożliwienia odbioru pozostałym. W dzielnicy preków tłum tłoczył się wprost przed ekranem. Zamarłem, bo zrozumiałem, że nie są świadomi zagrożenia i wielu tę chwilę nieuwagi przyplaci aresztowaniem, a może nawet usunięciem. Chciałem ich ostrzec. I wówczas zobaczyłem, że

wszyscy stojący przed ekranem mieli okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szybkami. Widziałem w nich twarze roześmianych dzieci wiwatujących na cześć ojców założycieli. Wszystkie radosne twarze wyświetlane na ekranie, wracały zwielokrotnione do oka kamery. Zrozumiałem, że badania telemetryczne wskazujące na wielkie poparcie dla władzy wśród preków wcale nie muszą być fałszowane, system słał propagandowe filmy, które oni odsyłali mu ze zwielokrotnioną mocą.

Opowiem wam o Ewie (wpis 23)

Musiałoby minąć 10 lat, zanim dotarłem do książki, o której mi opowiadała i zrozumiałem to, co chciała mi wówczas przekazać. Byłem doświadczonym redaktorem, wiedziałem, że każde zapisane w niej zdanie to wypowiedzenie wojny systemowi. Przeczytawszy te słowa, nie można już było wierzyć w kłamstwa sączone przez propagandę.

Zrozumiałem, dlaczego system tak bardzo zwalcza książki, dlaczego uruchomiono całe partie i organizacje zielonych, których jedynym celem była walka o to, by żadne drzewo nie zostało ścięte i nie wyprodukowano z niego papieru. Papier bowiem niesie ryzyko, papier daje trwałość, po latach można wrócić do książki czy gazety i znaleźć to samo zdanie, które się czytało trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć lat temu.

Kiedy trwa pamięć o przeszłości, nie można tak łatwo manipulować przyszłością.

Mężczyzna podniósł się z krzesła. Zamknął kołonoatnik i starannie odłożył w to samo miejsce, z którego go zabrał. Rozsiadł się w fotelu, wyjął zapalniczkę oraz pudełko ze staromodnymi papierosami. Zapalił jednego, zaciągnął się głęboko, odchylił głowę i wypuścił dym, który ułożył się w regularne kółka. Wtedy dopiero spojrzał na antykwariusza, który od godziny stał w bezruchu czekając na werdykt.

– Posłuchaj starcze. – Mężczyzna powoli cedził każde słowo. – Jeżeli ktokolwiek, kiedykolwiek dowie się, że byłem tutaj i czytałem to. – Wymownie spojrzał na notatnik. – To twoja buda przestanie istnieć.

– Tak jest, panie majorze. – Zbielałe wargi antykwariusza poruszały się bezdźwięcznie. Oficer spojrzał mu głęboko w oczy, a starzec nie miał wątpliwości, że jego zapowiedź to nie jest czcza pogroźka. – Będę tu przychodził co jakiś czas, żeby... poczytać.

Migawki z rzeczywistości (wpis 24)

Nie myślałem, że jeszcze cokolwiek tutaj zanotuję. Ci, których zatrzymuje policja myśli nigdy bowiem nie wracają, a ja powróciłem. Czuję się, jakbym zmartwychwstał, jakbym dostał nowe życie. Wiem, że system pęka. Niedługo dojdzie do zmian. Oficer myśli, który mnie przesłuchiwał miał opornik w klapie. Przekonałem się, że nawet wśród nich są ludzie wspierający ruch oporu. To jemu zawdzięczam, że wypuścili mnie na wolność. Już wkrótce nadejdzie taki dzień, że system runie, a oni staną się naszymi braćmi.

Oficer czytał kolejne wpisy w kołonoatniku.

– Jak niewiele potrzeba, by zostać bohaterem. – Uśmiechnął się. – Trzeba tylko wiedzieć, kiedy zdjąć mundur i co sobie wpiąć w klapę.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do pomarszczonego starca ze sterczącymi siwymi włosami, który patrzył na niego z ekranu za oknem księgarni. W jego oczach nie było rewolucyjnego żaru, była tylko przekora ulicznego cwaniaka, który zawsze spada na cztery łapy.

– Jeszcze pięć lat i będzie dwa tysiące osiemdziesiąty dziewiąty, będziemy mieli okrągłą rocznicę. – Szczery śmiech policjanta rozległ się w księgarni.



TAJEMNICA KAMIENICY NA JEZUICKIEJ

Anna Dymek

Kobieta głęboko spała i cicho pochrapywała. Dlatego nie słyszała, jak Ona do drzwi zmierzała.

Koty ją usłyszały, chwilę nasłuchiwały. Potem zamiauczały, w drzwi pazurami drapały.

Przez to się obudziła, oczy otworzyła, na próg spojrzała i Ją w nim ujrzała. Trochę się zdziwiła, bardziej przerażona, bowiem dobrze wiedziała z Kim do czynienia miała.

Ta rękę jej podała, kobieta z łóżka wstała i Ona ją zabrała, przeszłość pokazała - ludzi bez twarzy siedzących, okropne katusze cierpiących, do siebie się tulących, z przerażenia krzyczących. Potem w drzwi walących, z głodu wariujących, aż w końcu w strasznych męczarniach życie swe kończących.

Maria obudziła się zrana potem. Znowu dręczył ją ten sam koszmar. Powtarzał się regularnie, od kiedy kilka tygodni temu zamieszkała w Lublinie – w starej kamienicy odziedziczonej po ojcu. Wiele lat temu, w czasie wojny, ojciec Marii kupił ten budynek od uciekających z Polski właścicieli i zamieszkał w nim razem ze swoją rodziną. Jednak niedługo potem matka Marii zabrała ją i jej siostrę do swoich rodziców na roztoczańską wieś. Po wojnie już nie wrócili. Ojciec natomiast nigdy nie zmienił adresu zamieszkania, nawet w trudnych powojennych czasach, i mieszkał na Jezuickiej do śmierci.

Mijały lata, matka Marii rozwiodła się z jej ojcem i ponownie wyszła za mąż. Córki dorosły, każda z nich inaczej ułożyła sobie życie. Maria została nauczycielką w Zamościu, a jej siostra wyjechała za granicę. Niewiele je łączyło. Poza niechęcią do ojca – odludka i tym, że przez wiele lat nie mogły zdecydować się, co zrobić z odziedziczoną po nim kamienicą, w efekcie czego dom powoli popadał w ruinę. Piękna niegdyś nieruchomość teraz straszyla wyglądem.

Po śmierci siostry, zgodnie z jej wolą, kamienica w całości przeszła na własność Marii. Ta zaś postanowiła na stare lata w niej zamieszkać. Jednak już od pierwszego dnia remontu dziwnie się tu czuła i szybko przypomniała sobie, że już jako dziecko miała podobne odczucia. Również podczas późniejszych, rzadkich, wizyt u ojca czuła się nieswojo, ale może to akurat nie miało nic wspólnego z domem.

Już pierwszej nocy po przeprowadzce obudziły ją dziwne odgłosy. Trzaskały drzwi, skrzypiały schody, w korytarzu słyhać było kroki. Wydawało jej się, że zwłaszcza na dole, w kuchni, coś się dzieje. Maria leżała wtedy w łóżku skamieniała ze strachu i nie miała odwagi zejść.

Rano sprawdziła wszystkie pomieszczenia, ale niczego podejrzanego nie znalazła. Jednak odgłosy powtarzały się przez kilka kolejnych nocy i w końcu ciekawość zwyciężyła: Maria powoli i po cichu zeszła na parter, by sprawdzić, kto nocami zakrada się do jej domu. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą gaz łzawiący. Z sercem w gardle zbliżyła się do uchylonych drzwi kuchennych, z których sączyło się światło, i zajrzała do środka. Ze zdziwieniem stwierdziła, że przebywała tam kobieta, która stała przy kuchence i chyba coś gotowała. Była wysoka, ciemnowłosa i ... ubrana jedynie w cienką halkę. Obok niej na krześle siedziało nagie, kilkuletnie dziecko i bawiło się drewnianą zabawką. Nie zauważyli jej, więc Maria szybko wycofała się, oparła o ścianę w korytarzu i z bijącym sercem zaczęła zastanawiać się, co powinna teraz zrobić. Raptem otworzyły się drzwi do pokoju obok i wyszedł z nich mężczyzna mający na sobie jedynie bieliznę. Przeszedł koło Marii, nie zauważając jej, i wszedł do kuchni. Tego było już za wiele dla właścicielki kamienicy, która nie wytrzymała i podążyła za nim. Głośno spytała:

– Co państwo tu robią?

Jej słowa nie doczekały się jednak żadnej reakcji. Kobieta nadal gotowała, dziecko bawiło się, a mężczyzna zaczął nakrywać do stołu. Zdenerwowana Maria podeszła do niej. Chciała chwycić ją za rękę. Z przerażeniem jednak stwierdziła, że nie może tego zrobić. Przyjrząwszy się jej dokładniej, Maria odniosła wrażenie, jakby miała do czynienia z postacią z wyświetlanego w pomieszczeniu filmu. To samo miało miejsce w przypadku dwóch pozostałych osób. Próba dotknięcia ich skończyła się niepowodzeniem. Tak samo było z przedmiotami, które mieli w rękach.

Spanikowana Maria czym prędzej opuściła kuchnię i poszła do siebie na górę, gdzie zażyła swoje tabletki. Usiadła na łóżku czekając, aż zaczną działać. Gdy w końcu zasnęła, po raz pierwszy nawiedził ją Sen. A rano stwierdziła, że wszystko to, co ją wczoraj wieczorem spotkało, musiało być właśnie snem, spowodowanym zbyt dużą ilością zażywanych leków.

Niestety, kolejnej nocy sytuacja powtórzyła się, ale tym razem Maria nie zeszła. Leżała i przysłuchiwała się docierającym do niej z dołu odgłosom. Zastanawiała się, co ci ludzie tam robili. *Czy ona była teraz w kuchni i przygotowywała kolację? Czy może bawiła się z dzieckiem? A on? Był z rodziną, czy może robił coś innego? Kim byli ci dziwni lokatorzy? Duchami? Sennymi majakami? Dlaczego pojawiali się tylko w nocy? Co robili za dnia?* Maria bała się, ale musiała przyznać, że jednocześnie była również zaintrygowana.

Każdej następnej nocy hałasy stawały się jednak coraz głośniejsze i w końcu doszło do tego, że Maria nie mogła już przez nie spać, przez co czuła się coraz gorzej, mimo, że odsypiała w dzień. Dlatego też po kilku tygodniach, gdy znowu w nocy nie spała, a w dzień

nawiedził ją Sen, postanowiła w końcu coś z tym zrobić i udała się po radę do pobliskiego klasztoru dominikanów. *W końcu to zakonnicy, myślała, którzy poza tym też mieli kiedyś swojego ducha: ojca Ruszla, który podobno przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat miał pojawiać się w klasztorze.*

Siedziała w okazałej bazylice. Świątynia zawsze wyglądała pięknie, ale po niedawno zakończonym remoncie robiła naprawdę wspaniałe wrażenie. Maria bardzo lubiła tu przychodzić. Tym razem jednak nie modliła się, gdyż nie mogła się skupić. Czekala, aż pojawi się któryś z zakonników. Po jakimś czasie od strony zakrystii wszedł jeden z ojców. Maria podniosła się, podeszła do niego i grzecznie zapytała, czy mogą porozmawiać. Zakonnik zgodził się. Usiedli zatem w ławce i kobieta opowiedziała mu o nocnych gościach i o Śnie. Niestety, miała wrażenie, że jej nie uwierzył. Zapytał jednak Marię o adres i obiecał, że porozmawia o tej sprawie z przełożonym. Ta podziękowała mu i wiedząc, że to na razie wszystko na co może liczyć, wróciła do domu.

Kilka dni później, wieczorem, do jej domu zapukał młody zakonnik. Powiedział, że został wysłany przez przeora w celu pozostania na noc i zobaczenia, czy to, co mówiła Maria, jest prawdą. Właścicielka kamienicy bardzo się ucieszyła i przygotowała mu posłanie na dole, w pokoju obok kuchni. Potem udała się na górę i czekała na rezultaty, a że w nocy słyszała dochodzące z dołu odgłosy, była bardzo ciekawa tego, co też będzie miał do powiedzenia jej gość.

Jednak rano ze zdziwieniem stwierdziła, że zakonnika nie było. Musiał wyjść bardzo wcześnie. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Postanowiła, że później ponownie uda się do dominikanów, żeby to wyjaśnić, a na razie zajęła się swoimi sprawami. Kiedy popołudniu miała już wychodzić, do drzwi zadzwonił sam przeor klasztoru. Ucieszona zaprosiła go do środka, a on powiedział jej, co w nocy widział młody zakonnik. Okazało się, że rodzina pokazała się także jemu. Było zatem dokładnie tak, jak opowiadała Maria. W związku z tym uznano, że trzeba znaleźć przyczynę tego stanu rzeczy. Na początek odprawione zostaną modlitwy za zmarłych, a jeśli to nie pomoże – egzorcyzmy.

Maria przeraziła się. Zgodziła się na modlitwy, umówiła termin, a potem, jak już dominikanin w końcu opuścił jej dom, postanowiła, że sama spróbuje odkryć, kim mogły być te osoby. Doszła bowiem do tego, że mogli to być ludzie, którzy kiedyś tu mieszkali, potem

zmarli, a teraz czegoś od niej oczekują. Jednak zanim domyśli się czego, zdecydowanie powinna najpierw dowiedzieć się, kim byli.

W nocy sytuacja powtórzyła się, z dołu nadal dochodziły hałasy, więc rano Maria udała się na strych. Do tej pory jeszcze na nim nie była. Nie chciało jej się wspinać i przebywać w kurzu i w brudzie, ale teraz postanowiła to ścierpieć. Miała nadzieję, że może właśnie tam znajdzie odpowiedź na nurtujące ją pytania. Spędziła sporo czasu na poszukiwaniach, aż w końcu natrafiła na coś ciekawego: karton z dokumentami i kilka walizek. Zajrzała do nich i stwierdziła, że w środku znajdują się ubrania oraz inne osobiste drobiazgi: męskie, kobiece i dziecięce. Zadumała się nad nimi i usiłowała sobie przypomnieć, czy mogły należeć do jej rodziców albo do niej lub do jej siostry. Nie mając pewności w tej sprawie, zostawiła walizki, z niemałym trudem chwyciła karton z dokumentami i ostrożnie zniosła go na dół, żeby na spokojnie przejrzeć jego zawartość.

W środku, wśród różnych papierów, znalazła m.in. dokumenty wystawione na Rachelę i Izaaka Rosenbergów. Przyjrząwszy się zdjęciom, z niedowierzaniem stwierdziła, że przedstawiają one jej nocnych lokatorów. W tym momencie po domu rozległ się głośny jęk, a potem wycie. Maria przestraszyła się, ale szukała dalej. W końcu znalazła akt zakupu domu, podpisany także przez Rosenbergów.

– Skoro sprzedali ojcu dom, to co ich dokumenty robiły na strychu? A może te ubrania należały do nich? – zastanawiała się.

Po jakimś czasie w jej głowie zrodziło się okropne podejrzenie. Nie chciała w nie uwierzyć, ale w nocy z dołu dochodziły tak przerażające odgłosy, że, powiązawszy wszystkie znane sobie fakty i Sen, z samego rana poszła do przeora i przedstawiła mu całą sprawę. Wysłuchawszy jej, zakonnik obiecał pomóc załatwić wszelkie formalności oraz nocleg u sióstr Betanek, gdyż Maria nie chciała na razie wracać do domu.

Po jakimś czasie przybyła wezwana ekipa, która w piwnicy kamienicy odkryła zabetonowane pod podłogą szczątki trzech osób. Ekshumowano je i godnie pochowano. Okazało się, że rzeczywiście należały one do żydowskiego małżeństwa Rosenbergów i ich małej córeczki. Nie wyjechali zatem, tylko zostali zmuszeni do podpisania aktu sprzedaży, ograbieni i zamordowani. Najprawdopodobniej przez ojca Marii, choć po tylu latach nikt już nie był w stanie tego udowodnić.

Maria wróciła do kamienicy. Jednak w nocy ponownie nawiedził ją Sen, a z dołu dochodziły dziwne odgłosy. Tego serce starej kobiety już nie wytrzymało i przestało bić. A kamienica na Jezuickiej nadal stoi, popada w ruinę i czeka, aż jej tajemnica zostanie odkryta do końca.



TWARZE

Antoni Nowakowski

*Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których się filozofom nie śniło.
(William Szekspir)*

Widziałem je każdej nocy podczas snu. Widziałem twarze, różne oblicza, w większości męskie, czasami chłopięce, rzadko kobiece, niekiedy zdarzały się fizjonomie dzieciaków. Te jako jedyne uśmiechały się, niekiedy radośnie machając do mnie rączkami.

Chyba do mnie... Co do tego nie miałem pewności.

Powiem od razu, że początkowo twarze nie budziły we mnie przerażenia, co najwyżej zaciekawienie, niekiedy złość, a potem już tylko zniecierpliwienie. Zacząłem sobie, już na

jawie, zadawać pytanie: czemu muszę je oglądać na zakończenie każdego dnia, przeważnie pracowitego, gdy naprawdę mocno zmęczony z rozkoszą układałem się na spoczynek na niedawno przez mnie naprawionym, wygodnym tapczanie?

Pewnie sami o tym wiecie, że prowadzenie domostwa, nawet bardzo skromnego, wymaga jednak wysiłku, a ja naprawdę już nie jestem młodzieniaszkiem... Utrzymanie niewielkiej sadyby w porządku i czystości nie jest jeszcze wcale takie trudne, pod warunkiem, że niczego nie odkłada się na później. Jednakże praca w ogrodzie i na kilku skromnych zagonach, które zapewniały mi pożywienie niezbędne do życia, pienenie chwastów na warzywnych grządkach, ciągle nędznie plonujących, nawadnianie rędzin ziemi kosztowały mnie sporo wysiłku. Często po dniu żmudnej pracy mięśnie drętwiały z wyczerpania.

Byłem i nadal jestem farmerem, więc używanie starych, zapomnianych już narzędzi, takich jak kosa, sierp, motyka, cep, żarna nie było dla mnie trudne. Sam je zmajstrowałem, wykorzystując części urządzeń, często jeszcze nowych, ale już od dawna nieużytecznych. Brak energii elektrycznej, paliw, gazu... Ale dawałem sobie radę.

Nigdy nie zapomniałem też zadbać o groby moich najbliższych, położonych w rogu ogrodu: w jednym rzędzie były ich cztery, a spoczywali w nich żona i troje naszych dzieci. Mogiły wieńczą naprawdę porządne krzyże, obramowania z kamieni, tabliczki z nazwiskami. Sam zrobiłem wszystko. Naszego wiernego psa pochowałem przed nimi. Dostał ode mnie dobrze wygładzony złom piaskowca z wyrytym imieniem i datą odejścia. Wszystko wyglądało tak, jak trzeba, ale kosztowało sporo wysiłku.

Często odwiedzam to miejsce i opowiadam duszom bliskich, jak teraz mi idzie. Może mnie słuchają... Nie powinienem też zapomnieć, jak się mówi. Ale o tych twarzach jeszcze im nie wspomniałem.

Czemu? Nie wiedziałem, co oznacza, jeżeli w ogóle cokolwiek oznacza, stałe pojawianie się mnóstwa ludzkich oblicz podczas moich sennych majaków. Starałem się dociec przyczyny takiego stanu rzeczy, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Więc po cóż miałbym martwić zmarłych czymś, czego nie potrafiłem zrozumieć? Gdyby żyła, żona pewnie wyśmiałaby mnie, mówiąc, że zajmuję się głupotami. Tak jak to zwykle bywało, pewnie miałyby rację.

Jednak ona zmarła już dawno, dzieciaki tuż po niej, a ludzkie fizjonomie w snach pojawiły się dopiero kilka lat później.

Miewałem różne nocne majaki. Niektóre długo pamiętałem, inne zapomniałem zaraz po przebudzeniu, ale teraz, podczas spoczynku, widziałem tylko te twarze. To jednak było naprawdę dziwne... W żaden sposób nie mogłem zrozumieć tego zjawiska.

Było tak, jak mówię: nie znajdowałem odpowiedzi na pytanie, czemu one ciągle się pojawiają. Bardzo długo nie przejmowałem się brakiem wyjaśnienia. Ale w końcu zacząłem się niepokoić stałym, tym znanym mi już aż do znudzenia widokiem ludzkich oblicz, zwłaszcza gdy otwierały usta, jakby pragnęły mi coś przekazać.

Sny, co noc identyczne, zdawały się rozwijać, sukcesywnie narastać, potęgować, tak jakby żyły w moim mózgu odrębnym życiem. W tym było coś naprawdę dziwnego i niepokojącego.

Twarze zawsze pojawiały się w identyczny sposób: wydawały się wypływać z nieznannej głębi, majestatycznie i powoli, jedno oblicze po drugim, układając się w długi szereg, wydawało się, nieskończony. Na początku snu były niewielkie, jeszcze widziałem zamazaną resztę postaci, ale wraz z upływem czasu rosły, powiększały się, wreszcie olbrzymiały, zajmując całą przestrzeń. W końcu pierwsze, monstrualnie wielkie oblicze, zniknęło. Natychmiast zastępowało je kolejne... Nic mi one nie mówiły, z nikim ich nie kojarzyłem, chociaż dawnymi czasy mieliśmy sporo znajomych i sąsiadów.

Ich ilość każdej nocy systematycznie narastała, aż w końcu oglądałem ich mrowie. Miejsce, z którego się wynurzały, wcale nie wyglądało ponuro: był to obszar niekończącej się, lekko opalizującej, przyjemnej barwy: błękitu, seledynu, łagodnej w tonacji ochry albo jasnej zieleni lub innego stonowanego koloru.

Janet, moja zmarła żona, graficzka internetowa, zajmowała się w wolnych chwilach tradycyjnym malarstwem. Trochę się przy niej poduczyłem rozróżniania kolorów i ich wielu odcieni.

Początkowo myślałem tak: sny jak sny, dziwne, bo takie same, ale tak bywa, rankiem zapomniałem o nich, bo zajmowałem się codzienną pracą. Jednakże w końcu zaczęły mnie irytować. Nie rozumiałem, czemu uporczywie powtarzają się od wielu już nocy, niemal błyskawicznie pojawiając się, gdy ułożyłem się w pościeli.

Pewnej nocy nastąpiła zmiana w posągowym wyglądzie tych zwidów: jedna z twarzy, oblicze starego mężczyzny o siwych włosach i policzkach pobrużdżonych zmarszczkami, zaczęła poruszać ustami. Coś chyba próbował mi przekazać, ale słowa zlewały się ze sobą, tworząc niezrozumiałą kakofonię dźwięków.

Miał chrypliwie brzącający głos. Niczym mój pilnik, gdy z trudem oczyszczałem nim zachowane metalowe części, usuwając grubą warstwę rdzy, pyłu i brudu.

Wtedy pierwszy raz się zaniepokoiłem. Może nawet przestraszyłem... Po przebudzeniu długo zastanawiałem się, co ta twarz pragnęła mi powiedzieć. I o co w tym wszystkim chodzi.

I nie znajdowałem odpowiedzi.

Znana mi już twarz starca pojawiła się szybko, bo następnej nocy.

Tego wiosennego dnia, było to kilka miesięcy temu, pracowałem jak najdłużej, wysilałem się, żeby ciało ogarnęło znużenie. Sądziłem, że w ten prosty sposób spowoduję kamienny sen, a twarze albo mnie nie odwiedzą, albo szybko znikną. Chciałem jakoś uwolnić się od ciągle tych samych nocnych majaków.

Wymyśliłem proste i przy okazji pożyteczne zajęcie: całe długie popołudnie majstrowałem ławeczkę przed grobami moich najbliższych, naprawdę porządną, wygodną, umożliwiającą spokojną chwilę przywołania wspomnień i uczczenia ich pamięci, przypomnienia sobie dawnego świata, który już od parunastu lat nie istniał.

Nadal dobrze pamiętam zagładę i już przeciwko niej się nie buntuję. Nie warto...

Poszły na to siedzisko wcześniej ucięte konary kilku wyrosniętych buków; wyprofilowane piłą, kwadratowe pale połączyłem rzemieniami, kiedyś znalezionymi w od dawna nieczynnym garażu, obecnie służącym jako magazyn, wyszukałem odpowiednie kamienie i umocniłem nimi podstawy ławeczki. Nożem starannie wyrównałem siedzisko. Poszedł też w ruch tarnik, którym wszystko obrobiłem, uzyskując niezłą gładź. Dodatkowo liczne ścinki drewna porąbałem na opał. Wyszły mi zgrabne szczapki: ucieszyłem się, że ciągle działałem tak sprawnie.

Zmęczyłem się setnie, ale o to właśnie mi chodziło.

Tym razem sen przebiegał inaczej... Oblicze przemówiło, i to całkiem wyraźnie. Słowa brzmiały jeszcze chropawo, jakby starzec, formułując poszczególne wyrazy, odzwyczaił się do wypowiedziania czegokolwiek, na szczęście były zrozumiałe. Często robił przerwy.

– Niebawem dowiesz się... o co nam chodzi... I poznasz swoją tajemnicę. Człeczce, cierpliwie czekaj... Odwiedzę cię znowu... Wiedz jednak, że nic jeszcze nie jest przesądzone... Zdecydujemy... Stale cię obserwujemy...

Nagle na tej twarzy pojawił się dziwny grymas, może cierpienia, jakby mowa sprawiała mu ból. Pomarszczone lico zniknęło, pojawiło się kolejne. Wyglądało rzeczywiście tak, jakby przypatrywało mi się z uwagą. Oceniało, badało, taksowało... Tak samo prezentowały się następne. Niektóre otwierały usta, ale szybko je zamykały.

Nie padło już ani jedno słowo. We śnie widziałem tylko te spojrzenia dokładnie mnie analizujące: zdawało mi się, że przenikają mą duszę na wskroś.

Chyba wtedy spocilem się ze strachu, po poduszka i prześcieradło były mokre. Po przebudzeniu byłem po prostu pioruńsko zły, bo niczego z tego, co działo się w moim śnie, nie pojmowałem.

Tylko, czy to naprawdę był sen... Właśnie to najbardziej mnie trwożyło.

Następny dzień spędziłem w podłym nastroju. Nie znoszę spraw niezrozumiałych, na które nie mam wpływu.

Podobnie było, kiedy próbowałem zrozumieć, co wydarzyło się na naszym globie wcale nie tak dawno temu... Rejestrowałem tylko w poczuciu beziły skutki i ich wpływ na moje życie, ale dobrze wiedziałem, że inni, a właściwie wszyscy, też przeżywają to samo co ja. Nie pojmowali przyczyn, ograniczali się do tego, że z przerażeniem konotowali skutki. Po czym niebawem szybko konali w mękach, tak jak moja rodzina. Cóż, ja przeżyłem, chociaż nie wiem, dlaczego.

Dobrze pojmowałem, że teraz i później niczego już nie wyjaśnię. Wiedziałem, że dociekanie przyczyn globalnej katastrofy i mojego ocalenia nie ma sensu.

Ale teraz było inaczej, bo wszystko działo się w snach, zdawało mi się, że coraz mocniej żyjących własnym życiem. O ile to były sny, bo nie miałem pewności. Może mój umysł szwankował, może zapadłem na chorobę, określaną jako schizofrenia? Słyszałem o niej... Może w nocy jest nas dwóch, a ten drugi, mój sobowtór albo alter ego, ma wiele twarzy? Nie potrafiłem przyjąć albo odrzucić takiej tezy, a to mnie niezwykle denerwowało.

Dla uspokojenia, jak zwykle, zająłem się powszednimi obowiązkami. Zrobiłem sobie śniadanie, tradycyjnie wodnistą owsiankę i jajecznicę. Potem podjąłem robotę na zagonach.

Praca była potrzebna, bo inaczej skończyłbym z głodu w kałuży własnych odchodów, przedtem z konieczności żrąc listowie albo trawsko, ale przede wszystkim posiadała jedną, za to olbrzymią zaletę: dawała uludę powszedniości... Zwykłego życia, bardzo nędznego, ale spokojnego.

Już na dobre wyrzuciłem z mózgu wspomnienia z tej wielkiej katastrofy. I tego, co było przedtem. Cieszyłem się ze swojej niepamięci: ona pozwalała żyć, a przede wszystkim nie oszaleć. Groby najbliższych odwiedzałem często, znajdowały się poblizu, jednakże te wizyty traktowałem jako część składową normalnego istnienia. Cóż, długo byliśmy razem, ale oni odeszli...

Nagle w ten mój z trudem zdobyty spokój wkradły się one: twarze ze snów, natrętne, powtarzające się każdej nocy. Miast zajmować się resztkami mojej farmy, odbudowywać to, na co jeszcze miałem siły, dumałem o tych obliczach. Te myśli narastały w moim mózgu.

Lubiłem bycie farmerem. Prowadzenie dużej plantacji wcale nie jest proste: trzeba wiele wiedzieć, dostosować się do zmieniających się warunków: rynkowych, klimatycznych, finansowych i całej masy innych... Jednak to nie sprawiało mi trudności, dlatego wiedzcie, że czytacie zapiski człowieka, dla którego szczytem możliwości nie była tylko umiejętność obsługiwania traktora, kukurydzianego kombajnu albo zautomatyzowanej maszyny do zbioru bawełny, ale prowadzenie sporego agrarnego biznesu.

Bawełna była wtedy w cenie: ludzie żyjący przed zagładą przywiązywali już wielką wagę do surowców naturalnych, więc kupowano ją na pniu, jeszcze przed zbiorem.

Silosy nadal są pełne tego białego puchu, dzięki czemu szczury i myszy mają użycie. Te gryzonie wyrosły przez lata niczym koty albo nawet psy. Lepiej jest omijać je z daleka. Nowe pokolenie drapieżnych zwierząt, stworzonych przez zagładę...

Zapytacie może: człowieku, a co z grobami twoich rodziców? Chyba znajdują się blisko? Zapomniałeś o nich?

Nie, dobrze ich pamiętałem...

Jakiś czas temu po raz kolejny wybrałem się do miasteczka, w którym znajduje się nekropolia z mogiłami mamy i taty, a także miejsca pochówku dziadków i pozostałych bliskich krewnych. To niedaleko, ledwie parę mil od mojego domu. Jakieś osiemset jardów od granicy miasta znowu poczułem ten fetor, straszliwy odór śmierci. Utrzymał się.

Minęło już kilka lat od chwili, gdy wszystko przestało funkcjonować, a ten zapach masowych zgonów nadal zatruwał powietrze. Niepojęte...

I w dalszym ciągu już z daleka zobaczyłem liczne cienie szkieletów na drzewach, starych słupach trakcyjnych, nie działających latarniach... To były wyschnięte na wiór zwłoki wisielców objedzone aż do kości. Wybrali szybką śmierć, nie czekając na męki długiego konania. Wiedziałem, że początkowo wielu po prostu strzelało sobie w głowę albo prosiło krewnych o zabicie, ale było ich tak dużo, że wkrótce zabrakło amunicji. W ruch poszły więc sznury, rzemienie, struny, wszystko, co mogło przydać się do skutecznego zaciśnięcia pętli na szyi.

Była tylko jedna zmiana: zniknęły stada ptasich padlinożerców, łakomie dziobiących trupy. Pewnie w końcu zabrakło im pożywienia i wyemigrowały w inne strony.

Utwierdziłem się wtedy ostatecznie w przekonaniu, że granice mojego istnienia wytycza walące się ogrodzenie mojej farmy. Dalej jest tylko „No Man’s Land”, nadal oddychający jednym zapachem: specyficzną wonią zagłady.

Szybko pogodziłem się z tym stanem, bo nie miałem innego wyjścia. Już nigdy więcej nie wybrałem się do tego miasteczka, zbiorowego cmentarza wszystkich jego mieszkańców.

Ja żyłem... Istniałem, działałem, pracowałem, teraz już bez lęku o los najbliższych. I o siebie.

A teraz twarze ze snów poczynają burzyć ten porządek, dewastować wszystko to, czego się dopracowałem. Po raz pierwszy w życiu właśnie tego wieczoru z niepokojem czekałem na kolejną noc.

Starzec pojawił się bardzo szybko, chyba jako piąte albo szóste oblicze. Dziwne było tym razem jedno: pozostałe twarze natychmiast znieruchomiały, jakby czekały na to, co powie mężczyzna.

– Już podjęliśmy decyzję – oznajmił mi prawie normalnym głosem. Prawie, bo miał lekką chrypkę. – Ona była trudna, ale większość z nas była za tobą. Stałeś się teraz wybranym... Następcą jednego z nas, może i mnie. Pragnę w końcu odpocząć...

– Co oznacza bycie wybranym? – prędko zadałem pytanie.

Niespodziewanie coś mnie olśniło. Ja z nim rozmawiałem! We śnie! Toczyłem dyskurs!

Na twarzy starca odbił się wyraz zastanowienia.

– Nie do końca wszystko jeszcze rozumiemy... – odpowiedział powoli. – Wiesz przecież, co stało się z ludźmi. Z nami... – poprawił się natychmiast. – Wyginęliśmy prawie wszyscy. Ci, których twarze teraz oglądasz, także stracili życie. Ale nie jesteśmy duchami.

Wolno pokiwał tą swoją wielką, jedynie widoczną, głową, jakby utwierdzał się w tym przekonaniu.

– Widzisz – ciągnął powoli – jesteśmy tworam, które powstały przez zagładę, jej efektem ubocznym. Zabrała nas, potem przemieliała ciała w proch, zmieniała je w nicość, ale umysły niektórych ofiar ocalały. To jedyne racjonalne wytłumaczenie.

Słuchałem starca z uwagą: rozwiewał część moich wątpliwości, a to mi bardzo odpowiadało. Już wspominałem, że nie znoszę, po prostu nie cierpię pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Jedna z postaci za tą pomarszczoną twarzą, z którą rozmawiałem, niespodziewanie się wychyliła. To było kilkuletnie dziecko. Pomachało mi rączką.

– Jak jest rola wybrańca? – Nieco inaczej sformułowałem następne pytanie. Ten sen był zupełnie inny od wcześniejszych. W końcu rozmawialiśmy.

– Po śmierci staniesz się jednym z nas – padła równie szybka odpowiedź. – Sądźmy, że niebawem odejdziesz. Umrzesz. – Starzec znowu poprawił się. – Kiedy, jeszcze nie wiemy. Jesteśmy przekonani, że niebawem.

Niespodziewanie kilkakrotnie ochryple kaszlnął.

– Muszę cię opuścić – dodał nieśpiesznie. – Odwiedzanie kogoś w snach jest jednak męczące... Spotkamy się jutro w nocy.

Zniknął. Po tym, tak jak zwykle, pojawiła się kolumna kolejnych postaci, wpływających z przestworu łagodnego błękitu.

W ich wyglądzie nastąpiła jednak różnica: wszystkie twarze się uśmiechały.

Chyba już zorientowaliście się, że jestem osobą systematyczną, może nawet pedantyczną.

Dlatego następnego dnia jak zwykle podjąłem się codziennych zajęć. Zawsze miałem ich sporo, jednak wykonywałem swoją pracę machinalnie, bo w myślach układałem pytania

do starca. Po raz pierwszy z niecierpliwością czekałem na nadejście wieczoru i zapadnięcie w sen.

Sam się sobie dziwiłem, starałem się jednak nie niecierpliwić, nie zerkać co chwilę na nieboskłon, żeby stwierdzić, jak daleko przesunęło się słońce na firmamencie. Po prostu wykonywałem codzienną robotę.

Stwierdziłem, że spłynęło ze mnie zniecierpliwienie dotychczasowymi snami, odszedł lęk, a nawet przerażenie, a narodziło się silne poczucie zaciekawienia. Szybko zrozumiałem, czemu tak jest: starzec wspominał o odmianie mojego losu, jakiejś misji, o nowym, zupełnie nieznanym mi działaniu. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że to senne wyzwanie naprawdę mnie pociąga. Miałem też poczucie, że dzisiejszy sen zadecyduje o mojej przyszłości. Pracowałem, żeby zabić czas oczekiwania na późny wieczór i nastania głębokiej nocy, bo wtedy spotkam starca we śnie...

I tak się stało.

Tym razem był sam. Tylko on wypłynął z łagodnego przestworu w odcieniu seledynu.

– Pozostali twoi senni goście przenieśli się do innej osoby. Badają ją... Wybrańcze, co chcesz wiedzieć?

Uprowadził moje dwa oczywiste pytania, jakby znał mój umysł na wskroś. Wcale mnie to nie zdziwiło.

– Powiedz: spotykamy się we śnie? – zadałem pierwsze pytanie z długiej listy wcześniej przygotowanych tematów rozmowy. Pragnąłem mieć co do tego pewność.

– Tak. – Odpowiedź była krótka i bardzo konkretna. – Na pewno cię to dziwi, może niepokoi, tak jak i twoich poprzedników... – nieśpiesznie ciągnął dalej. – To nie są senne omamy.

Stwierdziłem, że jednak mój umysł nie stworzył sobie alter ego, może nawet wielokrotnego... Chyba wtedy głośno odetchnąłem z ulgą.

– Jak do tego doszło? – zadałem kolejne pytanie z przygotowanego w ciągu dnia zestawu. Niespodziewanie starzec ciężko westchnął.

– Niestety, nie wiemy... – odpowiedział po chwili. – Męczy nas ten stan. My też wielu spraw jeszcze nie rozumiemy. Zaledwie przypuszczamy...

Niespodziewanie uśmiechnął się.

– Kiedyś na pewno się wyjaśni – nadal mówił powoli. – Sądzimy, że jesteśmy istotami, możesz nazwać nas bytami, stworzonymi przez proces zagłady. Gdy nadeszła, nikt nie wiedział, czym jest i kiedy się skończy. Dobrze wiesz, że zamknęła się prawie

kompletnym unicestwieniem życia i całkowitym zniszczeniem tego, co istniało. Ocalały jednostki... I my.

Zapadło milczenie. Przetrawiałem słowa sennego gościa. Nadal, gdzieś na dnie mojego mózgu, męczyła mnie jedna kwestia: być może moje alter ego było bardziej inteligentne niż ja sam. Formułowało przekonujące odpowiedzi, ale one były tylko moimi wyobrażeniami albo skrytymi, nigdy wcześniej niewypowiedzianymi marzeniami.

Musiałem jakoś to wyjaśnić: albo teraz, albo następnej nocy.

– Widzisz...

Starzec nie zwracał na mnie uwagi. Podjął wypowiedź po chwili przerwy, może zastanowienia.

– My istniejemy jako umysły i pewnie z tego powodu możemy komunikować się z garstką nadal żyjących ludzi, ale tylko w snach. Niespodziewany skutek zagłady... Poprzedniej nocy wspominałem już o tym.

Przypomniałem sobie, że rzeczywiście tak było. Umysł starca miał dobrą pamięć.

Trzeba było jednak zadać jak najwięcej pytań i uzyskać odpowiedzi. Twarze szybko się pojawiały i równie szybko znikwały. Tej nocy było inaczej, gość snu przybył sam, ale za chwilę mógł rozplynać się w nicości, a ja obudzić się z poczuciem niedosytu.

Zadałem więc najważniejsze pytanie:

– Czym będę się u was zajmował, jeżeli, jak twierdzisz, stanę się wybrańcem?

Odpowiedź kompletnie mnie zaskoczyła, a powinienem ją przewidzieć.

– Najpierw musisz umrzeć. Masz już swoje lata, chociaż wcale nie jesteś jeszcze taki stary. Wtedy...

Dłonią potarł nos, tak jakby chciał ukryć nikły uśmiech.

– Wtedy dołączysz do nas i zajmiesz się tym, czym my się zajmujemy: odtwarzaniem życia. Rozszerzaniem ilości ludzi, bytujących tak, jak ty teraz. Następuje to powoli, ale jednak się dzieje... Pomożesz im, w snach przekażesz swoją wiedzę i doświadczenie, nie zdradzając, kim jesteś. Spójrz!

Skierował wzrok w inną stronę.

– Chodzi nam o tę parę z przyszłości – kontynuował. – Właśnie oni cię pochowali, a teraz mieszkają w twoim domu.

Coś w oddali pojawiło się za głową starca.

Obraz przybliżał się i narastał, początkowo zamglony, ale z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wyraźny.

Widziałem dwie młode osoby, kobietę i mężczyznę, próbujące rozpalić ogień w moim żeliwnym piecyku, usytuowanym w rogu kuchni. Niestety, bardzo słabo im szło...

To na pewno była moja kuchnia, tak samo jak poprzednio starannie wysprzątana.

Dobiegły mnie ich głosy, taka sytuacja w moich snach zdarzyła się po raz pierwszy.

– Pójdę do ogrodu, trzeba powyrywać chwasty na zagonie – mówiła dziewczyna. – Przy okazji spojrzę na te groby, czy wszystko jest w porządku.

Obraz przeniósł się, jakbym oczyma podążał za krokami tej młodej kobiety.

Rzuciłem okiem na pierwszy rząd mogił w rogu ogrodu. Dobrze je znałem, nastąpiła tylko jedna zmiana.

Było ich pięć.

Już kończę.

Poświęciłem sporo czasu na sporządzenie tych zapisków w nadziei, że ktoś kiedyś je odczyta. To tak na wszelki przypadek...

Kto? Moi następcy, ta kobieta albo ten mężczyzna, osoby, które znowu zagospodarują moją skromną sadybę. Może będą mieli dzieci? Niewykluczone, bo starzec wspominał o odtwarzaniu życia. Dobrze byłoby, gdyby poznali moją tajemnicę. Nie będą zaskoczeni, gdy pojawię się w ich snach.

Położę kartki w widocznym miejscu na stole i dla pewności umieszczę na nich jakiś płaski kamień, żeby niespodziewany przeciąg ich nie porwał.

Dodam tylko, że teraz pojmowałem, czemu we snach widziałem twarzyczki dzieci, co prawda nieliczne, ale pojawiały się. Teraz już to rozumiałem.

Ktoś musi uczyć naszych następców, jak postępować z maluchami, a potem już młodziami. Ja nie miałem o tym pojęcia, ale te senne umysły dzieci na pewno tak.

Żywię nadzieję, że jutrzejszego ranka, a potem kolejnego, znowu się obudzę, i jeszcze nie zasilę szeregu twarzy, ukazujących się innemu człowiekowi we śnie. Chyba jednak polubiłem nowe życie po zagładzie. W końcu o tym nieskończonym obszarze śmierci zapomniałem, a nowe istnienie było takie spokojne... Ale perspektywa odejścia na zawsze wcale mnie nie przerażała: widziałem już tyle śmierci, że nie przejąłem się nadchodzącym zgonem – moim zgonem. Może moi bliscy też zasilili twarze pojawiające się we snach? Wtedy się spotkamy. Kusząca perspektywa... Niebawem o tym się dowiem.

Nie znam jeszcze nowej pracy, ale jedno jest pewne: postaram się dobrze ją wykonać.

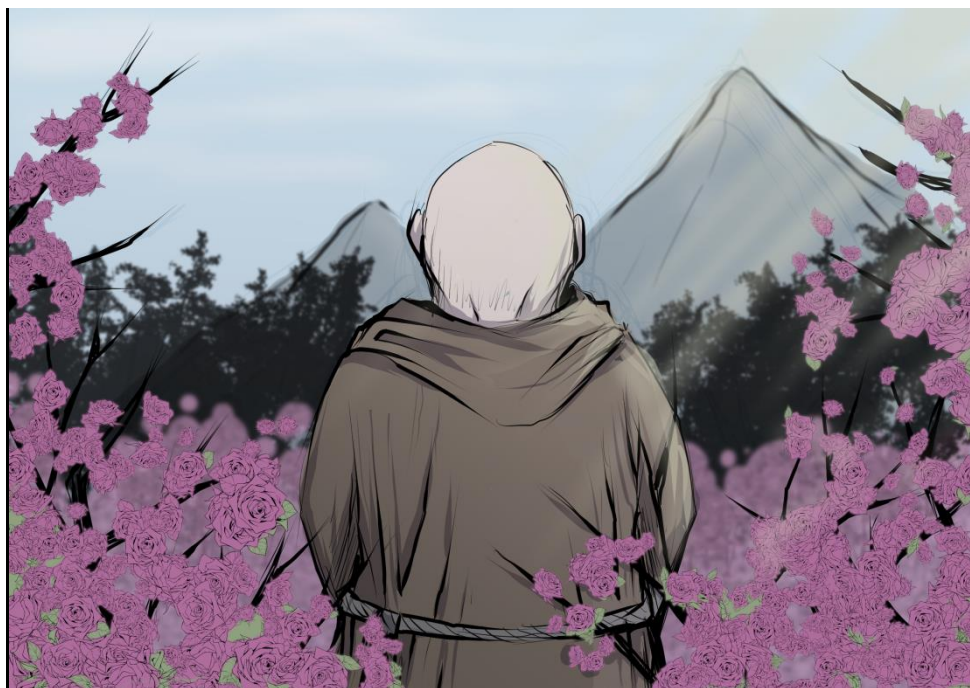
Do moich następców: cierpliwie czekajcie na moje przybycie. Wzniecania ognia krzesiwem przy użyciu hubki trzeba się nauczyć, szybko to idzie, cała reszta jest potem prosta: w piecyku stale trzeba utrzymywać żar.

I nigdy nie lękajcie się żadnych snów oraz osób, które w nich zagoszczą, niekiedy na stałe.

Żebyście wiedzieli, kto sporządził to przesłanie, podpiszę je, chociaż pewnie moje nazwisko nie będzie już miało znaczenia, gdy stanę się tylko jedną z twarzy...

John David Smith

20 sierpnia 2022 r.



WYZNAWCA

Julia Rybicka

Klasztor braci Bodrzyckich leżał u samych stóp Gór Brzozowych, w pobliżu rzeki Ardgost, gdzie niegdyś pogańskie kapłanki składały swoje młode ciała w ofierze bogini Mer. Wraz z nadejściem chrześcijańskiego oręża tradycja krwawych celebracji wyginęła, stając się jedynie echem pradziejów, które nadal można usłyszeć, wsłuchując się w rytm szumiącego lasu, porastającego zbocza skał. Miejscowa ludność przechowywała całą skarbnicę mrocznych legend o upiorach, czających się w korach sosnowych drzew, czyhających na wędrowców, którzy ośmielili się wkroczyć w przestrzeń świętego igliwia. Wieśniacy byli zdania, że żadnych sił boskich czy diabelskich nie należy lekceważyć, więc pokornie klękali przed majestatem krzyża, jak i przed każdym śladem kultu zapomnianych bogów. Góry jednak milczały srogo, domagając się ofiary za przewinienia względem ich zamordowanych czcicieli. Ofiary, której nawet najwierniejszy wyznawca nie był w stanie spełnić.

Brat Antoni medytował wśród zapachów kwitnących róż damasceńskich, których pieśczołliwe doglądał brat Euzebiusz. Antoni z zamkniętymi oczyma kontemlował nad swoimi słabościami i w duszy prosił Stwórcę o zmiłowanie, i choć ciernie wątpliwości wyrastały w jego sercu, to nadal nie pozwalał im objąć swojego umysłu. Minął już szósty dzień, odkąd sen nie nawiedzał go swoim starym zwyczajem i szósty dzień, odkąd poczuł, dławiące łaknienie. Czego? Sam nie wiedział i nie chciał znać odpowiedzi. Szatan znajduje człowieka zawsze niepewnego i samotnego. Wspólnota ułatwia odeprzeć ataki diabelskie, jednak brat Antoni nie zwierzał się nikomu ze swojej zgryzoty. Nie. Coś mówiło mu, by pod żadnym pozorem nie wyjawiał tej gorszącej tajemnicy. Przynajmniej nie teraz.

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Obejrzał się gwałtownie, spodziewając się zastać brata Euzebiusza, ale spostrzegł, że jest sam. Promienie słońca agresywnie przedzierały się przez korony buków, boleśnie kłując źrenice mnicha, który rozglądał się z niepokojem, jak złapany w pułapkę kret. Na wpeł ślepy wyczuwał pośród zapachu róż coś jeszcze, jakąś lepka woń o waginalnym fermentem, odór kobiecej cielesności rozmyty w buzujących feromonami tkankach brzóz. Poczuł żalostną bezradność swojej męskości. Zapach nabrał na intensywności i rozgościł się w płucach Antoniego, wypierając wszystkie uświęcone etery, których kosztował w klasztornych ścianach. Ledwie przytomny zobaczył jakiś dziwny, ciemny kształt na jednej z gałęzi drzew. Mrużąc oczy, brat Antoni spostrzegł, że unosi do góry majestatyczne skrzydła. Sowa nie spuszczała wzroku ze swojego obserwatora. Tkwiała uczipiona w ramieniu buka, jakby stanowiła z nim jeden organizm. Żółte ślepia eksplorowały każdy atom duszy upojonego wyznawcy Chrystusa. Przenikały głęboko, głębiej niż sięga słowo boże, głębiej niż mógłby to zrobić sam Bóg. Ciało brata Antoniego oddzieliło się od duszy, tak jak mięso oddziela się od kości. Powietrze zaczęło kisnąć. Potworny smród spowodował falę wymiotów u mnicha. Antoni krztusił się w konwulsjach, wypluwając z siebie krwiste zlepkki komórek. Był bezbronny w obliczu siły, która wzięła w panowanie jego somatyczność. Czuł, jak jego dusza rozpada się na kawałki, jak kruszy się i spala w buzującym krwiobiegu. Nie było już jego ani wszechświata. Nicość ogarnęła go i wypluła niestawione resztki, które stały się kompostem dla wyrastającej w miejscu anihilacji byliny.

- *Mandragora officinarum*.

Brat Bernard nie miał wątpliwości, gdy uważnie przyglądał się dużym ostro zakończonym liściom skupionym wokół bladych kwiatów o rurkowatym kształcie. Jednak ostatecznie przekonał się, że ma do czynienia z mandragorą, gdy odkrył duże, żółtawe jagody, wydzielające nieprzyjemną woń. Ostrożnie badał strukturę rośliny, podczas gdy reszta

cystersów odsuwała się z niesmakiem, trzymając mokre od olejków chusty przy nosach, jakby lękając się, że już sam zapach może opętać ich zmysły. Jedyne przeor, człowiek w sędziwym wieku i tęgiej postury stanął tuż obok botanika przekonany iż jego duszy piekielne moce nie odważą się tknąć. Poirytowany całym wydarzeniem, z rękoma założonymi na piersi, dawał wyraz swojej wściekłości, zaciskając mocno usta, które otwierał tylko, gdy chciał rzucić gromem pytań.

– Jaka siła doprowadziła naszego brata do tak niehumanicznego stanu? Z pewnością sprawcą nie mogło być zwierzę. Wykluczone. Mur jest na tyle wysoki, że nawet niedźwiedź nie mógłby go pokonać. Jeszcze jedna kwestia. Jak ta piekielna roślina znalazła się na naszej świętej ziemi? Co brat przypuszcza?

Bernard nie zwracał na ojca najmniejszej uwagi. Pochłonięty badaniem zbrodni, której źródło pochodziło z innego świata, usiłował odtworzyć przebieg krwawych okoliczności, jednak pracujące intensywnie neurony nie były w stanie utkać żadnej sensownej myśli.

– Ojczy, nie mogę niestety udzielić wyczerpującej odpowiedzi, choć wszyscy bardzo byśmy tego chcieli. Jedno jest pewne – wstrzymał oddech, szukając odpowiednich słów, by nie spowodować paniki wśród zebranych zakonników. – Coś, co unicestwiło naszego brata, nie było ludzkie ani tym bardziej boskie. To coś, z czym wcześniej klasztor nie miał do czynienia. Z całą pewnością nie jest to zwykły demon – szepnął.

Rozgniewany niejednoznacznością odpowiedzi przeor natarł na braciszka i chwytając go za poły habitu, zaczął wygrażać mu w imię Boże, że jeśli nie ustali, co się dokładnie wydarzyło, każe natychmiast wykluczyć go z zakonu.

– Mówiono o tobie, żeś jeden z najmędrszych człeków, a ty nie potrafisz nawet postawić konkretnej diagnozy! Pojmij – opat ruchem głowy wskazał na rozczłonkowane ciało - że to, co tu się stało, mogło dotknąć każdego z nas, w tym i ciebie.

— Ojczy Przenajświętszy, miej litość nad twoim sługą i okaż cierpliwość! Jest jeszcze jedna kwestia, jeszcze jeden trop...

Przeor, odkrywając w oczach mnicha ten błysk, który pojawia się w chwilach oświecenia umysłu ludzkiego, puścił go i nakazał mu kontynuować, bez zbędnego rozwlekania. Bernard z urazą otrzepał habit z niewidzialnych pyłków i zaczął wyjaśniać:

– Oprócz samej rośliny, która stanowi niezaprzeczalny dowód działania sił nieczystych, znalazłem jeszcze coś takiego.

Wszyscy mnisi zamarli z przerażenia, gdy botanik wyciągnął z jednej ze swoich skrzynek czarne pióro z widocznymi kroplami krwi brata Antoniego. Podeszli bliżej, by przyjrzeć się dokładniej puszystej strukturze. Nawet przeor zrezygnował na chwilę z władczej postawy inkwizytora i zaintrygowany nadstawił uszu, by słuchać dalej.

– To pióro należy do sowy niezidentyfikowanego gatunku. Nigdy jeszcze nie widziałem tak błyszczącego, w promieniach słońca zdajesię lśnić kolorami tęczy.

Brat Bernard mówił z fascynacją, która nie spodobała się opatowi, lecz, podobnie jak reszta, nie mógł zaprzeczyć, że pióro w dziwny sposób przyciągało jego spojrzenie. –Sądzę, że ów ptak musi mieć związek z morderstwem naszego brata. Jaki? Nie wiem. W ramach dalszej procedury pozwolę je sobie zatrzymać do dalszych badań. Ponadto rozsądnie będzie pobrać próbki krwi i również poddać je analizie. Na ten moment tyle jestem w stanie zrobić.

Przeor nieco rozchmurzony nowymi rewelacjami nakazał mniej wrażliwym braciom, by rozpoczęli przygotowania do pogrzebu, pomimo iż zwłoki były doszczętnie zmasakrowane, a jedynym znakiem identyfikującym brata Antoniego był drewniany krzyżyk leżący pośród piętrzących się ścięgien. Brat Euzebiusz ze łzami w oczach zbijał niewielką trumnę i myślał sobie, że człowiek w istocie niczym się nie różni od roślin, że cała jego skomplikowana struktura nie chroni go przed zagładą ani tym bardziej przed samym sobą.

Po skromnym obrządku, oddaniu czci zmarłemu i żarliwych modlitwach mnisi, z wyjątkiem Bernarda, udali się na spoczynek. Mnich-botanik był zbyt przejęty i podekscytowany, by oddać się w ramiona Morfeusza. Z pomocą specjalnego szkiełka powiększającego przyglądał się plamom krwi, ale nie był w stanie ujrzeć nic, co pomogłoby mu rozwiązać zagadkę tajemniczego zabójstwa. Mijały godziny, a brat Bernard robił się coraz bardziej zmęczony. W pewnym momencie wydawało mu się, że jednak coś dostrzega. Jakieś nieznaczne ruchy. Dokręcał szkiełko, wyostrając obraz do tego stopnia, że zerwał się złknięty, przewracając wszystkie medykamenty. Przez moment myślał, że oszalał bądź śni, jednak gdy przyglądał się próbkom krwi, nie mógł dłużej zaprzeczać. Wewnątrz czerwonej cieczy poruszały się iskry ognia.

Wczesnym rankiem, po skończonym śniadaniu, przeor czym prędzej udał się do herborysterium. Brat Bernard już na niego czekał. Podkrążone oczy i leniwe ruchy świadczyły o nieprzespanej nocy. Zaczęli rozmawiać. Bernard resztkami sił tłumaczył, jakiego niezwykłego odkrycia dokonał. Przeor trawił słowa mnicha z pewnym sceptycyzmem

i widocznie zaszkodziły one jego wrażliwym trzewiom, gdyż w końcu przerwał swojemu rozmówcy.

– Bracie Bernardzie co usiłujesz mi powiedzieć? Że nasz brat dokonał samozapłonu? Nedorzecznosc! A niby jak ma się do tego wszystkiego ten przeklęty ptak i to cuchnące zielsko?

– Sęk w tym, Ojcie, że próbuję połączyć w sensowny sposób wszystkie kawałki naszej układanki, lecz jest to nadzwyczaj trudne. Mamy do czynienia z magią. To fakt, którego nie obalisz. Jeśli jednak chodzi o to, kto zabił i dlaczego... – wzruszył ramionami i czekał na reakcję przeora. Ten jednak zamyślił się. Zrobił kilka kroków w stronę okna wychodzącego na las, jakby oczekiwał, że drzewa same przyniosą odpowiedź. Jakiś rodzaj nostalgii odmalował się na twarzy ojca Jerzego. Jakiś rodzaj tęsknoty. Bernard chciał coś jeszcze powiedzieć, ale przerwanie milczenia przeora wydało mu się zbyt bluźniercze. Nagle oboje wstrzymali oddech. Z głębi dzikiej puszczy dotarł do nich przeciągły ryk. Toporność skowytu zaskwierczała im w uszach. Okres godów. Zwierzę oddawało się rozkoszy zgodnie z rytmem bicia serca puszczy, nieskrępowane, wolne od śmiesznego dogmatyzmu, któremu hołduje człowiek. Była w tym wyuzdaniu pewna świętość, boski dar płciowego obcowania, jednoczenia się istot w hormonalnej gorączce ku czci Matki Ziemi. W tym krzyku dzikim, lecz na wskroś ludzkim, rozbrzmiewało wezwanie, rodzaj zaproszenia do faunistycznej orgii. Zawodzenie buzującego testosteronem knuraprzypominało świętym, że są ulepieni z gliny. Wolność bycia zwierzęciem. Instykt zamiast ideologii. Czucie bez myśli. Ciało bez wiary.

Rzucić się w ogień lasu i spłonąć, by inkarnować się w nowe byty, wężące, zaciekle, oblepione mchem i żywicą, oszalałe z namiętności do życia, do ucztowania w kniejach. Pierwotne grzeszne istoty, które akceptują swoją rolę w genetycznym rumowisku, mają przewagę nad swoimi cywilizowanymi braćmi. Będą mnożyć, pomnażać, rozmnażać, dopóki ogień nie pochłonie ich ciał. To, co z ziemi powstało, do ziemi musi wrócić. To, co przynależy do ziemi, nigdy nie będzie przynależać do nieba.

Ojciec Jerzy oddychał głęboko i uzmysłowił sobie, że czoło ma zroszone potem. Bernard przyglądał mu się, jakby patrzył na jeden ze swoich okazów. Ile dałby za poznanie myśli przeora.

– Bernardzie – zaczął przeor. – Idź wypocząć. Na dziś kończymy.

– Ale ojciec... Nie możemy tego tak zostawić. Ojciec ma świadomość...

– Idź wypocząć. Jutro rano wyruszamy. Czeka nas żmudna wspinaczka.

– Ale dokąd? Ojciec chyba nie myśli o...

Przeor posłał mu uśmiech, który przyprawił Bernarda o ciarki. Zbliżył swoją starą twarz do jego twarzy i rzekł:

– Więc już wiesz, synu, dokąd. Lepiej nie zadawaj zbędnych pytań. – Po czym odszedł, nawet nie oglądając się na osłupiałego mnicha.

Ekspedycja w głąb Czarciego Lasu, została ściśle utajona. Ojciec Jerzy oznajmił braciom, że otrzymał zawiadomienie z wioski położonej po drugiej stronie rzeki z prośbą o odprawienie egzorcyzmów nad duszą biednej dziewczyny. Żeby wędrowniacy mu się nie dłużyli, weźmie ze sobą brata Bernarda. Tymczasowo obowiązki przeora będzie pełnił brat Euzebiusz. Brat Bernard, mimo szalejącego w piersi serca, nie dał po sobie poznać, jak bardzo lęka się tej podróży. Powinność wobec klasztoru, jak i oddanie ojcu, dodawała mu odwagi wobec przedsięwziętej misji, której cel był dlań niejasny; towarzyszyło mu poczucie, że nawet sam przeor nie wie, co czyni. Był jednak w błędzie. Ojciec Jerzy wiedział. Z pewnych względów wolał zachować to dla siebie.

Wyruszyli rankiem wzdłuż szlaku pokrytego butwiejącymi liśćmi. Ścieżka w pewnym momencie urywała się w miejscu, gdzie można było spacerem dostać się do siedlisk ludzi, jakby wyraźnie dawała do zrozumienia, że jest to jedyna, słuszna droga. Jednak każdy z miejscowych wiedział o istnieniu szlaku widmo, który, mimo iż nie był wyznaczony, istniał. W tej części las zaczynał się zagęszczać i pokrywać pokrzywami, a rozłożyste korony obrzmiałych olch ścieliły na powierzchni ziemi czarne welony. Bernard zastanawiał się, jak dociera tam światło. Szedł za przeorem, niepewnie, choć z dozą wrodzonej fascynacji naturą obserwował otoczenie. Zaś ojciec był nieporuszony. Wojownik boży kroczył naprzód, nie mącąc swojego statecznego umysłu żadną zbędną myślą. W końcu gdy zniknęli w ciemnościach lasu, brat Bernard musiał ulżyć swojej ciekawości.

– Nie chciałbym podważać ojca autorytetu, lecz co właściwe ojciec zamierza?

–Czyż nie było to od początku oczywiste? – zachnął się przeor. – Szukamy źródła magii, która zabiła naszego brata i która wciąż zagraża wspólnocie.

Bernard nic nie odpowiedział, choć miał na końcu języka pytanie, czy aby nie ryzykują zbyt wiele, zapuszczając się tam, gdzie ludzka stopa od przeszło stu lat nie odcisnęła śladu.

Na początku Wielkiej Rzezi w obawie przed torturami kapłanki rzucały się ze skarp, roztrzaskując swoje młode ciała o skały, z krzykiem przeklinając tych, którzy zniweczyli odwieczny porządek. Oddziały zbrojnych zrujnowały świątynie i spalili święte drzewa. Misja głoszenia chrystusowego słowa jednak nie zakończyła się sukcesem. Część żołnierzy nigdy nie wróciła do domu, a ci, którzy przeżyli, byli obłąkani i mówili o rozrzuconych w lesie głowach kobiet szepczących złowrogie słowa. Duchowni przybyli na te ziemie uznali, że las jest przeklęty i zabronili komukolwiek zapuszczać się w góry. Panowało wśród nich przekonanie, że są takie miejsca, gdzie nawet Bóg woli nie zaglądać.

Minęły już dwie godziny odkąd przekroczyli progi Czarciego Lasu. W gęstwinach panowała cisza. Tak jakby natura zamilkła, zdziwiona obecnością ludzkich kształtów, przedzierających się przez monstrualnie rozrośnięte krzewy i drzewa, sięgające nieba. Drzewa wokół wydawały się większe od poprzednio mijanych. Wydawało się podróżnym, że z każdym ich krokiem cała roślinność rośnie, nabrzmięwa, karmiąc się jakąś paranormalną energią. Powietrze było duszne; tropikalna wilgoć mieszała się z wrzącymi oddechami mnichów. Niespodziewanie spłynęła na nich fala ciepła. Bernard odczuł, że panujący w lesie klimat zaczyna go dusić. Przekrwione oczy były mokre od lawiny potu. Przeor ignorował ostrzegawcze sygnały, które wysyłało mu ciało. Szedł dalej. Gruby materiał habitu przylgnął do jego skóry, parząc ją boleśnie. Brat Bernard czując, że jest bliski omdlenia, gwałtownie zdjął z siebie całe okrycie. Przeor, widząc swojego syna nagiego, już otworzył usta gotowe, by zgromić mnicha, lecz odczuł, że i on musi wyswobodzić się z więzów klasztornej ubrania. Gorączka ogarnęła jego mózg, który zaczął się powoli rozpląwać. Utkwił dziki, pozbawiony emocji wzrok w Bernardzie. Zapach jego potu natarczywie drażnił nozdrza przeora, wydał mu się wręcz słodki.

Nie. Jakiś sprzeciw. Resztki wibrujących neuronów, a może głos duszy kazał mu się cofnąć. Poczł do siebie obrzydzenie. Jak ohydny stworzeniem potrafi być człowiek. Przeor zląkł się własnej sensualności, a jeszcze bardziej swoich myśli.

Brat botanik dyszał głośno, łapczywie łapiąc coś, co jeszcze przypominało tlen. Musiał usiąść na ziemi, jego kończyny nie miały nawet siły, by go utrzymać. Przeor, cały mokry, nasiąknięty lepka żywicą uklęknął na jedno kolano, zasłaniając swoją męskość.

– Pomódlmy się. Bóg nas nie opuści. –Rzekł, dodając bratu Bernardowi otuchy.

Obaj zatonęli w modlitwie, szukając pomocy Chrystusa. Dwa nagie ciała. Modlitwa była ich jedyną ucieczką od cielesności. Wycieńczeni opadli miękko na ziemię, pogrążając się w głębokim śnie.

Pierwszy obudził się przeor. Gdy odkrył, że jest nagi, nie poczuł wstydu. Dawne uczucie obrzydzenia minęło. Znowu stał się tym samym, śliskim, lubieżnym robakiem, którego chucie kipiały gotowe, by uwolnić swój tłumiony potencjał. Otaczający go gorąc, stał się dlań naturalny. Nauczył się oddychać nowym powietrzem, przepelnionym miodem i wilgocią. Urodził się nanosekundy temu, a był już gotowy, by wyruszyć na żer. Wykluwające się powoli pożądanie paliło mu lędźwia. Ból. Rozrywający ból istnienia. Ból wszetecznej wolności trawił jego ciało. Chciał krzyczeć, ale z gardła wydobył mu się tylko niezrozumiały pomruk. Usiłował myśleć, przetwarzać, analizować. Nicość. Jego umysł wpadł w czarną dziurę, zawędrował gdzieś w jakąś tajemniczą przestrzeń, odległy i całkowicie niezależny od niego. Pozostał mu tylko instynkt. Odczuwał silniej całą rzeczywistość. Las oddychał razem z nim. Był jego płucami. Jego lędźwiami, żołądkiem, wątrobą. Serce pulsowało w rytm szumiących drzew. Był czymś więcej niż zwierzęciem. Stał się naturą. Kosmosem.

Z potężnych szczęk wydobył się przerażający ryk. Ryk był tak ludzki, rozpaczliwie ludzki. Brat Bernard ocknął się z głębokiego snu. Podniósł ciężkie, zlepione rosą powieki i ujrzał coś, co nie mieściło się w jego pojmowaniu świata. Potężne humanoidalne monstrum przypominające niedźwiedzia wierzgało po ziemi ogromnymi łapami, wypluwając kaskady zakrzepłej krwi. Żółte ślepie były wytrzeszczone, jakby zaraz miały pęknąć. Na oczach mnicha ciało ojca Jerzego, a raczej coś, co niegdyś do niego należało, pokrywało się intensywnie długimi, sztywnymi włosami, tak że ogarnęło całą jego powierzchnię. Twarz brata Bernarda utonęła we łzach.–To jakieś szaleństwo – szeptał, usiłując cofnąć się od okropnej poczwary; odczuł jednak obezwładniającą słabość swoich mięśni. Nieposłuszne nakazom umysłu członki nawet nie drgnęły. Był jak rzucony na pożarcie worek mięsa. Zapomniał już o modlitwie. Podświadomie wiedział, że nikt mu nie pomoże. Matka Natura wydała na niego wyrok.

Zwierzę dyszało ciężko. Wycieńczone przemianą łapczywie wciągało powietrze przez potężne nozdrza. Popękane sploty naczyń krwionośnych okalały wąskie źrenice potwora. Wokół wyplutych, brunatnoczarnych zbitek krwi, zaczęły krążyć muchy, które przyciągnął odór rozkładających się tkanek. W pewnym momencie zrobiło się jakby ciszej i jaśniej. Brat Bernard zobaczył, jak fantastyczne sploty światła przedarły się przez wachlarze liści i spłynęły na bestię niczym blask aureoli świętych. Zafascynowany obserwował monstrum.

Nagle upiorna postać odwróciła się w jego stronę. Teraz to on był obserwowany. Bestia doskoczyła do niego. Z piersi mnicha wydobył się skowyt. Potwór runął na niego całym swoim cielskiem. Krzyki Bernarda przerodziły się w żalosne pojękiwania, błagające o szybką śmierć. Cuchnąca woń spragnionego kopulacji ogiera wywołała u ofiary kaskadę wymiocin. Monstrum napierało na poturbowane ciało, nieświadome swojej siły, wyzwolone od śmiesznego człowieczeństwa brnęło w otchłań rozkoszy, całkowicie pogrążając się w ceremonii godowej. Ostre kły wtopiły się jak masło w chudą szyję ofiary. Rozjuszona bestia wyrwała tętnicę szyjną i jednym ugryzieniem rozdzieliła głowę od ciała, a ciało od duszy. Bóg tylko patrzył przez zamknięte oczy, tłumiąc śmiech.

Ojciec Jerzy miał sen. Nie był to jeden z tych snów, które śmiertelnym przynoszą ulgę od kłopotliwej rzeczywistości. Nie. Został wrzucony w samo jądro koszmaru. Krzyki. Krew. Mięso. Jakaś młoda kobieta. Przyzywała go do siebie ruchem delikatnych palców. Nęciła jego duszę. O nie. Musi się obudzić. Natychmiast.

Otworzył oczy. Kobieta zniknęła. Koszmar rozplątał się gdzieś w wilgotnych kniejach. Na polanie był tylko on. Żadnego śladu brata Bernarda. Żadnego śladu zbrodni.

Zdumiony i dziwnie zmęczony odkrył na swoim ciele pełno zadrapań, które mogły uczynić wyłącznie paznokcie człowieka. Przeor zmarszczył grube brwi. Nic nie pamiętał. Ostatni obraz, jaki potrafił przywołać, to obraz okropnej gorączki, która spłynęła na niego i brata Bernarda podczas wędrówki. Później zasnęli. Nic więcej.

Nieobecność botanika potraktował jako ucieczkę, przejaw tchórzostwa, o który od początku go posądzał. Wyrozumiałe serce przeora przebaczyło mnichowi akt nieposłuszeństwa. On jeden był powołany do tej misji i on jeden uratuje klasztor od zagłady. Ojciec Jerzy po krótkim namyśle otrzepał się z resztek trawy i ruszył przed siebie, pozostawiając ciemne rejony lasu za sobą. Po kilkunastu minutach drogi las robił się rzadszy, a pod nogami zaczęły wyrastać kanciaste skały. Pomimo ogromnego zmęczenia przeor nie zezwalał sobie nawet na chwilę postoju. Wiedział, że jeśli się zatrzyma, nie będzie miał dość sił, by iść dalej. –Pan jest moim pasterzem – szeptał, stawiając ostrożnie stopę na jednym ze śliskich kamieni. – Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć.

Słońce bezlitośnie paliło mu twarz. Zaczynał bełkotać z odwodnienia. Już blisko.

Gdy dochodził do szczytu góry, przed oczami wyrosła mu niewielka, drewniana świątynia otoczona zewnątrz karłowatymi brzoźkami na kształt baldachimu. Miał rację, sądząc, że

dawny kult nie wyginał, a jedynie osunął się w cień po nastaniu Wielkiej Rzezi. Zawsze gdy spoglądał na szczyt góry, wydawało mu się, że tętni ona życiem, a domniemane popioły spalonych świętych gajów to tylko część legendy utkanej ze słów pierwszych biskupów, którzy ostatecznie ponieśli klęskę w procesie chrystianizacji.

Przeor ostrożnie zbliżał się do wejścia budowli. Magiczna atmosfera otaczająca gaj zaczęła na niego intensywnie oddziaływać. W środku panował półmrok rozświetlany przez zastępy nadtopionych świec, lecz ich światło było tak słabe, że przeor nie mógł dostrzec kryjącej się w ciemnościach postaci. Oddychał ciężko, mrużąc oczy, w oparciu o intuicję wiedział, że coś albo ktoś na niego czeka. Pomimo niewielkich rozmiarów, świątynia w środku zdawała się olbrzymia. A może było to tylko jedno ze złudzeń przeora?

Nagle poczuł na karku powiew chłodu. Zrobiło się zimno. Na ciele przeora pojawił się dreszcz. Był już pewien, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się gwałtownie z przeświadczeniem, że ktoś za nim stoi. Jednak jedyne, co ujrzał, to siedzącą na jednym ze świeczników czarną sowę z wlepionymi wewnątrz żółtymi ślepiami. Jej widok nie wzruszył ojca, spodziewał się raczej czegoś gorszego niż zwyczajnego leśnego ptaka. Czego? Nie wiedział.

W tym samym czasie jakiś miękki kształt szybko przemknął mu pod stopami. Krzyknął. Świece zgasły. Zapanował mrok. Czyjeś ręce sięgnęły do jego twarzy, ostrożnie, jakby badając jej strukturę. Puls ojca Jerzego powoli zwalniał. Wtem zalała go oślepiająca jasność. Przeor upadł na ziemię, zasłaniając oczy. Jakaś postać pochylała się nad jego ciałem. Gdy podniósł wzrok, jego oczom ukazała się brzemienista niewiasta, opasana wokół bioder jedynie cienkim materiałem, z welonem czarnych włosów spływających na plecy. Na jej lewym ramieniu siedziała czarna sowa. Kobieta przyglądała mu się bez emocji; była jak wyniosła królowa Hadesu, chtoniczne bóstwo pięknej śmierci.

— Czekałam na ciebie, wielbny – rzekła pełnym powabu, uwodzicielskim głosem. – Ale widzę, że i ty nie mogłeś doczekać się spotkania ze mną. – Kobieta uśmiechnęła się zalotnie, lecz w oczach jej żarzył się ogień nienawiści, stos ofiarny, który był gotów pochłonąć ojca na wieki.

– Nie pochlebiaj sobie, demonie. Wdzięczysz się do mnie, przybierając kobiecą postać. Nie myśl, że nie wiem, jaką ohydę skrywasz za tym pięknym licem.

– Nie jestem demonem. – Urażona niewiasta przeniosła wzrok na swój duży brzuch i pogładziła go z osobliwym wyrazem twarzy; przypominała troskliwą matkę, oczekującą

połogu, choć przeor wiedział, że nie może ufać pozorom. Rozpoczął egzorcyzm modlitwą błagalną:

–Stworzycielu Świata, Chrystusie Obrono Nasza, uczyni swego sługę dość silnym, by wypędzić z twojej boskiej przestrzeni tegoż demona...

Kobieta nawet nie drgnęła. Uśmiech na jej twarzy stał się jeszcze bardziej kpiący, tak że przez umysł przeora przeszła myśl, iż może się mylić. Pomimo wątpliwości nie przestawał egzorcyzmować i prosić Pana o pomoc. Początkowe, łagodne sformułowania, przerodziły się w agresywne rozkazy.

– W imię Chrystusa Pana Naszego, wypędzam cię, demonie!

W tym samym momencie kobieta zbliżyła twarz do jego twarzy i pocałowała go, długo, namiętnie. Była w tym pocałunku pewna litość, która ośmieszała ojca w jego własnych oczach. Daremne słowa i próby przepędzenia czegoś, o czym nie miało się pojęcia, czegoś, co wykraczało poza pisma i mądre księgi. Ojciec Jerzy desperacko sięgnął ręką do Biblii i wymierzył święte słowa w kobietę, licząc na jakąkolwiek reakcję z jej strony, lecz z jej pełnych warg wyrwał się ogłuszający śmiech. Kobieta śmiała się, ukazując długie, białe uzębienie, jak u wampira.

– Mówiłam, mnichu – zaczęła. – Nie jestem demonem. Twojego Boga tu nie ma. Nigdy go tu nie było. –Dodała, dumnie unosząc brodę.

Przerażony przeor dostrzegł, że piękna twarz kobiety pokryła się czarnymi żyłkami, a w jej brzuchu coś zaczęło wykonywać spazmatyczne ruchy, jakby chciało wydostać się na powierzchnię. Niewiastągłaszcząc brzuch, uspokajała swoje nienarodzone dziecko, choć sama zdawała się odczuwać niepokój.

– Widzisz, ojcze, moje dzieci od dawna nic nie jadły. A żeby żyć, trzeba jeść, prawda? Twój mnich był wyborną strawą.

– Szatańska poczwaro! Brat Antoni był ostatnią twoją ofiarą. Na więcej nie zezwolę. Umrzesz i wrócisz do Szeolu na dno otchłani, z której przybyłaś!

– Ach, przyganiał kocioł garnkowi – oczy niewiasty zaśniły złotym blaskiem. – Nie pamiętasz, co wydarzyło się ostatniej nocy? Cóż... Przypomnę ci!

Ojciec nic nie rozumiał z pogrywań kobiety ani jej niejasnych słów. Otworzył usta gotowy, by coś powiedzieć, obronić się przed jej sugestiami, lecz mimowolnie upadł na kolana. Nagle

przed oczami zrobiło mu się jaśniej. Spłynęła na niego porażająca bladość rzeczywistości. Jego mózg zaczął wypełniać się potwornymi wspomnieniami. Chuć. Krew. Nagość. Bernard. Przemiana. Głód. Konsumpcja. Z ust wydobył mu się szloch. Przerażająca świadomość zbrodni wyniszczała go od środka. Kobieta zaś przyglądała mu się z satysfakcją, lubieżnie oblizując usta.

– To nie może być prawda! Nie! Nie! Zgroza! – łkał ojciec. W jednej chwili odważny wojownik boży zamienił się w niktzemnego robaka, małego pełzającego owada, którego życiem sterowała wyższa, matriarchalna potęga natury, uosobiona w brzemienną niewiaście.

Podczas gdy przeor upadł się przed obliczem kobiety, ona łapiąc się za brzuch, rozwarła szeroko nogi gotowa do porodu. Okropne bóle ogarnęły jej ciało. Twarz stawała się coraz bardziej naznaczona czarnymi, wypukłymi naczyniami, aż w końcu oszpeciły ją całą. Na zewnątrz zerwał się wiatr, a niebo pokryły burzowe chmury. Ziemia pod nimi zaczęła się trząść, jakby sama była zalękniona nadchodzącym piekłem. Przeor ułożył się na ziemi, gotowy by zniszczyć to, co z niego zostało. Kobieta zaczęła upiornie wrzeszczeć. Niebo przecięła gruba błyskawica. Brzuch niewiasty zaczął pulsować i powiększać się, aż w końcu wybuchł. Z ziejącej, czarnej jamy zaczęło wydobywać się tysiące małych stworów wielkości dzieci. Krwiste, tkankokostne masy pełzały wokół swej matki, wydobywając z siebie straszliwe piski. Ślepe, pozbawione zmysłów zaczęły instynktownie kierować się w stronę przeora. Ten tkwił na ziemi. Sparaliżowany ze strachu, oddany wyznawca, gotowy ponieść największą ofiarę. Amorficzne stwory rzuciły się na niego oszalałe z głodu. Przeor zaczął krzyczeć. Kobieta upadła na ziemię, wycieńczona, a jej ciało niespodziewanie rozbiło się na drobne kawałki. Jej dzieci zaczęły agresywnie konsumować wszystkie członki ojca, wpełzały mu do jelit, do płuc, wytrwale trawiąc każdy kawałek, dopóki nie dorwały się do mózgu, który został przez nie doszczętnie wyjedzony. Z ojca Jerzego nie pozostał nawet drewniany krzyż.

Szalejąca pogoda ucichła. Ziemia przestała jęczeć, a przez wejście do świątyni zaczęły przedzierać się promienie słońca. Po chwili ze świątyni zaczęły wychodzić nagie, młode kobiety. Kapłanki nowej świątyni, zrodzone z wiernego wyznawcy.



Z PROCHU POWSTAŁEŚ I W PROCH SIĘ OBRÓCISZ

Adrian Iwaniak

Coraz trudniej było mu powstrzymać łzy. Próbował odegnąć posępne myśli, lecz za każdym razem, gdy wpatrywał się w czarno-białe zdjęcie, opatrzone czarną wstążką, coś ścisnęło go w środku. Ból, żal, tęsknota... Wszystko naraz. Strata przyjaciela odcisnęła na nim tak silne piętno, że został odsunięty od służby na ponad dwa miesiące. Lekarz zalecił mu odpoczynek i wyjazd do innego kraju, aby nabrał dystansu do całej sytuacji. On jednak w tym czasie leczył smutki alkoholem, hazardem, a także mocnymi używkami.

Nic jednak nie przynosiło ukojenia. Dopiero powrót do straży pomógł mu dojść do w miarę względnej normalności. Potrzebował tego. Potrzebował stanąć w szranki z niebezpieczeństwem i znów poczuć przyływ adrenaliny.

A mimo to wciąż budził się w nocy, słysząc krzyk przyjaciela.

Pamiętał to jak dziś. Tamtego wieczoru żywioł pochwyił w ogniste macki pięcioro dobrych ludzi - czterech cywili oraz młodego strażaka, który miał przed sobą całe życie. Paweł, najlepszy przyjaciel Tomasza, odszedł w płomieniach niczym zasłużony w boju strażak, choć mundur otrzymał dopiero kilka miesięcy przed śmiercią. To właśnie Tomasz namówił go na wstąpienie do służby, czego teraz szczerze żałował. Poczucie winy nie pozwalało mu normalnie funkcjonować.

Pośmiertne medale oraz uroczysty pogrzeb nic nie zmieniły... Rana w sercu była zbyt głęboka, aby mógł po prostu zapomnieć. Tomasz wiedział, że nic już nie będzie takie samo. Pozostał mu tylko smutek i wyrzuty sumienia.

Posępną ciszę przerwał komunikat z interkomu:

– Wyjazd zastępów GBA, GCBA i SHD, pożar budynku przy ulicy Wiślanej piętnaście. Powtarzam! Wyjazd zastępów GBA, GCBA i SHD, pożar budynku, Wiślana piętnaście!

Tomasz powrócił do rzeczywistości. W ciągu chwili wyzbył się przykrych wspomnień, a ciało zaczęło funkcjonować zgodnie z utartym schematem działań. Szybkim ruchem przetarł wilgotny policzek i poderwał się niczym rażony prądem.

– Wyjazd, wyjazd, wyjazd! – Po korytarzu niesły się krzyki strażaków.

Wszystko działo się tak błyskawicznie, że dla zwykłego obserwatora mogło wyglądać jak chaos, a nie sprawna organizacja zastępu. Tomasz jednak doskonale wiedział, co ma robić. Zapiął w pośpiechu zamek kombinezonu i wskoczył na ześlizg, dzięki czemu znalazł się w garażu na poziomie zero. Tam, w towarzystwie kolegów z zespołu, przywdział najpierw dolną, a potem górną część stroju bojowego, chwycił hełm i wszedł do ciężkiego samochodu gaśniczego, w którym siedziało już czterech strażaków. Pełny uniform założy w drodze na akcję, teraz nie miał na to czasu.

Niezależnie, czy spożywa posiłek, czy gra z kolegami w kosza na hali, strażak rzuca wszystko, gdy bije alarm, i jedzie nieść pomoc. W takich chwilach liczy się każda sekunda.

– Co mamy? – zapytał Wojtas, gdy wreszcie udało mu się dopiąć klamry hełmu.

– Pożar budynku firmowego, na miejscu są już dwa zastępy i oddział OSP – odparł kapitan Kołecki. – Według bazy wewnątrz mogą znajdować się uwięzieni cywile, ale chłopaki nie dają rady przebić się do środka.

– Istna noc cudów... To już trzeci wyjazd.
– Taaa... Ledwo wróciliśmy z dzwona, a tu już gajowy włącza buczkę – wymamrotał Łysy. – Nawet nie zdążyłem się odlać!
– Spokojnie, panowie. Koncentracja!
– Ty, młody, a co ty taki małomówny? – Kapitan skinął głową w stronę Tomasza.
Ten zdawał się głuchy na jego pytanie. Dopiero po chwili, jakby wyrwany ze snu, podniósł wzrok na towarzyszy i przetarł spoconą twarz.
– Po prostu... Cieszę się z powrotu do służby.

Gdy dojechali pod wskazany adres, powitał ich ryk strażackich syren oraz światła kogutów, które oświetlały mrok paletą biało-niebieskich barw. Cały teren odgradzony był taśmą, lecz nie odstraszyło to tłumy ciekawskich gapiów. Nawet widok buchających płomieni nie zapalił w nich ostrzegawczej lampki, aby oddalić się na bezpieczną odległość. Zrobili to, dopiero gdy starszy brygadier w dosadnych słowach nakazał im się rozejść.

Kiedy zastęp zaparkował przed budynkiem, strażacy wysiedli w pośpiechu z zasłużonego GCBA. Nie przejmowali się obecnością cywili czy sięgającymi kilku metrów językami ognia. Działali instynktownie, jak zaprogramowane maszyny. Komendy, wydawane przez kapitana Koleckiego, były dla nich czystą formalnością.

– Panowie! Rozwijamy linię główną W-75, rozdzielacz! Pierwsza rota: linia gaśnicza W-52, druga, jak będzie potrzeba, linia główna na dach budynku. Biegiem!

- Tak jest! – odparł Wojtas.
- Pająk, Łysy, brać się za podnośnik, a Ryba i Gruby, odpowiadacie za zasilanie.
- Robi się, kapitanie!
- Gaz i prąd odcięli już chłopaki z ochotniczej, także do roboty!

Tomasz wiedział, że czeka go inne zadanie. Odziani wraz z Wojtasem w maski i aparaty oddechowe, szykowali się do penetracji budynku. Nim jednak przekroczyli próg, sprawdzili łączność krótkofalówek, szczelność kombinezonów i latarki. Tomasz poprawił jeszcze rękawiczki i odetchnął głęboko na rozluźnienie. Adrenalina niemal buzowała mu w żyłach. Czuł strach, ale i jednocześnie zastrzyk energii oraz ból napiętych mięśni.

– Gotowy? – spytał Wojtas.

Mężczyzna skinął głową, po czym ruszyli w stronę głównego wejścia.

Pierwsze, co dosięgło ich po otwarciu drzwi, to smuga czarnego dymu, która wzbijała się w powietrze niczym chmura radioaktywnych opadów. Przez moment nie byli w stanie dojrzeć siebie nawzajem, nie pomagały im nawet latarki. Do tego widoczność utrudniały maski tlenowe, lecz bez nich udusiliby się w ciągu kilkunastu sekund. Mimo to musieli przeć przed siebie. Wojtas szedł jako pierwszy, Tomasz zaś trzymał się metr za jego plecami, gotowy w każdej chwili go asekurować. Gdy w końcu dostrzegli pierwsze płomienie, skierowali linię gaśniczą na podłogę i ściany, aby ograniczyć rozprzestrzenianie się ognia. Żywiół nie dawał jednak za wygraną. Woda lała się hektolitrami, ale szybko wyparowywała pod wpływem temperatury. Do tego nadpalone elementy dachu groziły zawaleniem lub w lżejszym wypadku naruszeniem konstrukcji. Tak czy inaczej, ryzyko czało się na każdym kroku.

Tomasz oddychał ciężko, jakby dopiero uczył się łąpać powietrze. Przez hałas nie słyszał nawet komend dobiegających z krótkofalówki. Docierały do niego tylko przytłumione wrzaski i trzask palących się mebli.

Minuty mijały, a strażacy nieśpiesznie kierowali się w głąb budynku. Teraz to Tomasz wyszedł przed szereg, a Wojtas pozostał w tyle i rozciągał węża, który wił się przez korytarz niczym żyły w ludzkim organizmie. Powoli udawało im się ugasić główny hol, lecz był to dopiero początek walki z żywiołem. Nagle usłyszeli krzyk. Krótki, niewyraźny, jakby dziecięcy. Tomasz poklepał towarzysza po ramieniu i z trudem wysapał:

– Słyszałeś to?

Wojtas pokręcił głową.

– Mamy cywila w środku, chyba na dolnym poziomie. Musimy to sprawdzić!

Tomasz nie czekał na odpowiedź. Skierował kroki w stronę klatki schodowej, która prowadziła na poziom minus jeden. Napędzała go adrenalina i niezdrówka, heroiczna wręcz chęć pomocy. Nie zważał na niebezpieczeństwo i buchające ognie. Chciał się wykazać, udowodnić, na co go stać. Pragnął tego od dzieciństwa, kiedy to jako pięcioletni chłopiec ugasił w stroju strażaka przydomowe ognisko, do czego żywo zachęcał go ojciec – emerytowany aspirant sztabowy w Państwowej Straży Pożarnej w Lublinie. To właśnie on rozpałił w synu zamiłowanie do walki z żywiołem.

– Baza, tu rota jeden, mamy cywili wewnątrz budynku – odezwał się do krótkofalówki. – Schodzimy niżej.

– Tu baza, przyjąłem.

– Szybciej, Wojtas, rusz się!

Trochę wolniej, ale wciąż pośpiesznie zbiegli po schodach i oświetlili latarkami zwęglone ściany. Nad ich głowami wciąż unosiły się tumany dymu. Ciemność pomieszczenia ograniczała widoczność do kilku metrów, a poza tym obszarem istniała tylko nieprzenikniona pustka.

Tomasz przełknął głośno ślinę i nasłuchiwał kolejnych krzyków. Na szczęście płomienie nie zagnieździły się na dolnych poziomach, lecz mimo to musieli działać ostrożnie. Niespodziewanie w głębi korytarza, niemal na samym końcu, dostrzegli migoczące światło, które pojawiało się i znikало w regularnych odstępach, jakby ktoś nadawał sygnał SOS.

– Tam, w oddali, widzisz to? – wydyszał Wojtas.

– Ktoś potrzebuje pomocy. Wchodzimy!

Tomasz ruszył pierwszy. Jego towarzysz pozostał za plecami i zabezpieczał ewentualną drogę ucieczki, tak jak uczono ich na szkoleniach. W razie niebezpieczeństwa byłby w stanie przyciągnąć kompana do siebie i wydostać go na zewnątrz.

Adrenalina nie pozwalała im się zatrzymać. Pomimo strachu oraz niepewności brnęli w stronę światła, choć dobrze wiedzieli, że są zdani wyłącznie na siebie.

– Poświeć – nakazał Tomasz, po czym sam skierował latarkę w głąb korytarza. Jaskrawe światło rozjaśniło zwęglone ściany, ukazując w oddali także niewyraźną sylwetkę. Postać stała w bezruchu, zdawała się czekać na ich reakcję. Ku zdziwieniu mężczyzn nieznajomy nie był zwykłym cywilem, jak początkowo sądzili, ale miał na sobie coś na wzór spalonego kombinezonu strażackiego. Podobny do tego, jaki nosili Wojtas i Tomasz, lecz w kolorze piaskowym, z wyraźnymi elementami odbłaskowymi. A do tego dźmierzył... topór.

Zadrżeli.

– Halo, wszystko w porządku? Przybyliśmy pomóc! – krzyknął Tomasz, ale jego głos nikał wśród hałasu pożaru.

Wojtas wpatrywał się w postać zahipnotyzowany. Czuł, jak po plecach spływa mu pot. Nie wiedział jednak, czy pod wpływem wysokiej temperatury, czy strachu.

– Jesteś ranny? Odezwij się!

Nieznajomy stał niczym woskowa figura i wlepił w nich niewidoczne ślepie. Trudno stwierdzić, czy czekał na podejście strażaków, czy to raczej oni czekali, aż on wykaże inicjatywę.

Wbrew oporom Tomasz wykonał kolejny krok i zbliżył się do postaci, a następnie skierował światło latarki na jej twarz. Chciał się upewnić, że ocalała jest zdrowy i nie doznał żadnego urazu ciała. Nie mógł jednak tego ocenić, w ciemności dostrzegł bowiem tylko pękniętą maskę gazową i hełm z numerem sześć.

– Ej! Słyszysz mnie? Jak się tu, do cholery, znalazłeś? Gdzie twój zespół?

Zamiast odpowiedzi usłyszał dziecięcy płacz, który dobiegł z innego pomieszczenia. Momentalnie zbladł, lecz szybko zebrał się w sobie i szturchnął Wojtasa. W tej samej chwili postać odwróciła się i skierowała w głąb budynku, gdzie nie docierało światło latarek.

Strażacy spojrzeli po sobie i jak na komendę ruszyli za nią - Tomasz przodem, a Wojtas nieco z tyłu, cały czas ciągnąc za sobą wąż. Ich reakcja nie trwała dłużej niż dwie sekundy, lecz to wystarczyło, aby nieznajomy zniknął w mroku, jak gdyby istniał tylko w ich wyobraźni. Jednak płacz był realny, niemal wdzierał im się do głów i powodował drżenie w kończynach.

– Zwolnij, to niebezpieczne! – krzyknął Wojtas.

Tomasz zignorował polecenie. Nie mógł pozwolić, aby ktoś zginął w płomieniach. Nie tym razem...

Szarawy dym utrudniał orientację w ciemnych korytarzach. Latarki też ledwo dawały radę wskazywać drogę, dlatego musieli zdać się na słuch. Gdy wydawało im się, że są już blisko, z sufitu zaczęły odpadać kawałki tynku, a zaraz po nich runął cały strop. Na szczęście zareagowali w porę. Wojtas rzucił się przed siebie i upadł na podłogę, a Tomasz szybkim ruchem odciągnął go od spadającej belki.

Nie mieli już możliwości powrotu.

– Cholera... Dzięki. Mało brakowało.

– Wstawaj! Nie czas na odpoczynek!

W takich chwilach człowiek działa automatycznie. Emocje i strach odchodzą na dalszy plan, a ich miejsce zajmuje instynkt, który dąży do przetrwania.

– Widzisz go? – wysapał Wojtas, gdy w końcu doszedł do siebie.

– Nie, ale...

Ponownie usłyszeli płacz, który szybko zmienił się w pisk. Tym razem głośniejszy, jakby bliższy i wypełniony większym bólem. To wpompowało w ich ciała kolejną porcję adrenaliny. Tomasz otrząpał się z pyłu, a Wojtas podniósł z podłogi latarkę, która wciąż oświetlała pozbawione prądu korytarze.

– Szukajmy dziecka! To najważniejsze! Musi gdzieś tu być!

Niezrażeni trudnościami ponownie ruszyli nieść pomoc. Wszak na tym polegała ich praca, aby pomimo problemów ratować i walczyć o życie niewinnych ludzi, nierzadko narażając przy tym swoje zdrowie. Wiedzieli, na co się piszą, więc nie mogli teraz ot tak się wycofać.

Ostrożnie przeczesywali kolejne pomieszczenia. Mimo że ich umysły ogarniały strach oraz dezorientacja, zdawali sobie sprawę, że nie mają za wiele czasu. Jeżeli nie ogień lub zawalenie konstrukcji budynku, człowieka zabić mogły również dym i brak powietrza. A to nierzadko bywało jeszcze gorsze.

Nagle dostrzegli światło. Tym razem nie białe, pochodzące z latarki, lecz mieniące się różnymi odcieniami czerwieni. Wymienili spojrzenia, a po chwili ich uszu dobiegło charakterystyczne skwierczenie, jakby smażonego mięsa, któremu towarzyszył swąd przypalanych ubrań. To mogło oznaczać tylko jedno...

Wbiegli do pomieszczenia i natychmiast znieruchomieli. Kilkuletnia dziewczynka stała w ogniu, a jej drobne ciało trzęsło się z bólu. Strażacy odsunęli się do tyłu, a podmuch gorąca sprawił, że instynktownie zasłonili twarze dłońmi. Nawet ich termoochronne kombinezony nie zdołały zniwelować fali ognia, która buchnęła wprost na nich. Tomasz ukląkł, próbując zachować równowagę. Choć było to trudne, przez drżące palce starał się dostrzec źródło płomieni.

– Boże... – wyszeptał Wojtas.

Na ich oczach płonęło dziecko, a oni nie mogli nic na to poradzić. Nie byli w stanie zbliżyć się choćby o krok, nie mówiąc nawet o próbie gaszenia. Węże przecież utknęły pod gruzami, więc pozostała im tylko modlitwa o jak najszybszą śmierć dla ofiary. Jakby tego było mało, znowu usłyszeli wrzask i ryk bólu. Ten dźwięk niemal rozdzierał im serca na drobne kawałki. Mózg krzyczał: „Uciekaj!”, lecz żaden ze strażaków nawet nie drgnął. Płomienie w jakiś nieopisany sposób hipnotyzowały, nie pozwalając oderwać oczu od agonii dziewczynki.

Tomasz nie wiedział, czy stracił rozum, czy rzeczywistość mieszała się z fikcją, ale w odmętach umysłu usłyszał dziecięcy głos:

– To twoja wina!

Z emocji popłynęły mu łzy i niemal osunął się na podłogę. Wojtas jednak zachował zimną krew. Chwycił z całej siły kompana za barki i odciągnął na korytarz, aby oddalić się od źródła ognia. Mimo wszystko musieli być twardzi i nie poddawać się słabościom. Musieli walczyć, żeby stanąć w szranki z żywiołem.

– Ogarnij się! Już za późno, nie pomożemy jej!

– Nie, nie, nie...

– No rusz się, do cholery!

– Boże! Dlaczego ona płonie?!

Nie zważając na reakcję towarzysza, Wojtas wziął go pod ramię i zaniósł kilka metrów dalej. Nie przeszkadzał mu jego ciężar ani wierzganie. W tej chwili liczyło się tylko ratowanie własnego życia. Bóg jeden wie, kiedy koledzy z oddziału ruszą im na pomoc, kiedy uda im się odkopać zgliszcza.

Niewiele myśląc, sięgnął po krótkofalówkę.

– Baza, tu rota jeden, odbiór. Powtarzam, tu rota jeden, słyszycie nas? Ugrzęźliśmy na dolnym poziomie, odbiór!

Nie otrzymał odpowiedzi. Zamiast niej z urządzenia wybrzmiał niezrozumiały, mechaniczny szmer.

– Pieprzony rupieć, niech to szlag!

– Wojtas...

– Jestem tu. Wszystko w porządku?

– Ona... ona do mnie mówiła... – wycedził Tomasz.

– O czym ty bredzisz? Kto niby?

– Ta dziewczynka. Mówiła, że to moja wina.

Wojtas z niedowierzaniem w oczach spojrzął na towarzysza, po czym złapał go za barki i mocno potrząsnął.

– Ogarnij się! Potrzebuję cię teraz!

– Ja... nie mogę. Coś siedzi mi w głowie. Wciąż słyszę jej głos...

– Ja pierdolę, młody. Ochujałeś?

– Nie wiem... Nie wiem, co się ze mną dzieje. Boże, czy ty też to widzisz?

Wojtas przełknął głośno ślinę i powoli obrócił głowę. W odmętach ciemności starał się dostrzec to, co zwróciło uwagę Tomasza, lecz oczy widziały jedynie mrok. Wpatrywał się tak przez chwilę, a kilka sekund później poczuł przeszywające ukłucie w sercu. Choć sam w to nie wierzył, w odległości kilku metrów od siebie dostrzegł niewyraźną, ludzką sylwetkę, która zbliżała się do nich powolnym krokiem.

Nagle zaschło mu w gardle i stopy ogarnął ból, jakby stąpał po rozżarzonych węglach. Na plecach sperlił się pot, a dłonie zacisnęły pod wpływem napięcia. Chciał krzyknąć, lecz z jego strun głosowych wydobył się tylko gardłowy pisk.

Tomasz poznał go od razu. Mimo że spod ociekających krwią mięśni wystawały zwęglone kości, a od ciała biła woń spalenizny, twarz pozostała niezmieniona od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni.

– Paweł... – wydusił, a z oczu popłynęły mu łzy. – Przecież ty...

Choć brzmiało to absurdalnie, mężczyzna, który jeszcze kilka miesięcy temu jeździł z nimi na akcje, powrócił z zaświatów. Lecz to, czym się stał, nie miało w sobie nic ludzkiego. Jego twarz była blada, dłonie powykręcane, a płonące nienawiścią ślepia wpatrywały się w dawnych kolegów z zespołu, jakby chciał rozerwać ich na strzępy.

Wojtas nie wytrzymał. Odwrócił się na pięcie z zamiarem ucieczki, ale zdołał jedynie krzyknąć, nim topór przebił mu czaszkę na wylot. Krew trysnęła po ścianach, a sztywne ciało osunęło się z trzaskiem na podłogę. Nie zdążył nawet zarejestrować, co go zabiło. Co lub kto, gdyż wpatrzony w tę scenę Tomasz nie miał pojęcia, czym była owa istota odziana w strażacki kombinezon, która wyłoniła się znikąd. Ta sama, która kilkanaście minut temu nadawała sygnał SOS, czym zwabiła ich w piekielną pułapkę.

Ciemność zdawała się pusta, a jednocześnie tak gęsto wypełniona cierpieniem, że Tomasz ujrzał mroczki przed oczami. Nie wiedział, czy to, co się działo, było wytworem jego chorej wyobraźni, czy naprawdę miał styczność z widmem zmarłego przyjaciela oraz czymś, co pragnęło zatopić topór w jego trzewiach. W gruncie rzeczy oba scenariusze wydały mu się równie przerażające. Chciał uciec, oddalić się w bezpieczne miejsce, ale ciało nie było w stanie wykonać poleceń płynących z mózgu. Mógł jedynie łapać wzrokiem pomiędzy istotami, co napawało go jeszcze większym strachem.

Co gorsza, spalone truchło Pawła ruszyło w jego kierunku, a zaraz po nim krwiożercza istota, której uniform wyglądał jak strój używany przez strażaków jakieś dwadzieścia lat temu. Tomasz wiedział, że czeka go przykry koniec, że lada moment spotka się z Wojtasem po drugiej stronie. A mimo to pragnął walczyć i zmierzyć się z wrogiem. Te emocje pozostały jednakże tylko w jego głowie, bo gdy tylko strażak zbliżył się do niego, przykucnął i zrównał z nim twarzą, ośladnął go paraliż. Próbował obrócić głowę, by nie widzieć piekielnego spojrzenia, lecz istota chwyciła go szczękę i zacisnęła uścisk, niemal miażdżąc kości jarzmowe. Wtedy też dotarło do Tomasza, że spod pękniętej maski tlenowej wpatruje się w niego nie człowiek, jak początkowo przypuszczał, ale szkielet, pozbawiony oczu, skóry i mięśni. Żywy kościotrup, który wiedziony pragnieniem mordy, rozłupał czaszkę Wojtasowi, a teraz przymierzał się do kolejnej ofiary.

– Czym j-jesteś? Czego ode mnie chcesz? – wychrypiał mężczyzna. – Boże, proszę, nie rób mi krzywdy!

Zamiast odpowiedzi, usłyszał cichy, przeciągły pomruk.

– To twoja wina. Zabiłeś mnie – odparło widmo Pawła i również zbliżyło twarz do Tomasza.

– Co? Jak?! Nie mam pojęcia, o czym...

– Zobacz, co ze mną zrobiłeś! Zobacz, kim się stałem!

– Ale... Przecież...

– Ten ból był nie do zniesienia! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest płonąć żywcem! Gdy skóra spływa po twych mięśniach, gdy topią się gałki oczne, gdy czujesz smród swoich spalonych wnętrzności... A to wszystko przez ciebie, przez pieprzoną chęć wykazania się przed ojcem!

– Przepraszam, nie mogłem przewidzieć, że...

– Nie, nie mogłeś! – ryknął nieumarły. – Ale to nie ma znaczenia. Ogień, który podłożyłeś, stał się moim grobowcem. Stał się drogą do koszmaru.

– Proszę, wybacz mi... To był jeden jedyny raz!

– Łżesz! Nawet teraz, patrząc mi w oczy... Żalodne. Od dawna podejrzewałem, że ostatnie pożary były twoją sprawką. A mimo to chciałem cię bronić i przymknąć oko na te drobne podpalenia. I do czego to doprowadziło? No powiedz mi, do czego?!

Stwór z całą siłą przyłożył dłoń do twarzy Tomasza. Skóra zasyczała pod wpływem gorąca i przylepiającej się do policzka roztopionej maski gazowej. Palce wbiły się tak głęboko, że niemal dotknęły kości, a ślina wyparowała z jamy ustnej. Tomasz krzyczał i wił się niczym węgorz, ale nie był w stanie uwolnić się od nacisku. Jego paniczny wrzask poruszył konstrukcję budynku tak, że z sufitu opadły osmolone strzepy tynku.

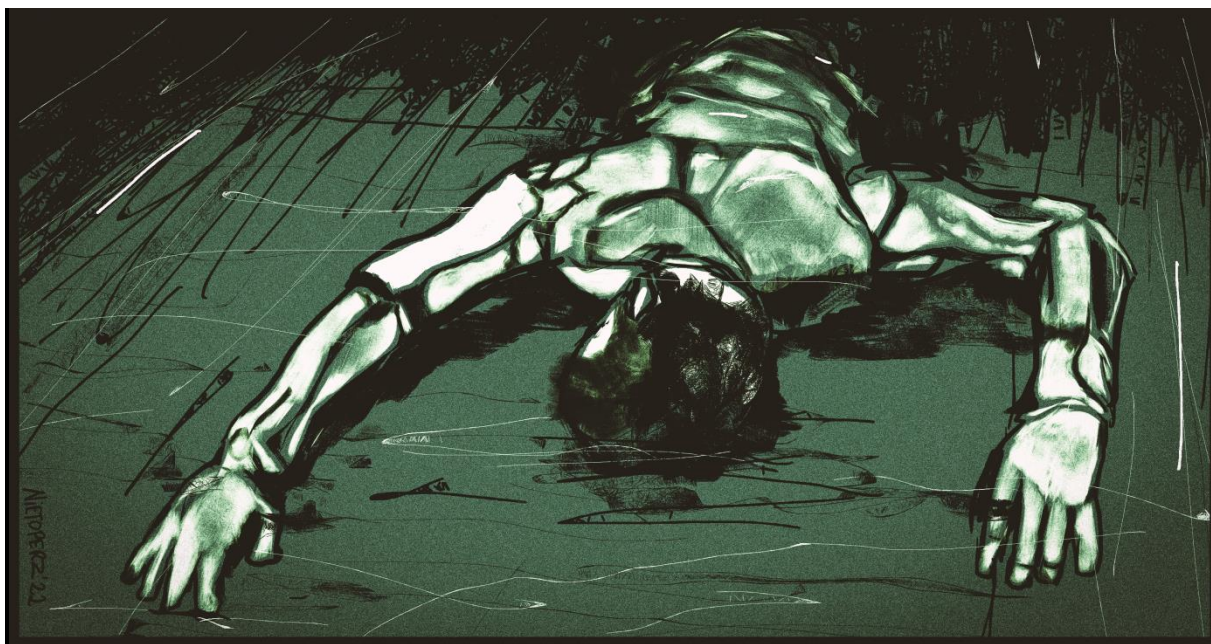
– Zabiłeś nas. Zabiłeś nas wszystkich – z ciemności wydobyły się głosy umarłych. – Zabiłeś nas! Zabiłeś!

Paweł odsunął rękę od twarzy dawnego przyjaciela, spojrzał na stojące w milczeniu widmo strażaka i skinął głową. Ten, jak na komendę, zacisnął dłonie na trzonku topora, wziął zamach i wbił z impetem ostrze w pierś Tomasza. Z ust ofiary trysnęła rzeka krwi. Chwilę później nastąpił kolejny cios, tym razem w brzuch, poktórym wypłynęły wnętrzności, a zaraz po nich fala posoki. To jednak nie był koniec agonii...

Spalone monstrum uniosło ramiona i zamknęło oczy, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe słowa. W tej samej chwili na podłodze ukazał się ognisty krąg, a jego wnętrze stanowiło przejście do krainy potępionych. Do miejsca, w którym nie ma nadziei, w którym ognie piekielne trawią i palą po wieczność. Tomasz ostatkiem sił unióśł głowę i jedyne, co zdążył zarejestrować, nim zawładnęła nim ciemność, to spalone dłonie grzeszników, które chwyciły go za nogi i pociągnęły w dół.

– Jesteś winien mej śmierci, więc teraz ja wymierzam ci sprawiedliwość. Będziesz cierpiał, będziesz płakał, będziesz prosił o wybaczenie. Lecz nikt nie wysłucha twego

wołania. Obyś szczeł i przemienił się w nicość. Tak powiadam, bowiem z prochu powstałeś
i w proch się obrócisz...



ZŁODZIEJ ŚWIATŁA

Bartosz Sokolak

Siedzę, skrobiąc tapicerkę ojcowskiego fotela. Skóra błyszczy jak świeżo wyglancowane buty. To moje najwcześniejsze wspomnienie, miałem góra cztery lata. Próbuję uciec wzrokiem przed oślepiającym blaskiem, ale napotykam tylko kolejne plamy bieli otaczające żarówki. Staroświecki żyrandol, kinkiet, zestaw zakurzonych, biurowych lampek. Fotel przypomina suknię wieczorową w blasku fleszy. Zaciskam powieki, ale to jedynie sprawia, że plamy przybierają kolor krwistej czerwieni. Boję się. Robię jedyną rzecz na jaką stać bezradne dziecko. Płaczę.

Na początku obowiązywała wersja, że ojciec był elektrykiem. Powtarzałem to w przedszkolu, w rozmowach z kolegami. W domu prawie o tym nie mówiliśmy. Temat zajęcia taty przewijał się w rodzinnych progach tak rzadko jak on sam. Moje dzieciństwo to suknia matki w kwieciste wzory, zapach ciepłego obiadu, wizyty u dziadków i zabawy z rówieśnikami. Przeprowadzaliśmy się tak często, że nie pamiętam twarzy żadnego z tych ostatnich. Gdzieś

ponad codziennością, jak senna mara przesuwiał się zarys męskiej twarzy o łagodnym spojrzeniu.

Kiedy przychodził, mama wdziewała odświętną kreację w słoneczniki, na stole pojawiał się uroczysty obrus, a cały dom wyglądał jak gotowy na Boże Narodzenie. Brakowało tylko świerku i kolorowych lampek. Wtedy rodzice rozmawiali ze sobą długo, sam na sam. Nie robiłem kłopotów, wiedziałem, że to było dla mamy bardzo ważne. Przy obiedzie wciąż trzymali się za ręce. Czułem się trochę zazdrosny, ale chciałem, żeby mama była szczęśliwa. Do ojca nie żywiłem żadnych cieplejszych uczuć, chociaż był dla mnie miły. Wieczorem dostawałem od niego zabawkę, prawie zawsze klocki, albo jakiś zestaw do składania. Pokazywał mi jak się nim bawić, często robił wszystko za mnie. Pytał o szkołę, znajomych. Błahe pytania, błahe odpowiedzi.

Nocne zmiany i delegacje były coraz mniej przekonujące. Kiedy skończyłem trzynaście lat, dowiedziałem się, że ojciec pracuje dla agencji rządowej. Tylko tyle. Żadnych szczegółów, miejsc, nazwisk. Zrozumiałem, że to jego zajęcie jest powodem naszych ciągłych przeprowadzek. Nienawidziłem go przez okrągły rok. Miałem coraz większy problem z odzywaniem się do obcych ludzi. Po co silić się na nowe relacje, jeśli za kilka miesięcy pozostanie po nich tylko wspomnienie? Zaczęły się problemy ze snem, stany lękowe. Wnętrza mieszkań przesuwały mi się przed oczami jak obrazy w kalejdoskopie. Tylko fotel ojca, wciąż ten sam, tkwił na środku kolejnych salonów i straszył wytartą już skórą. Spowiadałem się wysokiej kobiecie w czarnym golfie. Mama mówiła na nią „przyjaciółka”, ale ja wiedziałem, że gdzieś w głębi szafy jej gabinetu kryje się biały kitel. Przyjaciółki nie chowają się za drzwiami w poczekalni, nie drukują białych kart i nie każą ich wypełniać. Nie zadają tyle pytań i nie stawiają wymagań.

Mimo terapii do dziś zasypiam przy zapalonym świetle.

Mama umarła siedem dni po moich szesnastych urodzinach. Nagle skończyły się spotkania za drzwiami poczekalni. Zamiast sukni w słoneczniki prosta, biała kołdra i dziesiątki gumowych przewodów. Czułem obrzydzenie. Z podziwem patrzyłem na ojca, który był w stanie z nią rozmawiać. Też chciałem okazać wsparcie, odezwać się, albo przynajmniej potrzymać mamę

za rękę. Nie wiem, jakie były jej ostatnie słowa i pewnie na nienie zasługiwałem. Wiem, że mi wybaczyła.

Nie płakałem na pogrzebie.

Kolejna przeprowadzka. Ojciec prosił, żebym zaczął chodzić do kościoła. Zapewniał, że robi to samo. Oprócz fotela, stałymi lokatorami mieszkań stały się obrazki świętych i krucyfiksy. Modliłem się w życiu góra kilka razy, ale ponoć jestem ochrzczony. Starłem się praktykować jak potrafiłem najlepiej. Przekonał mnie argument o podtrzymaniu kontaktu z mamą, właściwie modliłem się bardziej do niej niż do Boga. Razem z ojcem czytaliśmy Biblię, nauczył mnie jak posługiwać się sigłami. Wieczorami, kiedy był w domu, pytał mnie na wrywki. Mówił, że najważniejsze jest to co ukryte pod tekstem, i że nie zawsze są to słowa. Słuchałem i szukałem, ale niczego nie znalazłem. Miałem wrażenie, że ojcu się udało, chociaż chyba bał się przyznać.

Uczyłem się już tylko w domu. Przed osiemnastką zacząłem dorywczo pracować. Nigdy nie trwało to dłużej niż kilka tygodni. Nawet po śmierci matki przeprowadzki nie pozwalały mi zagrać nigdzie miejsca na dłużej. Pracowałem bardziej z obowiązku niż rzeczywistej potrzeby. Ojciec dawał mi pieniądze na wszystko. Mam wrażenie, że po prostu chciałem czuć się przydatny. Bywało, że widzieliśmy się raz na miesiąc, albo i rzadziej. Po raz pierwszy zauważyłem, że się starzeje. Kilkudniowy zarost przyprószyła siwizna, włosy zrobiły się szpakowate. Kiedy przebąkiwałem coś o studiach robił się nerwowy i mówił, że przyjdzie na to czas. Wszystkie pytania zbywał milczeniem.

Moje osiemnaste urodziny spędziliśmy we dwóch. Ojciec pojawił się w domu pierwszy raz od miesiąca. Czułem, że i tak cudem wyrwał się obowiązkowi, ale bynajmniej nie poprawiło mi to humoru. W dniu wkroczenia w dorosłość zamiast upijać się ze znajomymi na imprezie albo przeżywać intymne chwile z dziewczyną, słuchałem modlitwy szeptanej wargami dziwaka. Nie miałem już nikogo innego.

Oświadczyłem mu, że mam dość. Dostyc życia na jego warunkach. Odmówiłem pieniędzy i powiedziałem, że wyjeżdżam na studia. Zareagował zupełnie inaczej niż się spodziewałem. Bałem się, że oszalał. Błagał mnie na kolanach, żebym go nie zostawiał. Po raz pierwszy w moim życiu poprosił o pomoc. Mówił, że to sprawa życia i śmierci. Pamiętam, że patrzyłem na niego z mieszaniną strachu i zażenowania. Ten człowiek prowadził życie w jakimś równoległym świecie. Nie byłem częścią tego świata i nie wiedziałem jak mu pomóc. Zresztą, jak mogłem pomóc komuś, kogo, mimo że był ostatnią bliską mi osobą, w ogóle nie znałem?

To miał być projekt związany z jego pracą. Ostatni. Obiecał, że gdy skończymy będę mógł robić co zechcę i nie ma zamiaru mnie powstrzymywać. Zgodziłem się. Rok życia w zamian za uśmiech na twarzy zniszczonego życiem starca. Tak teraz wyglądał, jak emerytowany staruszek, weteran wojenny z objawami stresu pourazowego. Budził się w nocy z krzykiem, chodził zgarbiony, łykał jakieś podejrzone pastylki we wszystkich kolorach tęczy. Ja zaś, zamiast jak najszybciej wykręcić numer przyjaciółki w czarnym golfie, wziąłem udział w jego szaleństwie.

Zaczęliśmy, a jakże, od przeprowadzki. Ojciec przyniósł do domu kilka rozlatujących się teczek z dokumentami. Tylu krzyżujących się linii i skomplikowanych opisów nie ma chyba nawet na mapach lotniczych. Zanim podjął decyzję dokąd się udamy, przeglądał papiery kilka dobrych nocy. Biblia stała się jego nieodłącznym towarzyszem. Leżała na biurku, kiedy sunął rysikiem cyrkla po zniszczonym papierze. Żeby nie zasnąć recytował szeptem wersety Księgi Objawienia. Przerywał pracę tylko na modlitwę i krótką rozmowę ze mną. Sprawdzał, czy nie uciekłem.

Nie pamiętam nazwy miasta. Wiem tylko, że mimo wczesnej jesieni tonęło w śniegu. Po ulicach chodzili odziani w futra niscy ludzie o stwardniałej od zimna skórze. Zatrzymaliśmy się przed rdzawym blokowiskiem. Pomogłem wnieść ojcowski fotel na ostatnie piętro. Odebraliśmy klucze od pomarszczonego nadzorcy, którego twarz przypominała wygniecioną kartkę papieru. Wodził za nami podejrzliwym spojrzeniem aż do samych drzwi.

Mieszkanie było najmniejszym ze wszystkich do tej pory. Salon z archaicznym telewizorem, kuchnia, łazienka i jeden pokój. Wszystko oblepione schodzącą ze ścian, blad różową tapetą. Ojciec zostawił mi pieniądze na renowację, a sam zajął się miejscem, które pochłonęło większość ceny – piwnicą. Właściwą skalę bardziej oddaje określenie „mały hangar”. Przez następne tygodnie ojciec zapełniał olbrzymią przestrzeń paliwem i puszkami z jedzeniem. Odniosłem wrażenie, że opróżnił zapasy wszystkich najbliższych marketów i stacji benzynowych. Przez jakiś czas podejrzewałem nawet, że konstruuje jakiś bunkier, a projekt ma charakter wojskowy. Ojciec nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał.

Znów zniknął na jakiś czas. Zapowiedział, że kiedy wróci, „wszystko będzie gotowe”. Zabrzmiało to niemal uroczyście, jakby organizował mi ślub. Na to chyba nie ma już co liczyć. Gdyby żyła matka, możliwe, że wszystko wyglądałoby inaczej. Pewnie nie pozwoliłaby mu wciągnąć mnie w to szaleństwo. Chociaż... może nie byłoby to potrzebne. Nie mogłem spać. W nocy słuchałem wycia wichury. Jeszcze nigdy nie brzmiała w ten sposób. Wydawało mi się, że potrafiłem odróżnić pojedyncze głoski, a potem składać je w wyrazy. Myliłem się. Ciemność odzywa się dopiero, gdy wiatr umilknie. Na chłodnym krańcu świata prędzej czy później każdy nieco dziwacznie.

Ojciec wrócił. Miał ze sobą trzy agregaty na ropę i benzynę. Przywiózł też spory zapas świeczek. Wszystko, z wyjątkiem jednej z maszyn, kazał przenieść do piwnicy. Widać było po nim wyraźną ulgę. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, skąd się brała. Z perspektywy czasu i tak nie miało to żadnego znaczenia.

Tamtą rozmowę przypominam sobie z trudem, jak przerwany sen zaraz po gwałtownym przebudzeniu. Dziwne, bo to przecież najświeższe wspomnienie dotyczące ojca. O nic nie pytałem, a i tak powiedział mi wszystko. Kim jest, czym się zajmował (został zwolniony prawie rok wcześniej) i co jest ukryte pod tekstem. Oczywiście w nic nie uwierzyłem i chyba właśnie tego się spodziewał. Wszystko spełniło się co do joty.

To było moje ostatnie spotkanie z tatą.

Zaczął się mały spektakularnie. Kobieta w błyszczącej kurtce napomknęła coś między prognozą pogody a przerwą na reklamy. Potem awarie na dalekich końcach świata (mój ominęło). Reportaże, amatorskie dokumenty, żarty w internecie – kolorowe strony pełne groteskowych twarzy. Potem pierwsze poważne doniesienia. Kataklizm, ale obawiać muszą się tylko mieszkańcy tego i tego miejsca. Można odetchnąć, przełączyć kanał. Ci na górze już wiedzą, niektórzy wiedzieli już dawno.

To jednak coś więcej. Tsunami – nie, wojna też nie, może wirus. Co może zrobić wirus zza szklanego ekranu? Znow ulga, ale tym razem podszyta niepokojem, śmieszne obrazki w sieci, polityka, głód na świecie, tyle rzeczy do zrobienia. Czemu nadal tkwię w tym przesiąkniętym chłodem mieszkaniu?

O krańcach świata już za bardzo nie słyhać. Pewnie wszystko się skończyło, wszystko musiało już być w porządku. Prezenterzy znow byli uśmiechnięci. Niektórzy stawiali pytania, ale nie było na nie odpowiedzi. Zupełnie jak z ojcem na samym początku.

Popatrzyłem na agregat. Przetestowałem, dla pewności. Dawał więcej światła niż ciepła, ale to chyba dobrze.

Spakowałem się na samolot. Pieniądzy zostało całkiem sporo. Rzeczy z piwnicy zostawiłem, na wszelki wypadek. Sprzedać, nie sprzedam – kto wie, czy można legalnie w takich ilościach.

Włączyłem telewizor. Odbiornik nieco szumiał, ale było wyraźnie widać poważną twarz prezentera. Są ostrzeżenia. Ograniczyć podróże do tego i tamtego miejsca. Skontaktować się z rodziną i nakłonić do powrotu.

Zastygłem w pół ruchu. A gdyby jednak... Nie, przecież to niemożliwe. Dla pewności poczekałem, ostatecznie nie poleciałem.

Wróciła moda na zabawne obrazki. Nie miałem komputera, ale pokazywali je już w telewizji. Mówili, że nie ma się z czego śmiać, że to poważne. Ale przecież to nie tutaj, to na innym końcu świata.

Podjąłem zaoczne studia. Nie wiem, co jeszcze trzymało mnie w tym miejscu, prócz woli prawdopodobnie nieżyjącego już ojca. Dni schodziły mi na nauce, oglądaniu telewizji i spacerach. Te ostatnie przestały być wkrótce dozwolone. Najpierw pojawiają się prośby, potem zalecenia, wreszcie nakazy i zakazy. Stała kolej rzeczy. Szkoda świeżego powietrza, ale przecież widok i tak byle jaki. Przechodnie w futrzanych czapach, a potem ciągle zaspasy i zaspasy...

W wiadomościach modne stały się zdjęcia planety. Ziemia przypominała kroplę wody zastygłą w gwiazdnej galarecie. Chmury wiły się nad jej powierzchnią jak białe robaki. Redaktor machał dłonią w powietrzu i obraz przenosił się na nieoświetloną półkulę. Widać było wyraźnie jasne punkty i korytarze miast, odcinające się na granatowej płaszczyźnie lądu. Obraz skoncentrował się na czarnej plamie na skraju jednego z kontynentów. Symulacja pokazywała jak czerń się rozrasta, a oświetlone labirynty stopniowo gasną. Nazajutrz półki w sklepach opustoszały.

Pierwsza fala paniki minęła tak szybko, jak się zaczęła. Ludzie przenieśli się przed ekrany, żeby snuć teorie spiskowe i oskarżać władzę. Nikt już o nic nie pytał, każdy wiedział swoje. Mieszany z błotem rząd przykładowie mnożył restrykcje, tak na wszelki wypadek. Za oknem padał śnieg. Wiatr powoli cichł.

Kwarantanna. Z dnia na dzień ciemny obszar pochłaniał kolejne punkty światła, jak atrament wylewający się z kałamarza bez dna. Dni robiły się zauważalnie krótsze. Tkwiłem na środku niedużego salonu, patrząc bezmyślnie w przestrzeń. Wiedziałem, że nigdzie już nie polecę,

ani nie wyjadę. Kto wie jak długo? Rutyna towarzyszyła mi od zawsze, ale wtedy doskwierała bardziej niż zwykle. Pewnie sporo osób miało podobne odczucia. Gdzieś pośród rdzawego blokowiska niósł się śpiew. To mieszkańcy wyszli na balkony i dodawali sobie wzajemnie otuchy. Pomogło tylko na chwilę.

Zaczęły się awarie. Doszło chyba do czternastu jednego tygodnia. Wysiadło ogrzewanie. Agregaty robiły swoje, wystarczyło dolewać benzyny. Dzięki Bogu wszystkie trzy działały. Nigdy nie podejrzewałem, że będę czuł się samotny. Przed tym wszystkim radziłem sobie przecież całkiem sam. Po śmierci matki rozmawiałem już tylko z ojcem, a i tak nie robiłem tego często. Byłem, jak to się mówi – introwertykiem. W dobie kwarantanny wszyscy się nimi stajemy. Świat introwertyków z przymusu. Inaczej można oszaleć. Może to śmieszne, ale kiedy jeszcze mogłem wyjść na zewnątrz, czułem dziwną bliskość do tych głów w futrzanych czapach przesuwających się między zaspami. Miałem wrażenie, że czują się podobnie do mnie, jako część jakiejś większej całości. Podobnie, kiedy wieczorami patrzyłem w oświetlone okna mieszkań, z pewną ulgą zdawałem sobie sprawę, że siedzą tam ludzie tacy jak ja. Aż do tej chwili. Władza próbowała radzić sobie z kryzysem w jedyny sposób, jaki potrafiła – wypluwając coraz to nowe prawa. Media na przemian trąbiły o stanach epidemii, klęski żywiołowej, wojny. Niezależnie od nakazów ludzie trzymali się bliskich, rodziny i przyjaciół. Ja, niczym mnich, zasypiałem w pojedynczym łóżku, szepcząc słowa modlitwy.

Któregoś dnia rano przed blokiem przejechał czołg.

W końcu było już wiadomo, że nikt nic nie wie. Ani ci z góry, ani poważni redaktorzy, ci od teorii spiskowych, autorzy śmiesznych obrazków, nikt. Dla bezpieczeństwa wciąż nie wolno było wychodzić. Dobrze, że miałem zapasy.

W telewizji pokazywali protesty. Policjanci zderzający się z wściekłym tłumem. Z oczu jednych i drugich zionął strach.

Nie miałem jak się modlić, nie słyszałem własnych myśli. W kółko policyjne syreny, trzaskanie szkła i krzyki. Nawet ten kraniec świata nie był już bezpieczny. Wyglądałem przez okno w stronę sąsiednich mieszkań. Za szybą widziałem pojedyncze świece.

Któregoś ranka nie weszło słońce. Uszy świdrowało mi wycie syreny alarmowej.

Skrobię resztkę tapicerki ojcowskiego fotela. Z ust leci mi para. Próbuję przetykać kawałki wytartej skóry, obserwując wąty blask żarówki. Został tylko jeden działający agregat. Ostatnią konserwę opróżniłem kilka dni temu. Wlokę się do łazienki, przyglądam swojemu odbiciu w rozbitym lustrze. Fioletowe worki pod oczami, przekrwione oczy, skóra w kolorze świeżo wyprasowanego pergaminu. Kiepsko jak na ostatni okaz własnego gatunku.

Resztkami sił wracam do salonu. Rozkładam fotel. Wewnątrz leży ostatni kanister z benzyną. Dolewam nieco do agregatu. Starczy na kilka dni.

Porąbałem meble i zabiłem drewnem okna. Nie chcę wiedzieć co jest na zewnątrz. Ostatnim co tam widziałem, był zamarzający termometr. Śpię, kiedy muszę, staram się wcale. Na szczęście agregat robi spory hałas, inaczej znów słyszałbym szepty. „Tam już nic nie ma” – powtarzam jak mantrę, a przecież wiem, żeto, czego nie ma, stara się dostać do środka i zgasić ostatnią iskierkę światła.

Mam dwadzieścia pięć lat. Robię jedyną rzecz na jaką stać bezradnego człowieka. Płacę.

GROZOWNIA FESTIVAL

15.10.2022

KAWIARNIA LITERACKA
KRAKOWSKA 41, KRAKÓW

START: 12:00
WSTĘP WOLNY

ORGANIZATORZY



PATRONI MEDIALNI

